ŚMIERTELNY BŁĄD JAPONII
W 1941 r. jej jednoczesny atak z Niemcami zdruzgotałby Sowietów

TAKI MAMY KLIMAT
Skutki zmian aktywności Słońca – nie zaś ludzi, z Polakami na czele

OBRONA SIENKIEWICZA
Twórca „Ogniem i mieczem" nie tylko na koniec bolał nad „krwią pobratymczą"

NR 3(121)/2023 MARZEC 2023

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

HISTORIA

MIESIĘCZNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ISSN 2299-9515
DO RZECZY HISTORIA
Nr indeksu: 296 001

1943–1945, WILNO, NOWOGRÓDEK, GRODNO

ŻOŁNIERZE ZAPOMNIANI

Poranny program informacyjno-publicystyczny na żywo.
Najważniejsze wydarzenia dnia, analizy gospodarcze,
prognoza pogody, przegląd prasy.

Zacznij dzień z Telewizją Republika.

REPUBLIKA

Polska
NA DZIEŃ DOBRY

od poniedziałku
do soboty

7:35

Zapraszają:

Ilona Januszewska, Aleksander Wierzejski i Emilia Wierzbicki

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl c8c1f3511d

ADRES: HISTORIA DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: historia@DORZECZY.PL
www.SUPERHISTORIA.PL
PROWADZĄCY: ANNA SZCZEPAŃSKA

REDAKCJA MIESIĘCZNIKA **„HISTORIA DO RZECZY"** JEST INTEGRALNĄ CZĘŚCIĄ REDAKCJI TYGODNIKA DO RZECZY".

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Maciej Rosalak**

Z ZESPOŁEM:
Redaktorzy: **Tomasz Stańczyk, Piotr Włoczyk**
Studio graficzne:
Wojciech Niedzielko (szef studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład),
Jacek Nadratowski (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska**
Okładka: **Krzysztof Wyrzykowski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac**
z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

spółka notowana na GPW
PMPG POLSKIE MEDIA SA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Agnieszka Jabłońska, Jolanta Kloc
Zarząd spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY:
reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS:
(PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż),
PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek
tel.: 539 953 631, 508 040 664
pon-pt w godz. 10.00-16.00
prenumerata@pmpg.pl
DRUK: LSC COMMUNICATIONS EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

ISSN 2299-9515, Nr indeksu 296 031

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl.
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 801 800 803 lub 22 717 59 59 – czynne w godz. 7–18.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w miesięczniku „Historia Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w miesięczniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/.

Ze starych klisz / Warszawa, 8 marca 1968 r.

Wiec studentów przed gmachem Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego

FOT. IPN

Od redaktora

Maciej Rosalak

Tylko w polu biały krzyż...

„Tylko w polu biały krzyż nie pamięta już, kto pod nim śpi..." – kiedy w 1969 r. Krzysztof Klenczon wraz z Czerwonymi Gitarami wygrywał tym utworem konkurs piosenki w Opolu, niemal nikt na widowni, w jury oraz – co najważniejsze – w cenzurze nie zorientował się, o kogo chodzi piosenkarzowi. A upamiętniał on poległych i pomordowanych towarzyszy ojca, Czesława Klenczona, żołnierza Armii Krajowej aresztowanego w 1945 r. przez UB, któremu udało się uciec i ukrywać 11 lat. Tak przeżył do 1956 r. najgorsze lata polskiego komunizmu, gdy wiernych żołnierskiej przysiędze żołnierzy Wojska Polskiego ścigano jako „bandytów", torturowano i zabijano w śledztwie albo mordowano na podstawie wyroków krzywoprzysiężnych sądów. Pamięć o nich była niszczona, zniekształcana lub zacierana nie tylko do końca istnienia PRL, lecz także później, w III RP, gdy dominowała ideologia starej i nowej postkomunistycznej lewicy.

Zmieniało się to powoli, a przyspieszyło dopiero pod koniec pierwszej dekady XXI w. Deptana tyle lat pamięć o najlepszych synach narodu odżyła. Wrócili do nas jako Żołnierze Wyklęci. Czciła ich młodzież na stadionach i uniwersytetach, w ubeckich dołach śmierci odkrywano ich szczątki i upamiętniano stosownymi pogrzebami i grobami. Bohaterowie stawali się Żołnierzami Niezłomnymi. Rolę nie do przecenienia odegrały tu badania i publikacje Instytutu Pamięci Narodowej ze śp. prezesem Januszem Kurtyką i prof. Krzysztofem Szwagrzykiem. W tym okresie rozwinęli skrzydła cenieni historycy IPN – m.in. znakomici główni autorzy bieżącego numeru „HDR" – doktorzy Kazimierz Krajewski i Tomasz Łabuszewski.

Sygnalizują oni niepokojące zjawisko – oto Wyklęci i Niezłomni stają się... Żołnierzami Zapomnianymi. Dlaczego i w czym się to przejawia – proszę czytać od str. 6. Ci sami autorzy kontynuują ten motyw w artykule o heroicznej walce ostatnich obrońców naszych kresów północno-wschodnich. Zaczęła się ona wiosną 1943 r. od zdradzieckich uderzeń sowieckich partyzantów na AK. Właśnie mija 80 lat...

Z tą rocznicą wiąże się nasza okładka. Biały krzyż nieprzypadkowo zdobią ryngraf z Matką Boską Ostrobramską oraz rogatywka WP z orzełkiem w koronie wzór 1937...

©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

/ TEMAT NUMERU

.6 KAZIMIERZ KRAJEWSKI I TOMASZ ŁABUSZEWSKI
Cisza nad „masą upadłościową”

.11 KONRAD KOZŁOWSKI
Zwycięskie powstanie antykomunistyczne

.14 KAZIMIERZ KRAJEWSKI I TOMASZ ŁABUSZEWSKI
Żołnierze Zapomniani

.19 MACIEJ MAREK KAMIŃSKI
Siła i Boża opatrzność

.22 LIDIA LWOW-EBERLE
Mój „Łupaszko”

/ CZASY I LUDZIE

.28 PIOTR SEMKA
Fenomen „Casablanki”

.31 TOMASZ STAŃCZYK
Muskata kontra Łokietek

.34 MIKOŁAJ IWANOW
Polacy za Zbruczem

.38 MAREK GAŁĘZOWSKI
Steinhaus: „Za oręż chwyć i pędź”

.41 ARKADIUSZ KARBOWIAK
W imię Celtów

.44 JAKUB POLIT
Śmiertelny błąd Japończyków

.48 SŁAWOMIR KOPER
Polscy budowniczowie Lipawy

.51 JAKUB OSTROMĘCKI
19 ustaszy straceńców

.54 MACIEJ ROSALAK
Taki mamy klimat...

/ CO CZYTAĆ

.58 KRZYSZTOF MASŁOŃ
Wielki Grycendler

.64 RECENZJE

eprasa.pl c8c1f3511d

/ FELIETONY

.66 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
Wielki powrót bata?

.69 PIOTR SEMKA
Szwajcarski kozioł ofiarny

/ KRESY

.70 TOMASZ STAŃCZYK
Poczet niezłomnych Kresowiaków

/ BATALIE I WODZOWIE

.72 MACIEJ ROSALAK
Berberzy także na Islandii

/ TECHNIKA

.78 TYMOTEUSZ PAWŁOWSKI
Spadochrony

/ POD PRĄD

.80 PIOTR ZYCHOWICZ
W obronie Sienkiewicza

/ KOMIKS

.82 KRZYSZTOF WYRZYKOWSKI I MACIEJ JASIŃSKI
CV Zofii Kossak

REKLAMA

eprasa.pl c8c1f3511d

Filmowy Festiwal „Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci" to jedna z ciekawszych inicjatyw przywracających pamięć o żołnierzach anykomunistycznego podziemia

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

XXI w. / Polskie podziemie niepodległościowe – stan badań

Cisza nad „masą upadłościową"

Kazimierz Krajewski

Tomasz Łabuszewski

Przekonanie, że zdołaliśmy już trwale wpisać Żołnierzy Wyklętych do kanonu polskich bohaterów, jest założeniem złudnym, a w dłuższej perspektywie wręcz zgubnym

Zbliża się 1 marca 2023 r. i 13. już raz obchodzić będziemy dzień poświęcony bohaterom polskiej antykomunistycznej konspiracji niepodległościowej. Na kilka dni temat stanie się znów aktualny – przejściowo skupiając uwagę opinii publicznej. Po raz kolejny w publikatorach będących sztandarowymi pismami odpowiedzialnymi za podgrzewanie współczesnej „wojny plemiennej" pojawią się takie same z grubsza artykuły. Z jednej strony prezentujące – często bezrefleksyjnie – heroizm Żołnierzy Wyklętych. Z drugiej zaś ukazujące ich rzekome „zwyrodnienie", rzekome jednoznaczne polityczne – prawicowe – konotacje i rzekomy brak dorobku na drodze do odzyskania przez Polskę niepodległości. Słowem – nic nowego. Następnie na kilkanaście kolejnych miesięcy zapadnie w zasadzie głucha cisza, aż do kolejnego 1 marca. Powstaje pytanie: Dlaczego temat ogniskujący jeszcze do niedawna zainteresowanie sporej grupy polskiego społeczeństwa znalazł się na mieliźnie?

Trudno w to uwierzyć. Popularności Donalda Tuska nie potrafiły zmienić ani afera hazardowa, ani katastrofa smoleńska, za którą przecież to jego rząd ponosi polityczną współodpowiedzialność, ani fatalnie prowadzone śledztwo i praktyczne oddanie go w ręce Rosji. Więcej. Nawet nieprawdopodobny bałagan związany z wprowadzeniem przez Bartosza Arłukowicza nowej listy leków refundowanych nie odbił się specjalnie na poparciu dla PO. Aż tu nagle w sprawie ACTA – umowy, którą jeszcze kilka tygodni temu mało kto potrafił zrozumieć – doszło do przełomu.

Rwąca rzeka i mały strumyk

Powodów takiego stanu rzeczy jest co najmniej kilka. Pierwszy ma związek z nieuchronnym upływem czasu i naturalnym wykruszeniem się ostatnich autentycznych – bezpośrednich – świadków zbrojnego oporu po 1944 r. Nie ma już w zasadzie środowisk kombatanckich, które mogłyby stanowić jakąś realną siłę nacisku na media, środowiska akademic-

eprasa.pl c8c1f3511d

kie, władze samorządowe, nie mówiąc już o politykach. Nie ma już komu animować poważnych merytorycznych dyskusji, społecznych inicjatyw związanych chociażby z upamiętnieniami. Nie ma wreszcie komu dzielić się zwłaszcza z młodym pokoleniem swoimi doświadczeniami walki o wolną Polskę. Brak tej kategorii świadków – uczestników dyskursu publicznego – stał się, zwłaszcza w kontekście deprecjacji autorytetów naukowych, moralnych, szczególnie dojmujący zwłaszcza dla tych, którzy ogarniają swoją pamięcią takie osoby jak: Elżbieta Zawacka, Barbara Otwinowska, Lidia Lwow, Maria Mirecka-Loryś, Ruta Czaplińska, Stanisław Karolkiewicz, Stanisław Oleksiak, Władysław Bartoszewski. Jakże nam wszystkim ich dzisiaj brakuje.

Drugi i z pewnością ważniejszy z powodów owej słabości dyskursu publicznego o Żołnierzach Wyklętych dotyczy jakości badań naukowych dotyczących tej problematyki, a w zasadzie prawie jego braku (ostatnia dyskusja merytoryczna historyków mających zdecydowanie różne poglądy na temat znaczenia zjawiska Żołnierzy Wyklętych miała miejsce w „Więzi" w 2017 r. – „»Żołnierze wyklęci«: między historią a popkulturą"). Dwa środowiska naukowe, które u progu lat 90. były prekursorami w tym zakresie, a więc krakowskie, skupione wokół śp. prof. Janusza Kurtyki, i warszawskie – stworzone niegdyś przez śp. prof. Tomasza Strzembosza – abdykowały właściwie z tej roli na własne życzenie. Ich członkowie (poza wspólnym przygotowaniem dwóch wersji „Atlasu podziemia niepodległościowego" wydanego przez IPN) oraz twórcy popularnonaukowej pracy „Wyklęci 1944–1963. Żołnierze podziemia niepodległościowego w latach 1944–1963" – opartej na przygotowanych wcześniej dodatkach do „Rzeczpospolitej") bądź zajęli się innymi tematami, bądź też stali się pełnoprawnymi uczestnikami „politycznej wojny plemiennej" – niewnoszącej do badań niczego konstruktywnego.

Powoli wygasają „Zeszyty Historyczne WiN-u" będące przez ponad dwie dekady najważniejszym periodykiem naukowym prezentującym najnowsze ustalenia badawcze dotyczące podziemia niepodległościowego – i to zarówno w skali makro, jak i mikro. Podobny los spotkał już dwie wiodące niegdyś serie wydawnicze: „O Wolność i Niepodległość" z Wydawnictwa Volumen i Wydawnictwa Towarzystwa Naukowego „Societas Vistulana" (wspólnie z IPN Oddział w Krakowie). A przecież to w ich ramach powstawały fundamentalne prace: „Okręg Lubelski WiN", „Okręg Białostocki AK-AKO", „Okręg Krakowski WiN", Podziemie poakowskie w województwie śląsko-dąbrowskim w latach 1945–1947", „O Polskę Wolną i Niezawisłą (1945–1948)", „Podziemie poakowskie na Kielecczyźnie w latach 1945–1948", „WiN w południowo-zachodniej Polsce (geneza – struktury – działalność – likwidacja – represje)", „Zostańcie wierni tylko Polsce…", „Niepodległościowe oddziały partyzanckie w Krakowskiem (1944–1947)". Wszystkie one – co warto przypomnieć – powstawały jednak kilka lub nawet kilkanaście lat temu. Ten sam problem dotyczy edycji źródłowej Wydawnictwa MIREKI, w ramach której ukazały się np. wspomnienia Adolfa Pilcha „Partyzanci trzech puszcz", Mariana Podgórecznego „Doliniacy", Antoniego Bieguna „Moje życie, mój los".

Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce mieści się w budynku dawnego aresztu śledczego UB

FOT. MUZEUMZOLNIERZYWYKLETYCH.PL

Fragment ekspozycji w Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce

FOT. MUZEUMZOLNIERZYWYKLETYCH.PL

eprasa.pl c8c1f3511d

To prawda, że cały czas pojawiają się nowe wartościowe publikacje, np. „Między Bolszewią a Niemcami. Konspiracja polityczna i wojskowa Polskiego Obozu Narodowego na Podlasiu w latach 1939–1952", „Słownik biograficzny konspiracji niepodległościowej na Augustowszczyźnie i Suwalszczyźnie 1944–1956", „Do ostatniej kropli krwi. Major Marian Bernaciak »Orlik« 1917–1946", „Okręg Rzeszowski Narodowej Organizacji Wojskowej – Narodowego Zjednoczenia Wojskowego w latach 1944–1947", Oddział partyzancki Wojciecha Lisa 1941–1948" czy też „Na straconych posterunkach, Żołnierze Wyklęci. Z dziejów partyzantki antykomunistycznej w powiecie przeworskim w latach 1944–1956". Rwąca rzeka – co widać gołym okiem – powoli zamieniła się jednak w mały strumyk.

Z owym zjawiskiem wygaszania badań współgrała niestety postawa większości placówek akademickich w Polsce oraz instytutów Polskiej Akademii Nauk (poza ISP PAN chociażby z publikacjami „Na białych Polaków obława" czy też „Obywatel »Igła«, krawiec ze Skaryszewa. Analiza mikrohistoryczna kontrrewolucji wyklętych"), które konsekwentnie unikały prowadzenia badań naukowych na ten temat. Tłumaczenie, że wynikało to z „zawłaszczenia" przez IPN wspomnianej problematyki, nie odpowiada jednak prawdzie. Decydujące, jak się wydaje, okazały się tu względy światopoglądowe i polityczne, w ramach których nie było i nie ma na chwilę obecną miejsca nawet na wycinkowe prace licencjackie i magisterskie związane z podziemiem niepodległościowym – i to zarówno tym o obliczu antyniemieckim, jak i antykomunistycznym. Są uczelnie, na których w ciągu ostatnich 20 lat nie powstała na ten temat żadna praca. Wciąż czekamy zatem na monografie konspiracji białostockiej – zarówno nurtu poakowskiego, jak i obozu narodowego, nową odsłonę monografii o Okręgu Lubelskim DSZ-WiN (jedyna wydana do tej pory ma prawie 20 lat), podobnie jak na takie same opracowaniu o Okręgu Pomorskim DSZ-WiN, Okręgu Poznańskim DSZ-WiN, Okręgu Łódzkim WiN, nie mówiąc już o pełnym ujęciu tak złożonej przecież działalności całego Zrzeszenia.

Na placu boju pozostał więc tak naprawdę tylko IPN z jednym z 12 Centralnych Projektów Badawczych dedykowanych polskiemu podziemiu niepodległościowemu w latach 1944–1956 („Podziemie niepodległościowe 1944–1956 i ofiary represji zamordowane za działalność na rzecz niepodległego państwa polskiego"). Mimo skromnego zasobu kadrowego to tutaj powstały w ostatnich latach najważniejsze książki poświęcone: amnestiom („Komunistyczne amnestie lat 1945–1947. Drogi do »legalizacji« czy zagłady?"), Narodowemu Zjednoczeniu Wojskowemu („Przeciwko Pax Sovietica. Narodowe Zjednoczenie Wojskowe i struktury polityczne ruchu narodowego wobec reżimu komunistycznego 1944–1956"), Obszarowi Centralnemu WiN, Obszarowi Zachodniemu WiN, Ruchowi Oporu Armii Krajowej czy też powojennym siatkom wywiadowczym („W sieci. Powojenne polskie siatki wywiadowcze AK-DSZ-WiN, PSZ w latach 1944–1955"). Trzeba jednak wyraźnie podkreślić, że pomimo postawienia w nich wielu nowych tez żadna z wyżej wymienionych publikacji (poza fragmentarycznymi uwagami do monografii o NZW) nie doczekała się merytorycznej recenzji. Żadna też nie stała się przedmiotem rzeczowej dyskusji. Tak jakby w ogóle ich nie było. Czy jest to sytuacja normalna w świecie nauki? Zdecydowanie nie.

Przesyt?

Trzeci z powodów owego znalezienia się tematyki Żołnierzy Wyklętych na przysłowiowej mieliźnie wynika paradoksalnie ze zjawiska, które można określić mianem przesytu tematem. Półki księgarń od wielu lat uginają się wręcz od publikacji, których autorzy w lepszy lub gorszy sposób zajmują popularyzowaniem tej tematyki. Problem w tym, że w większości nie prowadzili oni i nie prowadzą żadnych własnych badań, a ich dzieła są w znacznym stopniu odtwórcze. Z pewnością zaś nie wnoszą do badań naukowych nowej jakości. Bezwiednie są oni za to autorami wrażenia – w znacznym stopniu fałszywego – że tematyka ta została już w całości opisana i po prostu nie warto się nią już zajmować.

To wrażenie przesytu wzmocnione zostało niestety wieloma niezbyt trafionymi przedsięwzięciami popularyzatorskimi – w tym filmami fabularnymi (np. o Mieczysławie Dziemieszkiewiczu „Roju" – „Historia Roja, czyli w ziemi lepiej słychać"), które raczej nie zachęcały do poważnego zajęcia się wyżej wymienioną problematyką. Tak naprawdę gdyby nie determinacja Arka Gołębiewskiego i jego autorskiego festiwalu filmowego NNW w Gdyni, podsumowanie na tym polu wypadałoby po kilku dekadach jednoznacznie źle.

Dlaczego przedstawianie wszystkich wspomnianych zagrożeń jest takie ważne? Otóż przekonanie, że uczyniliśmy już wszystko, aby na trwałe wpisać żołnierzy antykomunistycznego podziemia niepodległościowego do kanonu polskich bohaterów, jest założeniem złudnym, a w dłuższej perspektywie czasowej wręcz zgubnym. Wypada przypomnieć, że cała nasza wspólna praca nad tym dziełem to tylko 30 lat nowych artykułów, książek, różnego rodzaju inicjatyw wobec 45 lat oddziaływania intensywnej komunistycznej propagandy, według której nie zasługiwali oni w ogóle na pamięć, a jeśli już, to wyłącznie jako egzemplifikacja zła, demoralizacji, okrucieństwa. Czy udało się ten sposób myślenia całkowicie wyplenić? Czy pojęcie Żołnierzy Wyklętych – rozumiane jako rodzaj „dobra wspólnego" darowanego nam przez historię – podobnie jak powstańcy warszawscy, styczniowi czy listopadowi znalazło pełne zrozumienie w społeczeństwie? I nie chodzi tu bynajmniej o nawoływanie do bezrefleksyjnej apologetyki, ale właśnie o uznanie, że mimo przykładów zachowań nagannych, złych było to zjawisko POZYTYWNIE zapisujące się w historii Polski. Uważamy, że ciągle trzeba nad tym rzeczowo i konsekwentnie pracować.

Identyfikacja zagrożeń

Problematyka polskiego podziemia antykomunistycznego od 1989 r. znajdowała się na głównej osi sporu o to, czym tak naprawdę w najnowszej historii Polski był okres rządów komunistycznych. Trudno się zatem dziwić, że do dzisiaj – zwłaszcza w okolicach 1 marca

eprasa.pl c8c1f3511d

– jesteśmy świadkami kolejnych odsłon starych zmagań wyrastających wprost z korzeni i konotacji politycznych ich autorów. Nie są oni w stanie dostrzec nie tylko sporego dorobku naukowego ostatniego trzydziestolecia, który w jednoznaczny sposób przewartościował prace naukowe okresu PRL, lecz także faktu, że państwo polskie w 2011 r. decyzją swoich władz ustawodawczych uznało zbiorowość Żołnierzy Wyklętych za godną uhonorowania. Dla nich „Łupaszka", „Orlik", „Uskok", „Zagończyk" byli, są i będą zawsze „bandytami" – tak jak dla ich ojców czy dziadków rodem z UBP, MO, KBW oraz PPR.

Problem w tym, że w otwartej dyskusji publicznej pojawiły się nowe kategorie badaczy, którzy postanowili zmierzyć się z tematyką Żołnierzy Wyklętych, stosując nowy rodzaj metodologii lub też inne pseudonaukowe podejście wręcz utrudniające wypracowanie spójnego, obiektywnego obrazu tego niezwykłego zjawiska. Charakterystycznym elementem łączącym te postacie pochodzące z bardzo różnych środowisk jest brak własnych bądź źródłowych świadectw, a jedynie korzystanie ze znanego już kanonu publikacji. Cechuje ich skłonność do wywoływania taniej sensacji (według reguły im gorzej, tym lepiej) – najczęściej ze względów czysto merkantylnych, kosztem elementarnej prawdy historycznej i poczucia odpowiedzialności za przekaz, jaki formułują.

Szkody wywołane takimi publikacjami identyfikowanymi z reguły z autorami tzw. prawej strony są trudne do oszacowania. Bezwiednie nie tylko wzmacniają oni przekaz formułowany przez środowiska postkomunistyczne i lewicowe, lecz także podkopują de facto podstawy aksjologiczne całego zjawiska i ich miejsce w panteonie polskich bohaterów. Trudno przy ocenie skali i przyszłości tego modelu uprawniania historii być optymistą, biorąc pod uwagę dominujący w przestrzeni publicznej (multimedialnej) przekaz oparty właśnie na sensacyjności, wywoływaniu emocji, strachu.

Jeszcze inny sposób spojrzenia na Żołnierzy Wyklętych proponują niektórzy naukowcy akademiccy, którzy postawili sobie za cel „rozprawienie się" z historiografią powstałą po 1989 r. (np. „Rozważania nad historiografią polskiego powojennego podziemia niepodległościowego"). Stoją oni na stanowisku, że widoczne w warstwie opisowej zaangażowanie autorów po stronie żołnierzy podziemia niepodległościowego (okazywanie im sympatii) obniża, by nie rzec wręcz dyskwalifikuje, ich obiektywizm, a w konsekwencji obniża wartość naukową ich dzieł. Co ciekawe, trudno w ich publikacjach znaleźć za to jakiekolwiek merytoryczne uwagi do rozwikłanych z trudem konspiracyjnych struktur, międzyorganizacyjnych powiązań czy też rozszyfrowanych z takim mozołem nazwisk żołnierzy AK-DSZ-WiN, NSZ, ROAK, NZW. Nie ma ich tam z prostej przyczyny – braku elementarnej wiedzy pozwalającej na rzeczową konfrontację powziętych ustaleń.

To, co oferują w zamian, trudno nazwać inaczej jak historycznym nihilizmem pozbawionym jakiegokolwiek wartościowania i wskazania odbiorcy, po czyjej stronie była faktyczna słuszność. Czy w tym wydaniu historia pozostaje nadal prawdziwą „nauczycielką życia" czy tylko beznamiętną formą zapisu przeszłości? Odpowiedź na to pytanie wydaje się dla nas oczywista. Z pewnością ten model uprawiania historii nic konstruktywnego do dyskusji o Żołnierzach Wyklętych nie wnosi.

Na tym niestety nie koniec. W polskiej historiografii pojawiła się też nowa kategoria naukowców posługujących się eklektyczną techniką polegającą na dobieraniu spośród dostępnych publikacji fragmentów potwierdzających z góry stawiane przez nich tezy. Są one następnie przedstawiane jako wiodące przy opisaniu zjawiska Żołnierzy Wyklętych (np. „Antykomunistycznego podziemia portret zbiorowy 1945–1956. Aspekty mentalno-psychologiczne"). Stosując taki model pracy, można w zasadzie udowodnić wszystko. Problem jednak w tym, na ile owe konstatacje są reprezentatywne dla całości, a na ile niszowe. Niestety, w owych publikacjach z reguły brak odpowiedzi na te pytania. Podobnie jak

REKLAMA

NOWE
wydania dzieł George'a Orwella
jednego z najwybitniejszych autorów XX wieku

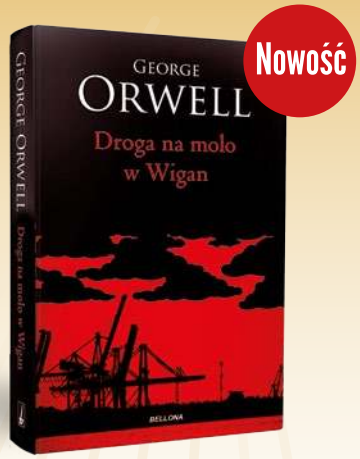

BELLONA

eprasa.pl c8c1f3511d

Prezentacja albumu o brygadzie „Łupaszki". Na zdjęciu: Tomasz Łabuszewski, współautor FOT. IPN

w przypadkach opisanych wcześniej głównie z powodu braku u tych autorów własnych szeroko zakrojonych badań źródłowych.

Kolejny przykład zagrożeń, na który warto zwrócić uwagę w kontekście prezentowania zjawiska Żołnierzy Wyklętych, jest tak naprawdę pochodną obniżenia poziomu rzeczowej, merytorycznej dyskusji lub w ogóle jej braku. W zastępstwie bowiem to popkultura zaczęła stawać się najważniejszym źródłem przekazu, niejednokrotnie doprowadzając na naginania faktów lub też ich zniekształcania. Wszyscy – zajmujący się na co dzień badaniami naukowymi na ten temat – powinniśmy mieć to na uwadze.

Szanse wykorzystane?

Kiedy spojrzymy na nowe jakości, które pojawiły się w ostatnich latach w przestrzeni publicznej odnośnie do popularyzacji zjawiska Żołnierzy Wyklętych, z pewnością na pierwszym miejscu wskazać należy dwa muzea, które statutowo mają się właśnie tym zajmować. Pierwsze z nich zostało już otwarte w Ostrołęce, drugie – zlokalizowane w budynkach byłego Aresztu Śledczego MBP przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie – ciągle czeka na przebudowę i nadanie ostatecznej formy architektoniczno-merytorycznej. Czy ofertę zaprezentowaną w działającej już w pełni placówce można uznać za satysfakcjonującą? W wariancie elementarnym w znacznym stopniu tak. Trudno jednak uciec od pytania, dlaczego zabrakło tam historii miejscowej kurpiowsko-mazowieckiej konspiracji, tak bogatej przecież zarówno w różnorakie formy organizacyjne, jak i postacie prawdziwych lokalnych bohaterów.

Podobna sytuacja występuje na płaszczyźnie periodyków dedykowanych Żołnierzom Wyklętym. Teoretycznie wygląda ona całkiem nieźle. Na rynku od kilku lat obecne są periodyk „Wyklęci" oraz pismo wydawane przez wspomniane już wcześniej Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL pt. „Rakowiecka 37". Obydwa mają jednak charakter popularyzatorski i w tej formie z pewnością nie wypełnią luki po dogasającej misji „Zeszytów Historycznych WiN-u". Warto, by osoby decydujące o ich profilu zawczasu o tym pomyślały bądź też podjęły decyzję o uruchomieniu nowego sensu stricto naukowego tytułu. Nowych wątków do pisania i materiałów źródłowych godnych upublicznienia z pewnością nie zabraknie na długie lata.

Na szczęście, na przekór jałowemu dyskursowi naukowemu, nie wygasł zapał, by nie rzec wręcz entuzjazm, społeczności lokalnych do upamiętniania i honorowania Żołnierzy Wyklętych. Nadal stawiane są pomniki lokalnych bohaterów, wmurowywane są kolejne tablice pamiątkowe, tworzone portale internetowe, organizowane kolejne rajdy „tropami wilczymi". Inicjatywy te z poziomu instytucji zajmujących się badaniem i popularyzowaniem wiedzy o tym zjawisku trzeba bezwzględnie wspierać – dbając o ich właściwy poziom merytoryczny.

Konieczny nowy impuls

Jak staraliśmy się wykazać, zarówno stan badań, jak i pozycja Żołnierzy Wyklętych na szlaku polskich dążeń niepodległościowych, mimo wielu działań, wcale nie jest mocno ugruntowana, z pewnością zaś nie jest ugruntowana raz na zawsze. Co więcej, pojawiły się nowe zagrożenia będące pochodną toczącej się w przestrzeni publicznej wojny światopoglądowej, w ramach której odwołania do tradycji i postaw patriotycznych zaczęły być traktowane przez część środowisk naukowych, opiniotwórczych jako zagrożenie dla nieograniczonej wolności współczesnego człowieka. Na ten fundamentalny podział ideowy nałożył się niestety konflikt polityczny, a zjawisko Żołnierzy Wyklętych zaczęło być postrzegane jako jeden z czołowych tematów tzw. polityki historycznej rządu, ze wszystkimi tego negatywnymi konsekwencjami. W efekcie dyskurs merytoryczny utkwił w przysłowiowym martwym punkcie.

Aby z niego wyjść, i to na dodatek w sposób konstruktywny, konieczny jest nowy impuls do szeroko zakrojonych badań – zamieniających hipotetyczne dotąd ustalenia dotyczące np. liczebności podziemia, jego postawy ideowej, opisu zbiorowości (wieku, wykształcenia, wcześniejszych związków z konspiracją niepodległościową), a także represyjności systemu komunistycznego (liczby ofiar bezpowrotnych). Dopiero wówczas przestaniemy kręcić się w bębnie, a zdobyte w ten sposób argumenty staną się trudne do podważenia przez kogokolwiek.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Poglądy tu prezentowane są wyłącznie naszymi poglądami na omawiany temat – dr Kazimierz Krajewski, dr Tomasz Łabuszewski.

eprasa.pl c8c1f3511d

Oddział Ryszarda Sosnowskiego „Wydry" FOT. IPN

1945–1947 / Okręg Białostocki Narodowego Zjednoczenia Wojskowego

Zwycięskie powstanie antykomunistyczne

Konrad Kozłowski

/ O co naprawdę chodziło Niezłomnym, którzy w 1947 r. wystąpili o amnestię?

Słuchając opinii, które pojawiają się przy tematyce Wyklętych, można dojść do wniosku, że wielu, a może nawet większość Polaków postrzega powstanie antykomunistyczne w kategoriach klęski. Społeczeństwo traktuje ów zbrojny wysiłek jako rozpaczliwy akt, kolejne przegrane powstanie zbrojne. Ilustracją bywają sylwetki żołnierzy niezłomnych – desperatów, samotnie walczących jeszcze w latach 60. Niewątpliwie owi ludzie godni są wiekuistej chwały. Niemniej obraz powstania zostaje poważnie zawężony, a zwłaszcza odarty z dokonań.

Zauważmy, że taki obraz zjawiska dobrze wpisuje się w wysiłki komunistycznej propagandy, według której powstanie zakończyło się „rozgromieniem band przez organa bezpieczeństwa". Podobną „wiedzę" na temat powstania antykomunistycznego rozpowszechniają historycy – także o przekonaniach prawicowych i narodowych – a w konsekwencji masy polskich obywateli.

Jaka jest prawda?

Celem nadrzędnym Wyklętych było wywalczenie niepodległości, ale taka możliwość nie istniała. Polska była odizolowana od Europy Zachodniej. Nie było realnej szansy na rozwiązanie sytuacji drogą militarną. Dlatego walkę zbrojną uznawano za szaleństwo. Komenda Główna NZW zalecała działalność wywiadowczą i propagandową. Pomimo tego powstanie zbrojne wybuchło i stało się ważnym etapem na drodze do niepodległości. Akcje podziemia miały odgrywać rolę demonstracji politycznej, będącej wyrazem niezgody na utratę niepodległości.

Tragedia powstania warszawskiego spowodowała ogólny upadek ducha, wywołała uczucie rozpaczy. Kolejnym ciosem było rozwiązanie AK w styczniu 1945 r. Gasły nadzieje powszechnego powstania, a Polska jawiła się jako kraj

eprasa.pl c8c1f3511d

bezbronny wobec sowieckiej okupacji. Szczególnie w takiej sytuacji bezczynność byłaby wyrazem uległości i zgody na sowietyzację; miałaby tragiczne konsekwencje.

Walki powstańcze

Dla żołnierzy AK i NSZ nie było miejsca w nowej rzeczywistości. Pozostanie „w lesie" stało się koniecznością, a poczynania okupanta domagały się odpowiedzi. Dlatego w całej Polsce, a szczególnie na terenach województw białostockiego, lubelskiego i rzeszowskiego, toczyły się zażarte walki z okupantem sowieckim i ich „polskimi" pachołkami. Epicentrum powstańczych działań stały się Białostocczyzna i północno-wschodnia część województwa warszawskiego. Na tych terenach od II połowy roku 1945 (po epizodzie z AKO) cały ciężar walki zbrojnej przejęło podziemie narodowe. Tu, według źródeł ubeckich, znajdowało się „jedno z najgroźniejszych skupisk podziemia". Taki stan rzeczy potwierdzają współcześni badacze: „W latach 1945–1947 największe natężenie walki zbrojnej NZW miało miejsce w Białostockiem, gdzie dużą aktywność wykazywały oddziały powiatowych PAS [Pogotowie Akcji Specjalnej]".

Organizacja chroniła ludność cywilną przed represjami. Z więzień i aresztów uwalniano osoby związane z podziemiem, likwidowano przedstawicieli reżimu i ich konfidentów, a także partyjnych agitatorów. Rozbijano ośrodki komunistycznej władzy. Był to okręg, w którym poza Łomżą i Białymstokiem okresowo nie funkcjonowały posterunki MO i UB, rozbite przez podziemie. W terenie miały miejsce liczne akcje, potyczki, a wreszcie bitwy. Prowadzono ożywioną działalność propagandową oraz wywiadowczą. Pozostaje długa lista dokonań, a w tym poważnych sukcesów. Pełny obraz sytuacji wymaga dotarcia do dokumentacji sowieckiej.

Poczynania podziemia spowodowały silną kontrreakcję UBP i KBW w II połowie 1946 r., naznaczoną wysoką liczbą zabitych i rannych. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza.

Warto sobie uświadomić, że – jako opór masowy – powstanie trwało do wiosny 1947 r. Owe „bandy" nigdy (!) nie zostały „rozgromione", jak chełpliwie głosiła komunistyczna propaganda, ale same – poza niewielką częścią – zaprzestały zbrojnego oporu.

Wiedza na temat osiągnięć powstania antykomunistycznego nie dociera do zbiorowej świadomości. Wedle lewicowych historyków, często podszywających się pod apologetów nurtu AK-owskiego, takiego powstania w ogóle nie było! Takie tezy stawiają historycy nastawieni wrogo do podziemia narodowego, które sprowadzają do „partyjnej bojówki". Trzykrotnie redukuje się liczbę żołnierzy, uczestników powstania w Białostockiem! Kością w gardle staje dorobek podziemia narodowego. To jest głównym „grzechem" powstania antykomunistycznego.

Stan liczbowy podziemia narodowego w literaturze historycznej jest bardzo zaniżony, co prowadzi do błędnych wniosków i ocen. Zwykle napotykamy bardzo ostrożne szacunki, a przecież dane na ten temat nie są tajemnicą; chodzi tu o 14,2 tys. żołnierzy w momencie połączenia NSZ z NOW. W raportach z roku 1953 funkcjonariusze UBP oceniali siły podziemia w Białostockiem w okresie amnestii na 7,6 tys. żołnierzy, a według dowództwa NZW liczyły ok. 12 tys.

Amnestia 1947

W publicystyce historycznej skorzystanie z amnestii 1947 r. bywa oceniane jako zjawisko negatywne, ba... nawet zdrada. Krytycy – w tym autorzy poważnych opracowań – są zdania, że walkę należało kontynuować. Piszący o Wyklętych bystrze zauważają, że amnestia była li tylko „pułapką", „podstępem komuny". A przecież nikt nie podejrzewał ubecji o dobre intencje! Ujawniający się nie byli ludźmi tak naiwnymi; doskonale rozumieli, o co chodzi komunie, której nie ufali, i mieli świadomość wielkiego ryzyka. Pozostawała kwestia amnestyjnych obietnic. Mimo oficjalnych uroczystych deklaracji i wszelkich gwarancji zdawano sobie sprawę, że ujawnionych czeka wielka niewiadoma. I mieli rację; wielu zapłaciło wysoką cenę.

Alternatywę stanowił wysiłek militarny bez najmniejszej szansy na zwycięstwo. Ujawnienie było trudnym kompromisem, podjętym w sytuacji bez wyjścia. Ważnym wskaźnikiem jest tu wysoka liczba poległych, rannych i pojmanych na skutek 17 obław, poprzedzających ogłoszenie amnestii. Otóż „w roku amnestii, czyli w 1947, zginęło w walkach 2200 żołnierzy, a 1670 było rannych". Pomimo tego NZW w Białostockiem w dalszym ciągu dysponowało poważną siłą, zdolną wyrządzić komunistom duże szkody. Jednocześnie przykrym zjawiskiem, odbierającym ludziom nadzieję, była obojętność Zachodu na sytuację w bloku sowieckim. Nasi „sojusznicy" bez większego sprzeciwu „łyknęli" rezultaty sfałszowanych wyborów w lutym 1947 r.

Bezpośrednią przyczyną zaprzestania oporu była – wobec zmęczenia latami okupacji i braku perspektyw na wywalczenie niepodległości – niechęć części żołnierzy do dalszej walki. Przestali słuchać rozkazów dowództwa i samowolnie zgłaszali się do komisji amnestyjnych. Z kolei nawet częściowe ujawnianie prowadziło do dekonspiracji oraz paraliżu dalszej walki i zmuszało kolejnych żołnierzy do pójścia w ich ślady. Faktem jest, że „w czasie amnestii ujawniła się tylko część członków konspiracji, przeważnie ci, którzy byli w zbrojnych oddziałach i zdekonspirowani. Większość utajnionych nie poszła do komisji amnestyjnych".

Dla wielu ujawnionych nie był to akt kapitulacji, ale wymuszona sytuacją okresowa zmiana taktyki walki. Dowódcy magazynowali broń, która była w dobrym stanie, natomiast z taką, która nie nadawała się do użytku, zgłaszali się do komisji likwidacyjnych. Według statystyk UBP w Białostockiem ujawniło się ok. 22 proc. żołnierzy NZW (a faktycznie ok. 14 proc.), co nie było rezultatem zadowalającym. Raport UB z danymi opatruje następujący komentarz: „Baza ta podatna jest do prowadzenia wrogiej działalności skierowanej przeciwko Polsce Ludowej". Niewątpliwie to pociągnęło za sobą śledztwa i dalsze aresztowania. Usiłowania UBP ukierunkowane były przeciwko kontynuującym walkę. Właśnie dlatego zmuszali ujawnionych do współpracy.

Z różnych artykułów i wypowiedzi dowiadujemy się, że generalnie korzystający z amnestii byli więzieni i przesłuchiwani (a przy okazji „zdradzali kolegów"), a następnie mordowani. Nie jest to

eprasa.pl c8c1f3511d

prawdą, bo – inaczej niż w przypadku amnestii z 1945 r. – ogół (!) ujawnionych jednak przeżył. Tak się składa, że wychowałem się w środowisku uczestników powstania – członków rodziny, przyjaciół i znajomych, których część przeszła ciężkie śledztwa. Pomimo tego uważali, że nie mieli alternatywy. Podobne opinie słyszałem od ludzi z innych regionów. Jeden z żołnierzy (a jest to opinia typowa) tak oto powiedział o swojej decyzji ujawnienia: „Dostałem list od swojego dowódcy – poznałem po piśmie, że to od niego – a w środku był wycinek z gazety o amnestii i z tego skorzystałem, i całe szczęście, bo byłoby może trochę inaczej. Masa ludzi jednak nie ujawniła się. I za to były wyroki po 10–15 lat".

Słyszałem więcej podobnych wypowiedzi.

Inny z ujawnionych – wspominając oddział, w którym walczył, i kolegów – zauważył: „Przez [...] oddział przewinęło się ponad 80 osób (oddział liczył średnio 55 osób), chyba 20% nie ujawniło się. Z tych 20% prawie wszyscy wyginęli w przeciągu 2 lat".

Jaki był los tych, którzy skorzystali z amnestii? Niektórzy stali się obiektem zemsty funkcjonariuszy. Prawdą jest, że wielu doświadczyło brutalnych przesłuchań; zwykle dotyczyło to ludzi pełniących funkcje dowódcze. Po „odbyciu kary" często dalej byli szykanowani. Wiadomo też, że część ujawnionych utrzymywała kontakty z podziemiem i brała udział w akcjach. W taki sposób formalnie łamali warunki amnestii, co stawiało ich w sytuacji bez wyjścia. Ludzie z tej grupy na ogół polegli w ciągu najbliższych lat. Duże wyroki otrzymywali nieujawnieni. Poza tym przykre konsekwencje w postaci więzienia spotkały ludzi wspomagających podziemie; nie byli objęci amnestią.

Oceny, rezultaty...

Nie ulega wątpliwości, że pozostanie w oddziałach zbrojnych było utopią. Sam szef propagandy NZW kpt. J. Pilaciński ps. Lech po latach wyznał, że nawoływanie do kontynuowania walki zbrojnej było błędem, a podziemie było skazane na zagładę. Takie opinie jakoś nie zniechęcają krytyków amnestii; zniesławiają

Władysław Żwański, komendant okręgu NZW Białystok FOT. IPN

dowódców, którzy jednak podjęli właściwą decyzję.

Co by dało kontynuowanie walki zbrojnej? Ogrom tragedii; tysiące ofiar i morze łez Polaków – zarówno wojskowych, jak i cywili. Chodzi o następstwa: karne ekspedycje i pacyfikacje; mordowanie, aresztowania, wyroki śmierci, konfiskaty majątku itd. Szczęśliwie do tego nie doszło – ku wielkiemu niezadowoleniu tej grupy, która może najgłośniej krytykuje, ba, ostro potępia rozkaz o wybuchu powstania warszawskiego i wskazuje na ofiary wśród ludności cywilnej.

Powstanie antykomunistyczne było przedsięwzięciem niezbędnym, ale jednocześnie jednym z narodowych powstań, które nie zakończyło się klęską. Paradoksalnie do tego przyczyniła się amnestia. Na jej przyjęciu niewątpliwie zaważyły endecka ideologia i myśl polityczna, w których nie było zgody na szafowanie polską krwią w rozpaczliwym wysiłku, który nie mógł przynieść zwycięstwa. Chodziło o biologiczne przetrwanie narodu, tak bardzo wyniszczonego wojną. Fundamentami endeckiej ideologii są Biblia i nauka społeczna Kościoła, która nie akceptuje samobójstwa.

Nasuwa się pytanie dotyczące oceny dokonań podziemia narodowego. Poeta odpowiada sarkastycznie: „Pozostał po nich w białym śniegu żółtawy mocz i ślad ich wilczy".

Tylko tyle, bo wszystko, co było do osiągnięcia, zostało już dawno rozparcelowane i uwłaszczone – łącznie z wyjątkowym miejscem Polski w „demoludach", prywatną własnością gospodarstw rolnych czy pozycją polskiego Kościoła, względnymi swobodami itd. A przecież dobrze wiemy, że Sowieci nie liczyli się z pokonanymi; nie czynili ustępstw ani koncesji. Zauważmy, że w tym czasie inni mieszkańcy „bloku" raczej nie sprawiali kłopotów. W „nagrodę" żyli w ostrzejszym reżimie.

Powstańcy niejako wywalczyli sobie prawo do życia. Był z tym duży problem, bo wyznawane wartości sprawiały, że dla wroga byli ludźmi niereformowalnymi. Dlatego czekała ich śmierć, więzienie i poniewierka. Świadectwem tego jest amnestia z 1945 r. Komunistom najwyraźniej chodziło o pozbawienie życia jak największej liczby partyzantów. A jednak – po ciężkich walkach – bardzo zabiegali o porozumienie z podziemiem narodowym, bo jego żołnierze nie dali się wybić i łatwo pokonać, na co liczyła bezpieka. Ogłoszenie amnestii niewątpliwie było oznaką słabości komuny.

Przez lata PRL komuniści mieli pełną świadomość, że tylko stosunkowo niewielki procent walczących skorzystał z amnestii. Ten fakt długo utrzymywał służbę bezpieczeństwa w stanie gotowości. Jeszcze w latach 70. przeprowadzano śledztwa w sprawie składów broni.

Nie można zapominać o ważnej sprawie tzw. Białorusi Zachodniej, czyli województwa białostockiego. Przed laty prof. Szeremietiew zwrócił uwagę na „działalność specjalnej grupy operacyjnej podległej białoruskim władzom bezpieczeństwa, a wysłanej w drugiej połowie 1944 r. na Białostocczyznę. Być może świadczy to o zamiarze anektowania Podlasia do ZSRR (grupę białoruskiego NKWD rozwiązano w grudniu 1944 r.)?. Prawdopodobnie także w tym przypadku opór podziemia ostudził zaborcze zapędy Sowietów.

Rezultaty moich badań prezentowałem już w publikacji „Nienawróceni" (wyd. Anhelli.Project, Ottawa 2019), poświęconej moim bliskim, a szczególnie mojemu śp. Ojcu – kpt. Bolesławowi Kozłowskiemu ps. Grot, Hanka, Marek, żołnierzowi NOW/NSZ/NZW, zastępcy komendanta Okręgu XV NZW Białystok, krypt. Chrobry. W tejże komendzie moja śp. Matka, ppor. Krystyna Kozłowska (z d. Chętnik) ps. Maria, Cyganka, Nurt, pełniła funkcję szefa Wydziału III (Propaganda).

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Żołnierze oddziału Anatola Radziwonika „Olecha"

FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA KRAJEWSKIEGO

1943–1953 / Ostatni obrońcy polskich Kresów Północno-Wschodnich

Żołnierze Zapomniani

Kazimierz Krajewski

Tomasz Łabuszewski

„Nie miej pretensji do tych, którzy przegrali bitwę. Trzeba mieć w sobie wiele odwagi, by znaleźć się w miejscu, w którym bitwę się przegrywa" (prof. Henryk Elzenberg)

Gdy mówimy o oporze stawianym przez Żołnierzy Wyklętych dyktaturze komunistycznej, coraz częściej określanym przez badaczy nowej generacji jako polskie powstanie antykomunistyczne, zapominamy na ogół o tym, co się działo na terenach polskich „Ziem Utraconych" (Kresów Wschodnich), oddanych przez naszych sojuszników Związkowi Sowieckiemu. Mieszkały tam miliony Polaków. Były to województwa wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, lwowskie, tarnopolskie, stanisławowskie i spora część białostockiego (powiaty Grodno i Wołkowysk oraz wschodnia część powiatu augustowskiego). Liderzy zachodniej demokracji, Roosevelt i Churchill, kompletnie nie interesowali się zdaniem, które miliony tamtejszych mieszkańców miały na temat swej przynależności państwowej – co było ewidentnym zaprzeczeniem zasad Karty atlantyckiej przyjętej w sierpniu 1941 r. (zwłaszcza jej punktów 2 i 3). Gdyby w okresie konferencji pokojowej 1945 r. przeprowadzono na Kresach II RP uczciwie referendum, ogromna większość mieszkańców, także spośród mniejszości narodowych, mając do wyboru Polskę (nawet tę komunistyczną) lub sowiecki „czerwony raj", w którym nie istniały prawa obywatelskie, a ludzie umierali z głodu, opowiedziałaby się za przynależnością do państwa polskiego. Nikt nie zamierzał im jednak proponować takiego wyboru.

Zbrojna walka żołnierzy polskiego podziemia niepodległościowego z reżimem komunistycznym rozpoczęła się na Kresach Północno-Wschodnich (Wileńszczyzna, Nowogródczyzna i Grodzieńszczyzna) w roku 1943 r. Stronę polską reprezentowała tu Armia Krajowa, a stronę sowiecką tzw. czerwona partyzantka. Doszło tam do sytuacji zupełnie paradoksalnej – miejscowe struktury AK obowiązywał rozkaz traktowania oddziałów sowieckich jako sojuszników, a sowieccy partyzanci mieli rozkaz zwalczania wszelkimi sposobami oddziałów AK. Mimo że na Nowogródczyźnie strona polska aż dziesięciokrotnie, a na Wileńszczyźnie kilkakrotnie podejmowała próby rozmów z Sowietami, nie zamierzali oni traktować AK-owców na zasadach sojuszniczych czy partnerskich. Polski zbrojny ruch niepodległościowy spod

eprasa.pl c8c1f3511d

znaku AK był dla nich wyłącznie wrogą siłą, którą należało zniszczyć (elementami antysowieckimi, bandami białopolaków, białobandytami, faszystami Sikorskiego itp.).

Niewypowiedziana wojna

O ile początkowo Sowieci działali drogą wystąpień skrytobójczych, o tyle po zerwaniu w połowie kwietnia 1943 r. stosunków dyplomatycznych z rządem polskim na uchodźstwie – 22 czerwca 1943 r., gdy KC WKP(b) podjął uchwałę „O przedsięwzięciach w zakresie dalszego rozwoju ruchu partyzanckiego w zachodnich obwodach Białorusi" – rozpoczęli otwartą walkę z Armią Krajową.

Na pierwszy ogień poszły te polskie oddziały, które już z nimi współpracowały. 26 sierpnia 1943 r. Sowieci zlikwidowali nad jeziorem Narocz oddział ppor. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica", a 1 grudnia 1943 r. Batalion Stołpecki AK w Puszczy Nalibockiej. Na Polesiu ofiarą ich agresji padły trzy mniejsze oddziały AK. Ofiarą czerwonych partyzantów padały całe miejscowości, jak np. spacyfikowane przez nich Naliboki (128 zabitych), Koniuchy (ok. 40 zabitych), Kamień (21 poległych AK-owców i 20 osób cywilnych) oraz wsie Szczepki, Niewoniańce, Prowżały, Kupisk – za każdym razem z rąk bolszewików ginęli tam cywilni mieszkańcy.

Lokalni dowódcy AK zmuszeni zostali do podjęcia samoobrony. Na Nowogródczyźnie w działaniach tych wyróżnili się ppor. Czesław Zajączkowski „Ragner" działający nad Niemnem, a w Puszczy Nalibockiej por. cc. Adolf Pilch „Góra", „Dolina" i chor. Zdzisław Nurkiewicz „Noc", „Nieczaj". Na Wileńszczyźnie skutecznie przeciwstawiał się bolszewikom por./mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" dowodzący 5. Wileńską Brygadą AK sformowaną z rozbitków pozostałych po oddziale „Kmicica".

Jak widać – począwszy od wiosny 1943 r., na Kresach Północno-Wschodnich toczyła się niewypowiedziana partyzancka wojna polsko-sowiecka. Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej z perspektywy Wilna i Lidy niż z perspektywy Londynu i Warszawy. Niezależnie od „sojuszniczych dążeń" swych przełożonych lokalne siły AK musiały bronić ludności przed sowieckim terrorem.

Latem 1944 r., gdy armia sowiecka wyparła z polskich Kresów wojska niemieckie, lokalne dowództwa AK oceniały, że celowe będzie przetrwanie polskiej organizacji niepodległościowej na tym terenie do czasu zakończenia wojny i oczekiwanej konferencji pokojowej. Takie stanowisko zajmował podpułkownik cichociemny Maciej Kalenkiewicz „Kotwicz", będący p.o. komendantem Nowogródzkiego Okręgu AK. Jego śmierć wraz z 36 podkomendnymi w boju stoczonym z wojskami NKWD pod Surkontami 21 sierpnia 1944 r. miała charakter wręcz symboliczny, a walka ta określana jest dzisiaj jako „polskie kresowe Termopile").

Kolejne komendy Okręgów Wilno i Nowogródek oraz Inspektoratu Grodzieńskiego zgodnie oceniały, że konflikt „wolnego świata" z sowieckim „imperium zła" jest nieunikniony i że przy aktywnej postawie polskiej społeczności uda się odzyskać należne Polsce granice. Nadal więc z ogromnym poświęceniem kontynuowano konspirację. Do lata 1945 r. Komendy Okręgów Wilno i Nowogródek oraz sztab Inspektoratu Grodzieńskiego AK dotrwały na straconych posterunkach, koordynując polską działalność konspiracyjną i partyzancką. Dość powiedzieć, że Komenda Okręgu AK Wilno była w warunkach ponownej okupacji sowieckiej rozbijana trzykrotnie i za każdym razem odbudowywana. Na stanowisku komendanta Okręgu AK Nowogródek zmiana odbyła się aż pięciokrotnie!

Antoni Burzyński „Kmicic"
FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA KRAJEWSKIEGO

Nad Niemnem i Wilejką

Pomimo postępującej destrukcji na Nowogródczyźnie operowało co najmniej 40 poakowskich oddziałów partyzanckich, na Wileńszczyźnie – 29, a na Grodzieńszczyźnie – 10. Najsilniejszymi jednostkami antykomunistycznej partyzantki na Nowogródczyźnie były Zgrupowanie „Południe" ppor. Czesława Zajączkowskiego „Ragnera" (poległ 3 grudnia 1944 r. koło hutoru Jeremicze) i Zgrupowanie „Północ" por. Jana Borysewicza „Krysi" (poległ 21 stycznia 1945 r. pod Kowalkami). Podległe im oddziały likwidowały szkodliwych funkcjonariuszy rosyjskiego aparatu okupacyjnego, agentów NKWD, atakowały grupy operacyjne przeprowadzające łapanki i aresztowania, wykonywały ataki na sowieckie linie komunikacyjne (akcja „Rocznica" przeprowadzona we wrześniu 1944 r.), odbijały więźniów – m.in. por. „Krysia" w grudniu 1944 r. odbił 34 więźniów z Rejonowego Oddziału NKWD w Ejszyszkach.

Sowieckie operacje przeciwpartyzanckie zadawały nowogródzkim partyzantom kolejne ciosy. 7 stycznia 1945 r. w Puszczy Rudnickiej częściowemu rozbiciu uległy oddziały „Komara" i „Zemsty" (poległo 31 żołnierzy AK). 13 marca 1945 r. w Piaskowcach oddział NKWD udający partyzantkę antykomunistyczną wymordował oddział Wacława Weremowicza „Kuny" i dokonał rzezi członków siatki konspiracyjnej AK w okolicznych wioskach, którzy podczas współpracy z nim rozkonspirowali się (zabito 30 partyzantów i kilkudziesięciu AK-owców z siatki terenowej).

Do najaktywniejszych oddziałów walczących na Wileńszczyźnie należały cztery Oddziały Samoobrony Czynnej Ziemi Wileńskiej (OSCZW) dowodzone przez

eprasa.pl c8c1f3511d

por. Hieronima Piotrowskiego „Jura" (a następnie przez rtm. Władysława Kitowskiego „Orlicza", „Groma"), por. Witolda Turonka „Tumrego", ppor. Sergiusza Kościałkowskiego „Fakira" i pchor. Jana Lisowskiego „Korsarza". Oprócz tworzonych w sposób planowy wspomnianych OSCZW powstało wiele oddziałów i grup partyzanckich złożonych z AK-owców kryjących się przed aresztowaniami. Łącznie poakowskie jednostki partyzanckie operujące na Wileńszczyźnie skupiały w swych szeregach ok. tysiąca żołnierzy walczących z bronią w ręku.

Losy większości wymienionych oddziałów ułożyły się nader dramatycznie. Pierwszy i drugi oddział SCZW przeprowadziły błyskotliwą kampanię jesienno-zimową w powiecie oszmiańskim oraz w rejonie Puszczy Nalibockiej. Wobec wzmagających się sowieckich represji Komenda Okręgu Wileńskiego postanowiła przerzucić je na teren Białostocczyzny, gdzie miały zostać zdemobilizowane. Obie jednostki w sile blisko 200 żołnierzy po opuszczeniu masywu Puszczy Nalibockiej zostały 29 stycznia 1945 r. rozbite przez przeważające siły NKWD pod Rowinami, tracąc ponad 80 poległych. Trzeci Oddział SCZW „Fakira" został rozbity na początku lutego 1945 r. w Raubiszkach, a czwarty pod komendą „Korsarza" ujawnił się podczas tzw. amnestii ogłoszonej przez NKWD w maju 1945 r. W czerwcu 1945 r. w Nowosadach została wybita przez NKWD grupa „Edka" (ponad 30 zabitych).

Na Grodzieńszczyźnie najaktywniejsze były oddziały Obwodu Wołkowysk: „Żagiew" dowodzona przez chor. Kostiuka vel Piotrowskiego „Dziadka", oddział „Reduta" ppor. Pawluczenki „Oskara", oddział „Wicher" Dymitra Kozła „Capa" i oddział ppor. cz.w. Stefana Pabisia „Stefana" występujący pod nazwą Bojowy Oddział Armii (BOA). Grupy te działały z wielką dynamiką, likwidując wielu funkcjonariuszy i agentów sowieckich, zapuszczając się aż w Nowogródzkie i na Polesie. „Żagiew" została rozbita 17 kwietnia 1945 r. koło Podbłocia, „Reduta" – w dniach 2–3 lipca 1945 r. w rejonie Święcicy Wielkiej i Porozowa, a oddział „Capa" – 12 września 1945 r. w gminie Podorsk. Jedynie grupa BOA po odniesieniu wielu sukcesów w walce z agenturą NKWD zdołała pod koniec września 1945 r. przedrzeć się przez nową polsko-sowiecką granicę. Po zalegalizowaniu w Bobolicach (Pomorze Zachodnie) wznowiła działalność w ramach białostockiego WiN. Doraźnie współdziałała także z 5. Brygadą Wileńską AK.

W okresie od lata 1944 r. do jesieni 1945 r. na Nowogródczyźnie, Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie poległo w walkach z NKWD ok. tysiąca polskich partyzantów. To tak, jakby stoczono tam drugą bitwę o Monte Cassino – tyle że ta z maja 1944 r. jest powszechnie znana, a ta kresowa w ogóle nie istnieje w świadomości dzisiejszych Polaków.

„Operacja Zachód"

Wiosną 1945 r. na Kresach Północno-Wschodnich II RP rozpoczęła się ewakuacja żołnierzy AK (tzw. Operacja Zachód). AK-owcy, którzy nie byli zdekonspirowani, mieli czynić to drogą oficjalną, w tzw. transportach repatriacyjnych. Żołnierzom rozwiązanych oddziałów leśnych starano się zapewnić dokumenty przygotowane przez wileńską komórkę legalizacji. Tą samą drogą przerzucono też część wyposażenia organizacyjnego i technicznego (w tym także komórki legalizacji i kasę Okręgu Wileńskiego). Część partyzantów, zwłaszcza całkowicie „spalonych", miała przebić się przez granicę z bronią w ręku. Doszło wówczas do walk, m.in. 3 lipca 1945 r. rozbita została grupa N.N. „Komara" (18 poległych), 28 lipca 1945 r. połączone wileńskie i nowogródzkie oddziały („Lalusia", „Pioruna", „Maroczego" i „Jurka") już po przejściu granicy odparły atak NKWD oraz jednostek KBW i UBP pod wsią Kraśniany (poległo jednak 12 partyzantów, a czterech wzięto do niewoli), 13 sierpnia 1945 r. w rejonie wsi Durycze rozbito niezidentyfikowany oddział AK idący w kierunku granicy (33 zabitych, 15 jeńców). W drugiej połowie 1945 r. tzw. linię Curzona przeszło w kilku zwartych grupach zbrojnych co najmniej kilkuset konspiratorów z Obwodów Grodno Prawy i Lewy Niemen oraz Wołkowysk. Ostatnie oddziały z Inspektoratu Grodzieńskiego przedarły się zaś z bronią w ręku w lutym i marcu 1946 r.

Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" (w środku) ze swoimi żołnierzami FOT. IPN

Kresowi AK-owcy ewakuowani na teren pojałtańskiej Polski odtworzyli swe konspiracyjne struktury. Był to ekssterytorialny Wileński Okręg AK, dowodzony przez ppłk. Antoniego Olechnowicza „Pohoreckiego", działający w latach 1947–1948 jako Ośrodek Mobilizacyjny Okręgu Wileńskiego AK. Na Podlasiu, Pomorzu, Warmii i Mazurach podlegały mu m.in. odtworzone przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę" oddziały partyzanckie 5. i 6. Brygady Wileńskiej. Został rozbity w lecie 1948 r. (w ramach ogólnopolskiej operacji MBP o kryp-

eprasa.pl c8c1f3511d

tonimie X), natomiast wspomniana partyzantka dotrwała na Podlasiu aż do 1952 r.

„Olech" i inni

Operacja „Zachód" nie stanowiła jednak końca walki Polaków z sowieckim zaborcą na Kresach Północno-Wschodnich II RP. Mimo że dowództwo opuściło ten teren i kontynuowało walkę z „komuną" w granicach obecnej Polski, na Nowogródczyźnie, Wileńszczyźnie i Grodzieńszczyźnie pozostały dość liczne ogniwa sieci konspiracyjnej AK oraz wiele oddziałów i grup partyzanckich. Ludzie biorący udział w polskiej działalności niepodległościowej i zbrojnej po 1945 r., mimo że AK została rozwiązana, a Komenda Okręgu zakończyła działalność, nadal uważali się za żołnierzy Polski Podziemnej. Jeszcze w końcu lat 40. używali nazwy „AK".

W latach 1946–1951 na Wileńszczyźnie utrzymało się jeszcze kilka skupisk polskiej konspiracji oraz wiele niewielkich oddziałów partyzanckich. Do najsilniejszych ośrodków oporu należały pozostałości dawnego Obwodu AK Brasław (północna Wileńszczyzna) i związany z nimi oddział partyzancki zorganizowany przez Stanisława Biełusa „Skrzetuskiego", „Skałę" i Kazimierza Stabulańca „Miłosza". Przez jego szeregi przewinęło się kilkudziesięciu żołnierzy. Operował on zarówno w białoruskiej, jak i w litewskiej części Wileńszczyzny. Wedle dokumentacji sowieckiej utrzymywał poprawne stosunki czy też nawet współpracował z litewskim oddziałem „Rokasa". W sumie miał dokonać 76 „aktów terrorystycznych", czyli akcji zbrojnych.

Jedną z większych i bardziej udanych operacji brasławskiej partyzantki było opanowanie nocą z 21 na 22 czerwca 1947 r. miasteczka Opsa. Sowieckie siły specjalne zlikwidowały ostatni oddział partyzantów brasławskich dopiero podczas operacji przeprowadzonej w dniach 11–12 września 1951 r. Poległ dowodzący oddziałem „Miłosz", a jego 11 podkomendnych wzięto żywcem. Sowiecki trybunał w Połocku skazał w kwietniu 1952 r. 10 partyzantów na karę śmierci, a jednego na 25 lat łagrów. Równie

Anatol Radziwonik „Olech"

FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA KRAJEWSKIEGO

wysokie kary otrzymało 21 członków konspiracyjnej siatki terenowej z powiatu brasławskiego.

Najsilniejszym polskim ośrodkiem kontynuującym po 1945 r. opór przeciwko okupantowi sowieckiemu na Nowogródczyźnie było lokalne centrum dowódcze, powstałe z połączenia dwóch największych struktur terenowych Okręgu AK Nowogródek, tj. obwodów Lida i Szczuczyn, dowodzone przez ppor. Anatola Radziwonika „Olecha" (w czasie okupacji niemieckiej oficera w VII batalionie 77 pp. AK). Funkcję jego zastępcy pełnili: sierż. Paweł Klikiewicz „Irena" (do maja 1947 r.), a po jego śmierci ppor. Witold Maleńczyk „Cygan". Obwód dzielił się na placówki, nierównomiernie rozrzucone na terenie dwóch wspomnianych powiatów. Dysponował także zgrupowaniem partyzanckim. Tworzyły je: oddział dyspozycyjny komendanta „Olecha" oraz pododdziały dowodzone przez sierż. „Irenę", ppor. „Cygana" i Petera Fitza „Petera", „Francuza" (Alzatczyka służącego w AK).

W szeregach konspiracji i partyzantki dowodzonej przez „Olecha" panował prawdziwie obywatelski duch, wywodzący się z tradycji Armii Krajowej. Służyli tu obok siebie przedwojenni obywatele II RP bez względu na wyznawaną wiarę – najliczniejsi katolicy, a także prawosławni oraz antykomuniści niebędący Polakami – ochotnicy narodowości ukraińskiej lub rosyjskiej. Jeden z nich, lejtnant Armii Sowieckiej o pseudonimie Zielony (Ukrainiec), wsławił się ogromną odwagą osobistą w walkach z NKWD. Dla „Olecha" pracowało także sporo urzędników sowieckiej administracji terenowej, miał „wtyczki" ponoć nawet w grodzieńskiej milicji i prokuraturze. Oddziały „Olecha" stykały się z antykomunistyczną partyzantką litewską, zachowując z nią poprawne stosunki. Polskie obozowisko w uroczysku „Horiaczy Bór" stało się nawet okresowym schronieniem dla jednego z tych oddziałów.

Sam „Olech" podkreślał w rozmowach z podkomendnymi, że są oni Wojskiem Polskim w konspiracji i w momencie przełomowym będą przywracać tu Polskę. Ponadto partyzantka prowadzona przez „Olecha" miała zadania i cele doraźne, takie jak samoobrona miejscowego społeczeństwa przed terrorem NKWD, nadużyciami i bezprawiem władz sowieckich. Szczególnie surowo zwalczano pracowników administracji lokalnej okrutnie odnoszących się do ludności oraz agenturę NKWD/MWD. W 1948 r. oddziały podlegające ppor. „Olechowi" podjęły zakrojoną na szeroką skalę operację przeciw kolektywizacji kresowej wsi, realizowanej przez administrację sowiecką. Zaatakowano i zniszczono kilkanaście organizujących się kołchozów. Likwidowano przy tym najbardziej szkodliwych aktywistów sowieckich i rozbijano posterunki Wojsk MWD lub istriebków (nieregularnej formacji milicyjnej podlegającej NKWD/MWD). Był to jednak już ostatni sukces partyzantki „Olecha".

Przełomem stała się zima 1949 r., kiedy to w lutym i marcu „wykruszyły" się w obławach kolejne oddziałki komendanta Radziwonika. 12 maja 1949 r. operacja sowiecka, do której użyto jednostek MWD ściągniętych z Mińska, okrążyła oddział „Olecha" obozujący nad Niewiszą pod wsią Raczkowszczyzna. Tym razem został on całkowicie rozbity. Podczas desperackiej próby przebicia się przez trzy kolejne pierścienie obławy blokujące teren operacji poległo sześciu partyzantów, wśród których znalazł się także komendant „Olech". W ręce Rosjan wpadli dwóch rannych partyzantów i jedna z łączniczek. Choć kilku leśnych zdołało wyrwać się z obławy, to sukces MWD był całkowity – polskiemu zorganizowanemu podziemiu zadano definitywny cios, pozbawiając go ośrodka dowódczego, który nie został już odbudowany. Operacjom przeciw

eprasa.pl c8c1f3511d

oddziałom „Olecha" towarzyszyły masowe aresztowania (blisko 300 osób) w wioskach podejrzanych o nastawienie antysowieckie i wspomaganie polskiej konspiracji niepodległościowej.

Ujawnienie oddziału Jana Lisowskiego „Korsarza" w Wilnie
FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA KRAJEWSKIEGO

W leśnych ziemiankach

Niezależnie od ośrodka konspiracyjnego kierowanego przez ppor. „Olecha" na ziemi nowogródzkiej działały także zdecentralizowane, lokalne pozostałości placówek konspiracyjnych AK i partyzanckie oddziały samoobrony niezwiązane z żadnym centrum dowódczym. Do najaktywniejszych spośród nich należały oddziały Jana Bukatki „Lwa" i Michała Durysa „Groma" w powiecie Lida, Bronisława Jurgiela w pow. Wołożyn, Czesława Rymaszewskiego „Nagana" w pow. Baranowicze. W większości zostały one wybite w latach 1948–1949. Jednak jeszcze w latach 1949–1953 na Nowogródczyźnie występowało co najmniej siedem polskich grupek zbrojnych. Ostatnie ich zbrojne wystąpienia miały miejsce jeszcze w połowie lat 50.

Na Grodzieńszczyźnie pozostałości struktur AK-owskich funkcjonowały pod nazwą Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej/Obwodu nr 10. Jej dowódcą cały czas był por. Mieczysław Niedziński „Men", „Ren", „Niemen", „Morski". Począwszy od jesieni 1945 r., dysponował on kilkudziesięcioosobowym stałym oddziałem partyzanckim wspieranym przez liczącą kilkuset członków siatkę terenową. Ponadto nad Niemnem, wzdłuż starej granicy polsko-litewskiej, operował niezależny oddział Bronisława Maciukiewicza „Bąka", „Bawarskiego", który uznawał jednak zwierzchność Niedzińskiego. Jesienią 1946 r., wobec trudności aprowizacyjnych i logistycznych, „Men" zdecydował się podzielić swój główny oddział na trzy mniejsze grupy dowodzone przez Józefa Mikłaszewskiego „Falę", Franciszka Talewicza „Komara" i Franciszka Markisza „Niedźwiedzia". Każdy z nich dysponował własnymi bunkrami, pozwalającymi na przetrwanie szczególnie groźnych dla partyzantki zim. Dzięki takiemu

Czesław Zajączkowski „Ragner" FOT. ARCHIWUM KAZIMIERZA KRAJEWSKIEGO

modelowi działania wszystkie pododdziały „Mena" zdołały przetrwać zimę 1946/1947 i wiosną wznowiły działania z zakresu samoobrony. Nacisk ze strony sowieckich służb specjalnych wzrastał jednak z miesiąca na miesiąc.

Kolejna zima spędzana w leśnych ziemiankach ukrytych w Puszczy Grodzieńskiej okazała się dla pododdziałów Samoobrony Ziemi Grodzieńskiej tragiczna. Grupy „Komara" i „Niedźwiedzia" zostały w lutym 1948 r. zlokalizowane i zniszczone przez MWD. Na wiosnę 1948 r. w polu pozostały już w zasadzie tylko dwie grupy: „Bawarskiego i „Fali". Pomimo znacznych strat kontynuowały one jednak działalność zbrojną. Według danych sowieckiego aparatu bezpieczeństwa patrole podległe „Menowi" zlikwidowały w latach 1946–1948 ponad 100 funkcjonariuszy NKWD/MWD, milicji i sowieckiej administracji szczególnie szkodliwych dla społeczności polskiej, w tym kilku lokalnych dygnitarzy (m.in. dwóch szefów Rejonowych Oddziałów NKWD) oraz agentów i informatorów NKWD/MWD.

Koniec działalności Samoobrony Grodzieńskiej jako zwartej struktury nadszedł 4 maja 1948 r., kiedy to w Łopienkach pod Grodnem zlokalizowana została przez Sowietów grupa J. Mikłaszewicza, przy której był wówczas Mieczysław Niedziński. W wyniku nierównej walki poległo dziewięciu partyzantów, w tym „Men" i „Fala". Co najmniej trzy grupy partyzanckie wywodzące się z Samoobrony Grodzieńskiej przetrwały jednak aż do początku lat 50. Ciężar działań organizacyjnych przeniesiony został wówczas na tereny litewskie – za Niemnem. Ostatnia z nich, dowodzona przez Stanisława Burbę „Skoczka", została zlikwidowana dopiero w 1953 r.

Pozostałość Obwodu AK Wołkowysk przekształcona została z kolei w 1946 r. w Samoobronę Wołkowyską kierowaną przez księdza majora Antoniego Bańkowskiego „Eliasza" (proboszcza parafii Krzemienica) oraz Bolesława Chwieduka „Cietrzewia" (byłego partyzanta oddziału „Reduta"). Była organizacją słabszą liczebnie od grodzieńskiej imienniczki. Podobnie jednak jak ona dysponowała stałym oddziałem partyzanckim oraz siatką terenową podzieloną na kilka plutonów rezerwy. W zorganizowanej formie prowadziła działalność aż do połowy 1948 r., aczkolwiek i tutaj ostatnia grupa nawiązująca do tradycji AK – Alfonsa Kopacza „Wróbla" – dotrwała aż do 1953 r.

Ostatni obrońcy polskich Kresów przegrali swą walkę. Dziś, poza ich rodzinami oraz garstką badaczy pasjonatów, nikt o nich nie pamięta. Można śmiało powiedzieć o tych Żołnierzach Wyklętych, że są Żołnierzami Zapomnianymi.

Doktor Kazimierz Krajewski oraz dr Tomasz Łabuszewski są historykami od lat badającymi w Instytucie Pamięci Narodowej dzieje Żołnierzy Niezłomnych zwanych popularnie Wyklętymi. Obydwaj są autorami cenionych książek i wielu publikacji naukowych oraz popularnonaukowych.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

FOT. GRZEGORZ ROGIŃSKI/FORUM

1913–1994 / Władysław Siła-Nowicki, żołnierz WiN

Siła i Boża opatrzność

Maciej Marek Kamiński

W zamian za zachowanie Siły–Nowickiego przy życiu Aldona Kojałłowicz podarowała ambasadzie sowieckiej listy otrzymywane w młodości od swojego brata Feliksa Dzierżyńskiego

Był człowiekiem, którego życiorysem można by obdarzyć wiele osób, a i tak byłoby o czym pisać. Wedle rodzinnej opowieści jeden z jego przodków miał otrzymać przydomek Siła i herb własny Osęki po wykazaniu się siłą i zręcznością na polu walki. Władysława też cechowała siła – fizyczna, psychiczna i moralna, dzięki której udawało mu się wielokrotnie wyjść cało z sytuacji beznadziejnych. Syn Aleksandra Siły-Nowickiego i Antoniny de domo Wyrzykowskiej, wnuk Wiktora Siły-Nowickiego i Józefiny de domo Dowgiałło, urodził się w Warszawie, ale do gimnazjum chodził w Kielcach. W 1935 r. ukończył studia na Wydziale Prawa UW, a wkrótce też służbę wojskową w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu i zarabiał na życie jako urzędnik Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W 1937 r. rozpoczął odbywanie aplikacji adwokackiej – jego patronem był m.in. słynny adwokat Zygmunt Hofmokl-Ostrowski – ale przed wojną nie zdążył złożyć egzaminu adwokackiego.

W czasie wojny obronnej 1939 r. Siła-Nowicki walczył z Niemcami w okolicach Warszawy (Otwock, Osucha). 19 września został ranny w rękę. Dotarł do Warszawy, następnie do rodzinnego majątku Wyląg na Lubelszczyźnie, a stąd do Beresteczka, gdzie mieszkali jego rodzice, przyszli teściowie oraz narzeczona – Irena z domu Joszko. 20 października wziął z nią ślub w miejscowym kościele. Kowal przygotował im obrączki ze stali i miał im powiedzieć, że będzie w nich ukryta wielka moc. Władysławowi obrączkę ukradli później komuniści w czasie przesłuchań. Irena Siła-Nowicka – obecnie 110-letnia mieszkanka Warszawy – zachowała swoją obrączkę do dziś.

Zima z 1939 r. na 1940 r. była niezwykle surowa, temperatura dochodziła do –40 st. C. Siła-Nowiccy udali się do Wilna, nocując po drodze w nieogrzewanych domostwach. Irena Siła-Nowicka – która w czasie tej podróży była w pierwszych miesiącach ciąży – opowiadała później, że nocą słychać było drzewa pękające od mrozu. Na pewien czas młode małżeństwo zatrzymało się w Ejszyszkach, w rodzinnym majątku babki Władysława – Józefiny z Dowgiałłów.

W Wilnie Władysław i Irena mieszkali u innych członków rodziny w nieogrzewanym pomieszczeniu. Ich codziennością był głód. Zatrzymali się też w rodzinnym majątku rodziny Szweykowskich, gdzie Siła-Nowicki pracował fizycznie. Parę miesięcy był burłakiem na Niemnie. W Poniewieżu przyszła na świat jego starsza córka. Gdy w końcu uznał, że przedostanie się na Zachód jest niemożliwe, zdecydował się przenieść wraz z rodziną do Warszawy.

Droga do „Zapory"

Tu Siła-Nowicki zaangażował się w działalność w ZWZ-AK pod pseudonimem Stefan i w działalność polityczną w Polskim Państwie Podziemnym, uratował Żydówkę, którą przechowywał w swoim mieszkaniu i której wyrobił papiery na nazwisko Barbary Nowak, walczył w powstaniu war-szawskim i został w nim ciężko ranny w płuco. Lekarze twierdzili, że rana ta jest śmiertelna, ale Siła-Nowicki przeżył.

Siła-Nowicki wyszedł jesienią 1944 r. z Warszawy przez obóz w Pruszkowie i w Lublinie, pod przykrywką pracy w olejarni, kontynuował konspirację w lubelskim WiN. Legalnie działał w Stronnictwie Pracy. Przypomnijmy, że od stycznia 1944 r. stał na czele Kedywu w Inspektoracie Rejonowym AK Lublin, a w tym samym czasie Hieronim Dekutowski „Zapora" był dowódcą oddziału partyzanckiego. Do lipca 1944 r. przeprowadził on przeciw Niemcom ponad 90 akcji bojowych i dywersyjnych. „Cechowała go odwaga, szybkość decyzji, a jednocześnie ostrożność i ogromne poczucie odpowiedzialności za ludzi" – zapisał we wspomnieniach Władysław

eprasa.pl c8c1f3511d

Siła-Nowicki, inspektor Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość" na Lubelszczyźnie. Był przełożonym „Zapory" podczas walki prowadzonej już przeciw kolejnej okupacji – sowieckiej.

Władysław Siła-Nowicki zdecydował się ujawnić razem z zarządem lubelskiego WiN w marcu 1947 r. Zdawał sobie jednak sprawę z zagrożenia aresztowaniem, dlatego wraz z grupą oficerów WiN – w tym z mjr. Hieronimem Dekutowskim „Zaporą" – podjęli we wrześniu 1947 r. próbę opuszczenia Polski i wydostania się na Zachód. Próba zakończyła się niestety aresztowaniem ich wszystkich przez UB. Od tej chwili przez wiele miesięcy torturowany w śledztwie Siła-Nowicki nie otrzymywał żadnych informacji o losie swojej rodziny, tak jak rodzina nie wiedziała nic o jego losie.

W 1948 r. Władysław Siła-Nowicki został skazany – podobnie jak inni aresztowani wraz z nim oficerowie WiN – na karę śmierci przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie. Siła-Nowicki postanowił walczyć o życie. Zresztą – jak sam później wspominał – przetrwać ten okres pozwoliła mu głęboka wiara. Bardzo szybko wraz z kilkoma więźniami podjął próbę ucieczki z celi śmierci. Aresztanci byli już bliscy celu – wywiercenia dziury w suficie, skąd przez strych dostaliby się na dach jednopiętrowych zabudowań gospodarczych, a stamtąd zjechaliby na powiązanych prześcieradłach i zeskoczyli na chodnik przy ulicy Rakowieckiej – gdy zostali wydani przez współwięźnia.

Uratowało go to, że jego dwie rodzone ciotki (siostry jego ojca) były żonami dwóch rodzonych braci Feliksa Dzierżyńskiego. Władysława Siłę-Nowickiego łączyło więc z Feliksem Dzierżyńskim dość bliskie powinowactwo. Poza tym dzieliło ich jednak wszystko.

Dzięki wstawiennictwu poproszonej o pomoc Aldony Kojałłowicz z domu Dzierżyńskiej – siostry Feliksa Dzierżyńskiego, która w przeciwieństwie do swojego brata była polską patriotką i praktykującą katoliczką – na początku 1949 r. Bolesław Bierut zamienił Władysławowi Sile-Nowickiemu karę śmierci na dożywotnie więzienie, o czym zresztą przez dłuższy czas skazanego nie poinformowano i kazano mu nadal przebywać w celi śmierci. W rodzinie Siły-Nowickiego wyrażany jest pogląd, że w zamian za rezygnację z wykonania kary śmierci Aldona Kojałłowicz podarowała ambasadzie sowieckiej całą korespondencję, którą utrzymywała z Feliksem Dzierżyńskim w młodości. W 1956 r. Władysław Siła-Nowicki został ostatecznie zwolniony z więzienia, a od 1959 r. – po zdaniu egzaminu adwokackiego, do którego dopuszczenie usiłowano mu zresztą utrudnić – podjął w Warszawie praktykę adwokacką.

Po dobrej stronie

Władysław Siła-Nowicki dostał w ten sposób drugie życie, które przepięknie wykorzystał, broniąc jako adwokat praw człowieka w opresyjnym systemie komunistycznej Polski. Wykonywanie zawodu rozpoczął od prowadzenia wielu procesów rehabilitacyjnych swoich więziennych towarzyszy niedoli. Bronił także więźniów sumienia – świadków Jehowy – którzy odmawiali odbywania czynnej służby wojskowej, powołując się na swoje zasady religijne, ale oferowali odbywanie służby zastępczej, np. w szpitalach, na co władze komunistyczne nie godziły się, traktując ich postępowanie na równi z dezercją. Siła-Nowicki bronił ich z taką gorliwością, że niektórzy uważali jego samego za ukrytego świadka Jehowy, chociaż ten żarliwy katolik nim nie był. Od końca lat 60. był także doradcą prawnym Episkopatu Polski.

Adwokat Siła-Nowicki był obrońcą w licznych procesach politycznych PRL: w ciągu swej wieloletniej kariery adwokackiej bronił m.in. satyryka Janusza Szpotańskiego, członków antykomunistycznej organizacji Ruch, robotników Radomia i Ursusa, współdziałał z KOR – był m.in. współautorem tzw. raportu madryckiego o naruszaniu praw człowieka przez władze PRL – a później z Solidarnością. Zdarzało się, że tzw. nieznani sprawcy obrzucali go jajkami na korytarzach sądowych, a on sam śmiał się z tego i twierdził, że dopóki jajka te są świeże, dopóty nie ma się czym przejmować. Zresztą jako adwokat na sali sądowej Siła-Nowicki nie gryzł się w język. Zdarzyło się, że za nazwanie wyroku „bzdurnym" zawieszono mu prawo wykonywania zawodu na pół roku. Przez wiele lat rozpracowywała go SB.

Był jednym ze współautorów statutu Solidarności. Wspomagał Komisję Krajową NSZZ „Solidarność" jako doradca. Podczas Ogólnopolskiego Zjazdu Adwokatów w Poznaniu w styczniu 1981 r. był jednym z jego współprzewodniczących. Na początku lat 80. bronił w procesach działaczy KPN i podziemnej Solidarności, był też pełnomocnikiem matki zamordowanego przez MO Grzegorza Przemyka. Wykorzystywał przemówienia sądowe do publicznej krytyki bezprawia władzy komunistycznej. Do tego samego celu wykorzystywał także mowy pogrzebowe – m.in. przemawiał na pogrzebie Pawła Jasienicy. W 1983 r. został zmuszony do przejścia na emeryturę, mimo że był osobą w pełni sił życiowych i chciał dalej wykonywać zawód adwokata.

W 1984 r. wystosował list do gen. Wojciecha Jaruzelskiego w sprawie powszechnego łamania praw człowieka przez komunistów. W 1986 r. podjął niezwykle kontrowersyjną decyzję o zgodzie na członkostwo w Radzie Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa Wojciechu Jaruzelskim. Stał się z tego powodu obiektem krytyki we własnym środowisku, w tym także ze strony swych dotychczasowych przyjaciół i znajomych, z których niektórzy odwrócili się od niego. Członkostwo to starał się jednak wykorzystywać np. do publicznego domagania się wyjaśnienia zbrodni katyńskiej czy do umożliwienia legalnej działalności Solidarności. A wypowiedzi członków Rady Konsultacyjnej były publikowane w oficjalnym publikatorze bez ingerencji cenzury.

W czasie obrad Okrągłego Stołu wezwał do uczczenia minutą ciszy zamordowanych przez komunistów księży Stefana Niedzielaka i Stanisława Suchowolca, co zostało przez ówczesną telewizję ocenzurowane. W wolnej Polsce zaangażował się w reaktywację Stronnictwa Pracy, został sędzią Trybunału Stanu i kandydował nieskutecznie – bo bez plakatu z Lechem Wałęsą – do Sejmu RP. Chciał jednak, by wyborcy mieli realną możliwość wyboru pomiędzy jego chadecką a reprezentowaną przez Jacka Kuronia liberalno-lewicową wizją przyszłej Polski.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

WYDAWNICTWO
INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ IPN

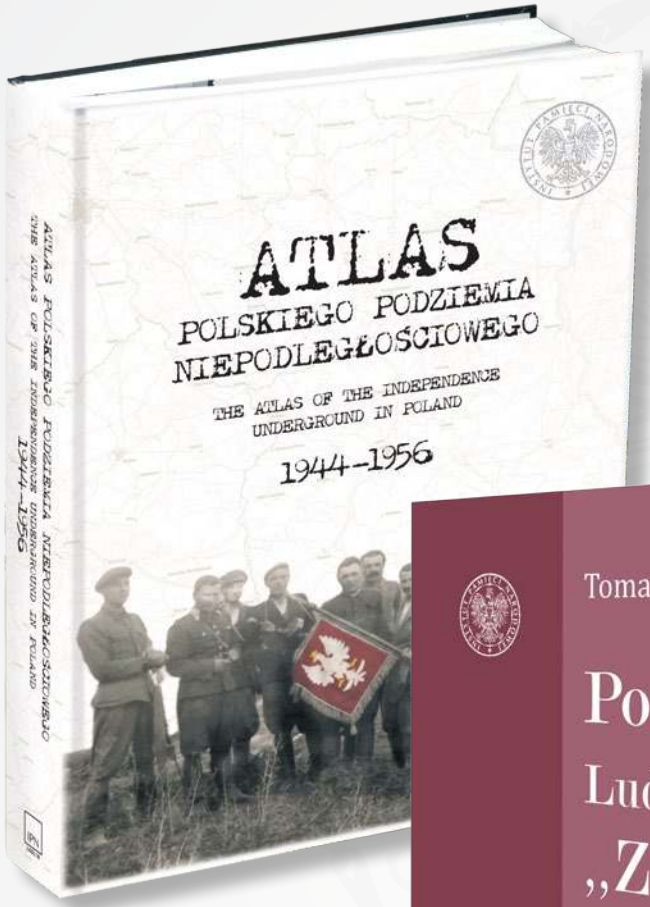

KUP ALBUM

TOMASZA BALBUSA
PODPUŁKOWNIK LUDWIK MARSZAŁEK „ZBROJA”

OTRZYMAJ ZA 10 ZŁ

ATLAS POLSKIEGO PODZIEMIA NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO 1944–1956

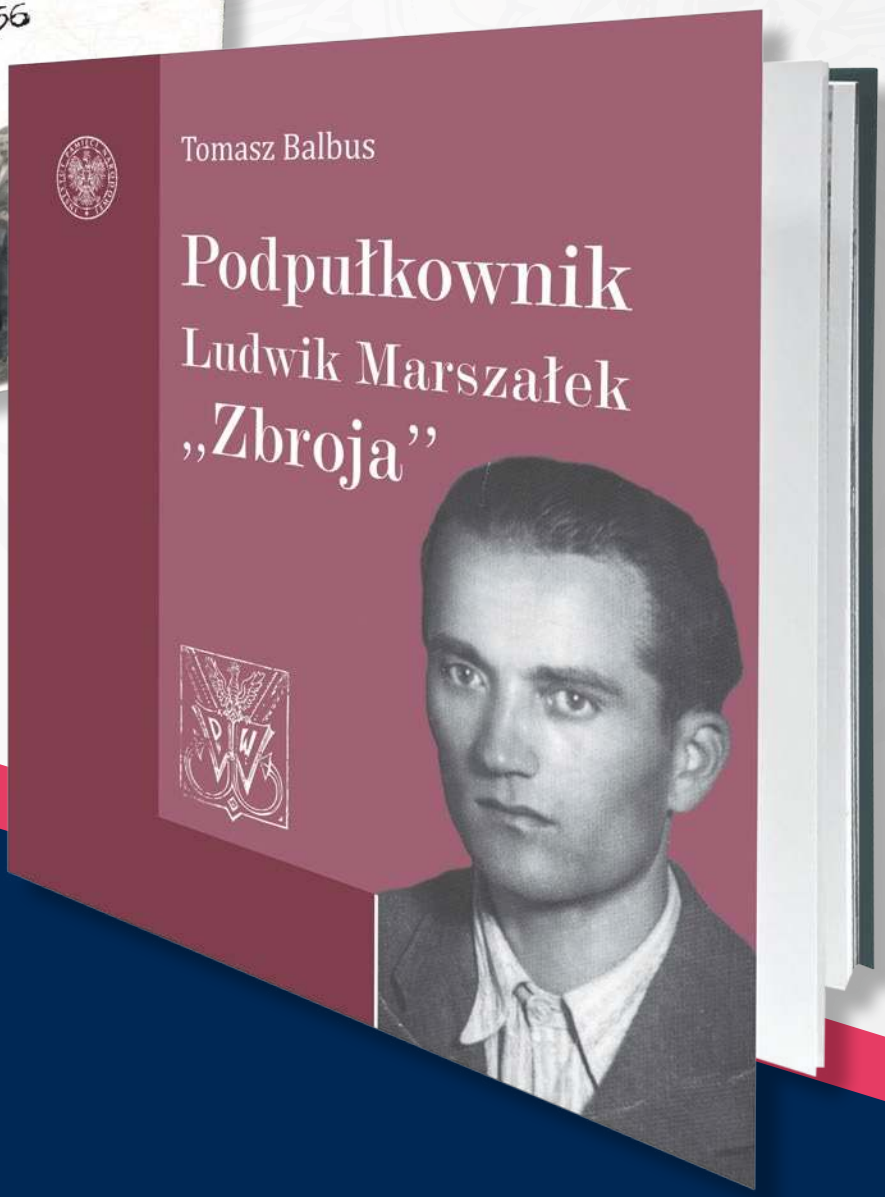

OFERTA LIMITOWANA

~~198 ZŁ~~ **69 ZŁ**
ZESTAW

PEŁNA OFERTA NA

ksiegarniaipn.pl

OFERTA OBOWIĄZUJE W KSIĘGARNIACH STACJONARNYCH IPN W MARCU 2023 LUB DO WYCZERPANIA ZAPASÓW

Wywiad / Z Lidią Lwow-Eberle, sanitariuszką z 5. Wileńskiej Brygady AK, narzeczoną mjr. Zygmunta Szendzielarza

rozmawia Piotr Włoczyk

Mój „Łupaszko”

PIOTR WŁOCZYK: Na początku ustalmy może, jak wygląda sprawa z pseudonimem mjr. Zygmunta Szendzielarza, słynnego dowódcy 5. Wileńskiej Brygady AK. Jedni mówią na niego „Łupaszko”, a inni „Łupaszka”. Która wersja jest poprawna?

LIDIA LWOW-EBERLE: Naprawdę powinno być „Łupaszka”, ale wszyscy mówili na niego „Łupaszko”. W końcu doszło do tego, że on sam podpisywał się raz tak, a raz tak. Obie formy są więc poprawne. Zygmunt wziął ten pseudonim od płk. Jerzego Dąbrowskiego „Łupaszki”, walczącego w okolicach Wilna podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Pani woli być nazywana dziewczyną „Łupaszki” czy jego narzeczoną?

Raczej towarzyszką. Ślubu nie wzięliśmy, ponieważ przed aresztowaniem w 1948 r. czas był tak napięty, że nie było jak myśleć o małżeństwie. Po prostu nie było takiej możliwości, żebyśmy się mogli pobrać, choć byliśmy razem praktycznie cały czas od jesieni 1943 r. aż do aresztowania 30 czerwca 1948 r.

Byliście przecież zaręczeni.

Tak, Zygmunt poprosił mnie o rękę w obecności swojego adiutanta i powiedział, żebym się od tej pory uważała za jego narzeczoną. To było na Wileńszczyźnie na przełomie lat 1943 i 1944, kilka miesięcy po tym, jak się poznaliśmy.

eprasa.pl c8c1f3511d

FOT. MICHAŁ SADOWSKI

Z żoną, z którą miał córkę, byli już wtedy w separacji. To była smutna historia – żona „Łupaszki" zakochała się w jego koledze, który jesienią 1943 r., po potyczce z Litwinami, umarł na jej rękach.

Zygmunt nawet w więzieniu mówił, że chce się ze mną ożenić. Jeden z funkcjonariuszy stwierdził wtedy: „Po co mu ślub, skoro czeka go kara śmierci?".

Jak go pani poznała?

Zanim się poznaliśmy, służyłam w oddziale partyzanckim na Wileńszczyźnie u ppor. Antoniego Burzyńskiego ps. Kmicic. Oddział ten został rozbrojony przez partyzantkę sowiecką. „Kmicic", kilka osób ze sztabu, a także 50 innych chłopaków zostali zamordowani. Potem Sowieci rozstrzelali jeszcze 40 innych partyzantów. W sumie więc oddział stracił około 90 ludzi. To było na przełomie września i sierpnia 1943 r. Z resztek oddziału zorganizowano jednostkę pod dowództwem sowieckim. Miesiąc po rozbrojeniu jeden pluton został wysłany w teren, żeby się spotkać z „Łupaszką". Poszłam razem z tą jednostką. W ten sposób dołączyłam do „Łupaszki" i tak zaczął się powiększać jego oddział. Działaliśmy na północny wschód od Wilna. W tamtej okolicy było mnóstwo partyzantki sowieckiej. Bez przerwy mieliśmy z nią potyczki po wsiach. Jednak to my zawsze wychodziliśmy z nich zwycięscy.

Jakim dowódcą był „Łupaszko"?

Znakomitym! Na odprawach zawsze omawiał wszystko bardzo szczegółowo z dowódcami plutonów, dlatego bardzo rzadko traciliśmy ludzi. Przypadki śmierci zdarzały się u nas sporadycznie. Nasza brygada zwycięsko wychodziła ze wszystkich potyczek, które bardzo często staczaliśmy a to z Niemcami, a to z Litwinami, którzy współpracowali z Niemcami, a to znowu z Sowietami. Żołnierze bardzo ufali „Łupaszce". Był przecież zawodowym oficerem.

Miał bardzo piękną kartę z kampanii wrześniowej, gdy bez strat wyprowadził swój szwadron spod Piotrkowa Trybunalskiego na wschód, do brygady gen. Władysława Andersa. Przeprawił się wtedy przez Wisłę koło Maciejowic. Nikt z jego jednostki nie utonął, chociaż podczas przejścia przez rzekę często działy się straszne rzeczy. Umiał przewidywać bieg zdarzeń.

A jaki był tak po ludzku, z pani perspektywy?

Potrafił rozmawiać z każdym – z wieśniakami, rzemieślnikami czy z inteligentami. Wcale nie oznacza to jednak, że był strasznie rozmowny. Lubił dowcipy, sam był dowcipny, ale zachowywał w tym umiar i wiedział, jak utrzymać odpowiedni dystans między sobą a podkomendnymi. Potrafił przez to wzbudzić u reszty chłopaków szacunek. Dowódcy plutonów wierzyli mu i byli gotowi pójść za nim w ogień.

Gdy przychodziliśmy na kwaterunek – praktycznie codziennie zmienialiśmy kwatery – najpierw przynosiliśmy słomę, na której spaliśmy, ale potem zaczynał się wieczór – wiersze i piosenki. „Łupaszko" bardzo lubił takie chwile.

To był człowiek z krwi i kości, a nie jakiś sztywny wojskowy. „Łupaszko" był ciepły, ale też był nieco „ostry" w sposobie bycia. Nierzadko potrafił ni stąd, ni zowąd wybuchnąć.

Między nami było 10 lat różnicy – gdy go poznałam, miałam 23 lata. Zawsze patrzyłam na niego jak na dowódcę. Zawsze. Nawet gdy po wojnie razem mieszkaliśmy w Zakopanem i mówiliśmy sobie po imieniu. Byliśmy prawie jak małżeństwo. Zawsze jednak był dla mnie przede wszystkim dowódcą. Mówiłam do niego „Panie komendancie" (śmiech).

Od razu zaiskrzyło między wami?

Nie. To nie było zauroczenie od pierwszego wejrzenia. Uczucie rozwijało się powoli.

Jak wyglądało pani życie w oddziale?

Nie różniło się od przeżyć innych kobiet w partyzantce. W każdym plutonie służbę pełniła jedna siostra. Naszym obowiązkiem było czuwanie nad zdrowiem chłopców. Nie siadałyśmy na bryczkach, nie jeździłyśmy konno, tylko szłyśmy pieszo, tak jak cały oddział. Po zakończeniu marszu chodziłam po wszystkich drużynach i sprawdzałam, czego komu potrzeba. W plutonie były przeważnie cztery drużyny. Rzadko zdarzały się poważne choroby. Zwykle miałyśmy do czynienia z otarciami stóp lub ze świerzbem. Oczywiście w razie konieczności udzielałyśmy też rannym pierwszej pomocy, a później odsyłałyśmy ich do zaprzyjaźnionych z organizacją lekarzy.

Prawie cały czas chodziłyśmy w tych samych ubraniach, ale brudu nie było. Po przyjściu do gospodyni myłyśmy się, zmieniałyśmy bieliznę – czasem nawet brałyśmy ubrania od gospodyni, bo nie nosiłyśmy ze sobą niczego oprócz jednej bluzki. Z innymi sanitariuszkami, a było nas w sumie sześć, spotykałyśmy się tylko podczas odpraw.

eprasa.pl c8c1f3511d

Chwile odpoczynku od męskiego towarzystwa...

Tak, były to bardzo przyjemne momenty. Byłyśmy takie młode, więc nierzadko zwierzałyśmy się sobie podczas tych spotkań w kwestiach uczuciowych...

Jakim wojskiem była z pani perspektywy 5. Wileńska Brygada AK?

„Łupaszko" wprowadził do oddziałów dyscyplinę, która była iście wojskowa. Nasz dowódca bardzo dbał o tę kwestię i wszyscy bardzo to doceniali. Zawsze rano i wieczorem była modlitwa. Każdy dowódca plutonu starał się, by jego podkomendni wyglądali jak najlepiej. Jednak ubranie każdy zdobywał, jak mógł – część miała polskie mundury, ale część chodziła w niemieckich, bo innych nie było.

Jak pani znosiła te wszystkie niewygody?

Bardzo dobrze. Jakoś tak się złożyło, że fizycznie jestem od zawsze w dobrej kondycji. Dzisiaj mam prawie 93 lata, a wciąż czuję się nie najgorzej.

Dobrze panią traktowali inni partyzanci?

Nawet bardzo dobrze!

Nie miało to pośrednio związku z tym, że była pani narzeczoną dowódcy?

(śmiech) A skąd! Nikt o tym nie wiedział, bo nikt tego nie rozgłaszał. Dopiero po długim czasie się zorientowali, że coś jest między nami, bo zawsze byłam w tym samym oddziale, w którym był „Łupaszko". Od 1945 r. wszyscy już wiedzieli, że jesteśmy ze sobą blisko. Niektórzy nawet podejrzewali, że jesteśmy małżeństwem.

Zdarzało się, że musiała pani chwytać za broń?

Nie, ja akurat nigdy nie chodziłam z bronią, tylko z torbą sanitariuszki. Dlatego podczas procesu komuniści skazali mnie na dożywocie, a nie na karę śmierci. Zawsze chodziłam na końcu plutonu. Jeżeli dochodziło do akcji i nasza linia się rozwijała, to ja musiałam pozostać z tyłu, żeby widzieć jak najwięcej ludzi. Musiałam wiedzieć, gdzie mam iść z pomocą.

Którą z tych akcji najlepiej pani pamięta?

Na pewno była to walka z Niemcami ze stycznia 1944 r., do której doszło niedaleko wsi Worziany. Cała akcja trwała około czterech godzin. Niemcy chcieli zniszczyć cały nasz oddział. We wsi trwała akurat odprawa dowódców partyzantki. Raptem doszły do nas odgłosy strzelaniny. Wybiegliśmy z chałupy za wieś i zobaczyliśmy wrogie oddziały. „Łupaszko" krzyknął wtedy do mnie: „Wróć i przynieś mi amunicję!", ponieważ w całym tym zamieszaniu nie wziął ze sobą dodatkowych nabojów do pistoletu automatycznego. Gdy wróciłam chwilę później z amunicją, nikogo już tam nie było. Przede mną rozpościerał się tylko kawał pustego pola. W pewnym momencie Niemcy zaczęli do mnie strzelać. Dostałam w rękę i upadłam. Poruszałam nią chwilę, żeby upewnić się, że nic poważnego mi się nie stało, wstałam i zaczęłam biec dalej. Jakiś chłopak dołączył do mnie i razem dotarliśmy do miejsca, gdzie trwała bitwa. Dałam „Łupaszce" amunicję. Okazało się, że on również został trafiony w rękę. Szesnastu naszych zginęło, a ja miałam pod opieką kilku rannych. Po skończonej bitwie zaczęliśmy znosić ich do pomieszczenia, w którym była prowadzona wcześniej odprawa. Dziewięciu chłopaków musieliśmy wysłać do Wilna na leczenie specjalistyczne. Po tej akcji odskoczyliśmy w bardziej dla nas przyjazny teren. Sowieci jednak – wiedząc, że mieliśmy ciężko rannych ze sobą – postanowili rozbić nasz oddział.

Doszło do tego dwa dni po starciu z Niemcami.

Tak, Sowieci zaatakowali nas około godz. 15 z dwóch stron. Przyjęliśmy tę walkę, ale w pewnym momencie „Łupaszko" wystrzelił czerwoną racę, żeby się wycofać. Akurat zaczęło się ściemniać i proszę sobie wyobrazić, że dzięki temu Sowieci weszli na siebie! Strasznie się wtedy postrzelali, bo nie byli w stanie rozpoznać siebie nawzajem (śmiech). Stracili bardzo wielu ludzi.

Niedaleko pola bitwy była rzeczka. Łódką przeprawiliśmy na drugi brzeg tych dziewięciu ciężko rannych. Do tej pory pamiętam, jak lodowata była woda. Wszyscy ranni przeżyli. Tak wyglądała nasza największa akcja. Zawsze byliśmy zwycięscy i dlatego Sowieci chcieli się z nami dogadać, żebyśmy się nie atakowali nawzajem. Jednak po tym, gdy zaatakowali nas wtedy z dwóch stron, nie było już więcej rozmów, tylko biliśmy się z nimi.

W czasie służby w 5. Brygadzie poznała też pani Pawła Jasienicę. Jak go pani wspomina?

To był wspaniały człowiek! Jak on pięknie potrafił opowiadać o wszystkim! „Łupaszko" zrobił go swoim zastępcą, choć Jasienica nie był przecież wojskowym. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłam. Rozmawialiśmy oczywiście nie tylko o partyzantce.

O historii też?

O wszystkim! Był przyjaznym i ciepłym człowiekiem. Widać było, że to intelekt z najwyższej półki, ale absolutnie nie wywyższał się ponad innych.

Jak wspomina pani czas, gdy Sowieci stali się waszym jedynym wrogiem?

W 1945 r. nasza partyzantka wciąż była taka sama jak na Wileńszczyźnie, tylko spotykaliśmy się w walce z KBW i z Sowietami.

Jednak podczas partyzantki na Wileńszczyźnie w czasie II wojny światowej mieliście chyba w sobie więcej nadziei.

Tak, wtedy nadzieja była jeszcze bardzo żywa. W 1945 r. mówiło się jeszcze, że dojdzie do wojny między Zachodem a ZSRS. Wszyscy walczyliśmy o to, żeby Polska była Polską. My na wschodzie doskonale wiedzieliśmy, czym jest komunizm.

Kiedy optymizm zaczął u pani ustępować miejsca pesymizmowi?

Rok 1946 był już straszny. Praktycznie nie mieliśmy jak się poruszać. Wszędzie było mnóstwo Sowietów i polskich oddziałów komunistycznych. Trudno było prowadzić akcje. Wciąż walczyliśmy, ale było bardzo ciężko. W czerwcu 1946 r. „Łupaszko" wycofywał nasze siły z Borów Tucholskich z powrotem na Podlasie. Tam ludność była w stosunku do nas bardzo przychylna. Ja już wtedy chciałam opuścić partyzantkę, bo widziałam, że nasza walka stała się beznadziejna. Zresztą „Łupaszko" też wtedy tak na to patrzył. Ostatecznie w marcu 1947 r. skończyła się dla nas partyzantka. Wyjechaliśmy wtedy z Podlasia w okolice Głubczyc na Śląsku. Tam „Łupaszko" został kierownikiem młyna. Prowadziliśmy go przez jakieś dwa miesiące. Bezpieka rozpracowała nas, więc pewnego dnia musieliśmy się stamtąd w pół godziny

eprasa.pl c8c1f3511d

ewakuować. Następnie wyjechaliśmy w okolice Zakopanego.

Do aresztowania doszło 30 czerwca 1948 r.

Dom, w którym mieszkaliśmy, stał przy szosie. Pamiętam, że dzień wcześniej bardzo wolno minął nas samochód pełen żołnierzy.

Około godz. 5 nad ranem obudziły mnie odgłosy strzelaniny. Wyszłam na ganek. Słońce świeciło, w tle widać było góry, strzałów już nie było słychać, było pięknie, więc wróciłam do łóżka. 15 minut później usłyszałam walenie do drzwi. Syn naszej gospodyni otworzył i wpuścił kogoś na strych. Chwilę potem żołnierze otoczyli dom i zażądali wpuszczenia. Na nocną koszulę założyłam płaszcz. Zaprowadzono nas do pokoju gospodyni. Wszyscy stanęliśmy z podniesionymi rękami. „Łupaszkę" zabrali do kuchni, a mnie do innego pomieszczenia. Zaczęli mnie pytać o różne nazwiska. Powiedziałam, że nic nie wiem. Potem zawieźli nas do Myślenic. Nie miałam możliwości porozmawiania z „Łupaszką", bo w samochodzie było pełno żołnierzy. Z Myślenic zawieźli nas do Krakowa. Następnego dnia rano zabrali nas samolotem do Warszawy, do siedziby UB przy ulicy Koszykowej. Wiedziałam już, że wszystko się dla nas skończyło. Potem przewieziono nas na Rakowiecką.

Sądzono nas wraz z czterema innymi osobami. To był proces pokazowy, transmitowany przez radio. W pamięci utkwiła mi duża sala wypełniona po brzegi ludźmi. Ostatecznie „Łupaszkę" skazano na śmierć, a mnie na dożywocie.

W całej tej historii doszło jednak w pewnym momencie do niezwykłego wydarzenia.

Tak, ponieważ spotkaliśmy się któregoś dnia w 1951 r. Niestety, nie jestem w stanie powiedzieć, który to był dokładnie dzień. Strażnicy wywołali mnie z celi i zaprowadzili do sali, w której siedziało trzech wojskowych i... „Łupaszko". Powiedzieli nam, że możemy rozmawiać, jak długo tylko chcemy i o czym chcemy.

Lidia Lwow i Zygmunt Szendzielarz w Zakopanem

FOT. IPN

Byłam tak wstrząśnięta, że chyba nic nie mówiłam. Zapamiętałam z tej rozmowy tylko trzy rzeczy: „Łupaszko" mówił, że nie pamięta już, jak wygląda jego córka; wspominał też o matce (zawsze mówił, że ze wszystkich kobiet na świecie swoją matkę kocha najbardziej), a mnie powiedział tylko, żebym się uczyła i wyszła za mąż.

Z tego przejęcia nie zakodowałam, co jeszcze do mnie mówił podczas tego spotkania. Siedzieliśmy razem może pół godziny. Na koniec pocałował mnie i to był nasz ostatni kontakt. „Łupaszkę" zabito 8 lutego 1951 r. Ja wyszłam na wolność w listopadzie 1956 r. Dostałam się na archeologię na UW (niektórzy koledzy ze studiów byli ode mnie młodsi nawet o 20 lat) i wyszłam za mąż...

Jednego w tej historii nie rozumiem. Dlaczego umożliwiono wam to spotkanie?

Nie mam pojęcia, tym bardziej że równocześnie nie pozwolono na widzenie małżeństwu przetrzymywanemu na Rakowieckiej, któremu na dodatek urodziło się w więzieniu dziecko... Też tego nie potrafię pojąć. Co ciekawe, żołnierze obecni podczas naszego ostatniego spotkania byli bardzo uprzejmi.

Na koniec jesteśmy chyba winni czytelnikom pewne wyjaśnienie – walczyła pani z Sowietami, ale sama jest pani z pochodzenia Rosjanką.

Tak, moi rodzice byli Rosjanami.

I do tego ma pani tytuł księżny.

To prawda, choć mój ojciec – zagorzały socjalista – nigdy nie lubił na ten temat rozmawiać (śmiech). Moja babcia wyszła za mąż za księcia Iwana Lwowa. Rozwiodła się z nim, gdy mój tata miał około 10 lat. Następnie babcia powtórnie zawarła związek małżeński i wyjechała w 1915 r. do Nowogródka. Moi rodzice mieszkali w Rosji nad Wołgą. Ojciec pracował jako agronom i w czasie rewolucji zaopatrywał białych generałów. Ja przyszłam na świat w listopadzie 1920 r., a pół roku później rodzice wyjechali ze mną do Polski. To moja mama namówiła ojca, który nie chciał wyjeżdżać z Rosji bolszewickiej, żeby pojechać do Nowogródka, do jego matki.

Dlaczego?

Chyba czuła, że ten kraj nie był miejscem dla nas. W ten sposób dorastałam w Polsce. W domu rozmawialiśmy po rosyjsku i dosyć długo czułam się Rosjanką. Na lekcjach historii przykro mi było słuchać, że Polska tyle wycierpiała z powodu Rosji. Polką zaczęłam się czuć w czasie okupacji. Wtedy poczułam, że to jest jedyny kraj, który naprawdę kocham.

W czasie służby w partyzantce Rosjanie byli dla mnie wrogami, ponieważ byli komunistami. Znałam bardzo przyzwoitych Rosjan, ale mimo wszystko był to dla mnie obcy naród. I chociaż jestem prawosławną Rosjanką, to kocham Polskę. Chcieliśmy wolnej Polski. Jakiej? Każdej, byle nie komunistycznej. Uważaliśmy, że wszystko, co naród wybierze, będzie dobre. Byle tylko komuniści nie przejęli władzy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Rozmowę ze śp. Lidią Lwow-Eberle opublikowaliśmy na łamach „HDR" w 2013 r. Przypominamy to świadectwo dwa lata po Jej śmierci...

eprasa.pl c8c1f3511d

11 listopada 1918 r. – odzyskanie lasów

U progu odbudowy polskiej państwowości, w 1918 r., krajobraz naszych lasów był już bardzo odległy od pradawnych, nieprzebytych puszcz, pełnych starych drzew i zwierzyny łownej. Dewastacje, gospodarka rabunkowa, niekontrolowane wyręby, brak kadr i planu – z takimi konsekwencjami polityki zaborców i niedawnej wojny światowej musieli zmierzyć się polscy leśnicy tuż po odzyskaniu niepodległości

Leśnik z krwi i kości, zapalony przyrodnik bezgranicznie oddany pracy. Właśnie taki był Józef Miłobędzki – człowiek, któremu przypadło w udziale symboliczne przejęcie lasów z rąk okupantów, absolwent Wydziału Leśnego w Instytucie Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach, przez wiele lat związany z lasami na terenach Królestwa Kongresowego. W marcu 1918 r. został naczelnikiem nowo powstałego Wydziału Leśnego Ministerstwa Rolnictwa i Dóbr Koronnych, a w październiku objął kierownictwo nad Wydziałem Ochrony Lasów. W niemieckim zarządzie czynił usilne starania o przejęcie kontroli nad lasami Królestwa Kongresowego, by ukrócić dewastacje. Na próżno. Niemcy tłumaczyli swoją politykę „wojenną potrzebą".

Wszystko zmieniło się 11 listopada 1918 r. Dzień, który do historii przeszedł jako data odzyskania niepodległości przez Polskę, okazał się także dniem symbolicznego odzyskania lasów. Właśnie wtedy Miłobędzki wraz z grupą leśników, w asyście wojskowej, przejął w Warszawie z rąk niemieckich siedzibę resortu rolnictwa i siedzibę Głównego Zarządu Lasów. Niemiecki personel opuścił biura, a kilka dni później wyjechał ze stolicy.

Interes, a nie przyroda

To, co przejmował Miłobędzki, nie napawało optymizmem. Jeszcze przed zaborami ziemie polskie były zalesione w 37 proc., a u progu odzyskania niepodległości – zaledwie w 23 proc. W ciągu 123 lat zaborów straciliśmy prawie 1,7 mln ha lasów, a każdy z zaborców prowadził odmienną politykę leśną, zgodną z własnym interesem.

„Polityka […] okupantów sprowadzała się głównie do wycinki i rozdawnictwa. Państwa zaborcze z pobudek fiskalnych i z powodu ustawicznych kłopotów finansowych tworzyły ze sprzedaży lasów państwowych źródło do czerpania funduszów na pokrycie niedoborów ogólnopaństwowych lub wynagradzania niemi swoich dostojników, którzy chętnie wyciągali ręce po [lasy] rozdawane bezpłatnie lub na warunkach ulgowych" – pisał Jan Miklaszewski, organizator administracji polskiego leśnictwa od 1918 r. i przyszły rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego.

eprasa.pl c8c1f3511d

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, AUTORKA KOLORYZACJI: ANNA MARJAŃSKA

Lasy Państwowe

Sposób zagospodarowania lasów był „nader prymitywny i konserwatywny". Zabiegi hodowlane i pielęgnacyjne ograniczały się do minimum. Trzebieże, czyli cięcia pielęgnacyjne, wykonywano rzadko i niechętnie, wyłącznie w razie konieczności, gdy drzewa były atakowane przez szkodniki. Lasy obchodziły zaborców o tyle, o ile mogły przynieść doraźny, szybki zysk.

Bilans polityki zaborców

Lasy wychodziły spod zaborów okaleczone, przetrzebione, wyniszczone rabunkową wycinką. Niemcy eksploatowali je bez litości. Tylko w Puszczy Białowieskiej, okupowanej od 1915 r., wycięli 6,5 tys. ha najlepszych drzewostanów i wywieźli 2,6 mln m sześc. najcenniejszego drewna. W byłym zaborze rosyjskim straty szacowano na 33 mln m sześc. drewna użytkowego i 22 mln m sześc. drewna opałowego, w zaborze austriackim – odpowiednio 2 mln m sześc. 1 mln m sześc. Ogółem ówczesne straty szacuje się na 60 mln m sześc. drewna. Spustoszeń przyrodniczych nie sposób ocenić.

Lasom szkodziła nie tylko gospodarka rabunkowa, lecz także siły natury. Osłabione drzewa nie były w stanie oprzeć się ekstremalnym warunkom pogodowym – wichurom czy gwałtownym opadom śniegu. Stały się też podatne na szkody powodowane przez owady. Na domiar złego lasy państwowe były obciążone różnymi służebnościami wobec ludności wiejskiej. Mogła ona pozyskiwać z lasu pewną ilość drewna, wypasać w lesie bydło, grabić ściółkę. Powodowało to duże szkody i wymagało ciągłych uzupełnień i poprawek na powierzchni upraw.

Na etapie zmiany władz, w kraju wyniszczonym wojną, niebagatelnym problemem stały się kradzieże, czasem przybierające postać najazdów na lasy całych wsi.

Na progu niepodległości leśnicy nie mieli wątpliwości: „Rany zadane naszym lasom nieprędko się zabliźnią i potrzeba będzie długich lat wytężonej pracy, aby bodaj częściowo doprowadzić je do stanu sprzed wojny".

Pięć ustaw w spadku

W spadku po zaborach dostaliśmy lasy zagospodarowane według różnych zasad i modeli administrowania. W chwili odzyskania niepodległości na terenie Polski obowiązywało pięć ustaw o gospodarce leśnej, najróżniejsze akty wykonawcze czy instrukcje wewnętrzne. Nie było jednolitych struktur zarządzania. Brakowało kadr. Władze pruskie zatrudniały w lasach państwowych wyłącznie leśników niemieckich. W zaborze rosyjskim działał Instytut Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Jednak nawet po ukończeniu studiów na którejś z rosyjskich uczelni Polacy chcący pracować w lasach państwowych mogli to robić wyłącznie na terenie Rosji.

Najlepiej sytuacja wyglądała w zaborze austriackim. Polscy leśnicy byli zatrudnieni w administracji lasów państwowych – i pod koniec wojny to właśnie oni je przejmowali. W byłym Królestwie Polskim prawie połowa leśniczych rekrutowała się spośród samouków. Do poważnych problemów należał „brak uzdolnionego personelu strażniczego": „Przeważnie cała ta falanga pracowników najniższej kategorii, pełniąca funkcje straży leśnej, nie posiada nawet elementarnego wykształcenia zawodowego".

Brak leśników utrudniał przejmowanie lasów z rąk okupantów. Niemcy, uciekając pospiesznie, próbowali zatrzeć ślady własnej działalności. Delegowani przez polskie władze urzędnicy nie zastawali już w biurach swoich poprzedników ani dokumentacji. Nie mogło być mowy o dokonaniu odbioru lasów protokolarnie, z przeliczeniem przejętego inwentarza żywego i martwego, zakładów przemysłowych, zabudowań, zapasów drewna ściętego i pozostawionego w lesie.

Stan polskich lasów na terenach opuszczonych przez zaborców był jednakowo zły. Wymagał kompleksowego programu naprawczego, poczynając od odbudowy drzewostanów. Aby proces ten mógł nastąpić, należało stworzyć jednolitą administrację leśną. Rolę tę wypełniał nowy Wydział Ochrony Lasów, a jednym z jego pierwszych zadań było ukrócenie niekontrolowanych wyrębów. Stojący na czele wydziału Miłobędzki formował kilkuosobowe zespoły leśników, które udawały się do opuszczonych przez Niemców nadleśnictw, by tworzyć tam nowe struktury organizacyjne. Tak powstawały pierwsze nadleśnictwa w pełni zarządzane przez Polaków. Wkrótce uczynili z polskiego leśnictwa europejską potęgę.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Jan Miklaszewski, organizator administracji polskiego leśnictwa od 1918 r. i przyszły rektor Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego

FOT. NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE, AUTORKA KOLORYZACJI: ANNA MARJAŃSKA

eprasa.pl c8c1f3511d

1942/1943 / Tajemnica sukcesu filmu z Bogartem i Bergman

Fenomen „Casablanki”

FOT. WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

Piotr Semka

O tym, że Amerykanie wylądują właśnie na marokańskim wybrzeżu, nie wiedział nikt dopóty, dopóki nie rozpoczęła się inwazja. Nie wiedzieli o tym też twórcy filmu „Casablanka”

Dokładnie osiem dekad temu film „Casablanca” stał się jednym z najpopularniejszych filmów na rynku amerykańskim. Specjaliści od kina od dawna wałkują temat, dlaczego stosunkowo niepozorny film, opowiadający o bardzo specyficznym froncie drugiej wojny światowej, odniósł aż taki sukces, a to powodzenie trwa do dzisiaj, gdyż – jak zgodnie twierdzą liczni krytycy – amerykański film z 1942 r., który wszedł na ekrany z początkiem 1943 r., znajduje się we wszystkich rankingach najbardziej znanych melodramatów, a cytaty z „Casablanki” ciągle istnieją w świadomości społecznej. Ale, jak to zwykle bywa w historii, filmowi pomógł przypadek.

W listopadzie 1942 r. Amerykanie dokonali pierwszej inwazji na obszary kontrolowane przez III Rzeszę. Miejscem lądowania było Maroko, które wówczas znajdowało się pod władzą imperium Vichy, ale zachowanie petainowskich Francuzów było ściśle kontrolowane przez wpływową wojskowo-dyplomatyczną misję III Rzeszy. Zbiegiem przypadku francuskie Maroko stało się pierwszym krajem, który Amerykanie wyzwolili spod władzy – oczywiście pośredniej – państwa Hitlera. O tym, że alianci wylądują właśnie na plażach marokańskich, nie wiedział nikt dopóty, dopóki nie rozpoczęła się ta operacja wojskowa. Nie wiedzieli o tym też twórcy filmu „Casablanka”, na czele z reżyserem filmu Michaelem Curtisem. Wiadomość o tym, że amerykańskie oddziały wylądowały w Maroku, a następnie zdobyły Casablankę, była więc gigantyczną promocją filmu. Zainteresowanie filmem podbiło jeszcze ujawnione post factum spotkanie prezydenta USA Franka Delano Roosevelta z Winstonem Churchillem, do którego doszło na początku 1943 r.

Smutny spaniel

Gwiazdor o minie smutnego spaniela – to oczywiście złośliwa opinia o stylu gry Humphreya Bogarta. Styl gry hollywoodzkiego aktora z jego charakterystycznym zblazowanym i nieco smutnym uśmiechem rozbrajał wówczas serca wszystkich amerykańskich dziewcząt i kobiet. Bogart gra w filmie Ricka Blaine'a, właściciela nocnego lokalu połączonego z jaskinią hazardu w marokańskiej Casablance. Lokal o nazwie Ricks Cafee Americain jest najlepszą knajpą w mie-

eprasa.pl c8c1f3511d

Casablanca, sceneria filmu Michalea Curtisa FOT. DOMENA PUBLICZNA

ście i przyciąga zarówno szefów policji podległych Vichy, członków nazistowskiej misji, jak i wreszcie rozmaitych uciekinierów z objętej wojną Europy.

Wśród nich jest Victor Laszlo, który jest uciekającym przed gestapo uczestnikiem konspiracji antyhitlerowskiej w całej Europie. Fabuła filmu opiera się na dramacie uczuć łączących Humphreya Bogarta i piękną żonę Viktora Laszlo – Ilzą Lund. O ile Viktor Laszlo jest uciekinierem o środkowoeuropejskich korzeniach, o tyle Ilza Lund to Norweżka, która, jak można się domyślać, uciekła z Norwegii zajętej przez Niemców w czerwcu 1940 r. Teraz Viktor i Ilza muszą dostać się do Lizbony, ale podlegająca Niemcom vichistowska policja francuska robi wszystko, aby opozycyjna para nie opuściła miasta. Nie jest żadną tajemnicą, że Niemcy planują skrytobójcze zabójstwo Viktora Laszlo, ale chcą to zrobić w taki sposób, by nie obciążało to wprost przedstawicielstwa III Rzeszy. Jedynym człowiekiem, który może pomóc uciekinierom, jest właśnie Rick Blaine, ale dla zwiększenia melodramatycznego suspensu okazuje się, że zdążył się zakochać w pięknej Ilzie granej przez Ingrid Bergman.

Rick musi zadecydować, czy chce zatrzymać Ilzę dla siebie czy też uszanować wagę misji Viktora Laszlo, który bez żony straci podporę dla swej antynazistowskiej działalności. W końcu Rick postanawia odłożyć na bok swoją namiętność do Ilzy i umożliwia parze antynazistów wyjazd z Casablanki na podstawie posiadanego przez niego listu żelaznego od francuskiego władcy Afryki Północnej, gen. Maxime'a Weyganda. Tyle fabuła. Jednak ten skrótowy opis akcji nie oddaje całej urody filmu. Reżyser Michael Curtis doskonale oddał duszną atmosferę miasta, w którym ścierały się konformizm urzędników Vichy, agresywna polityka przedstawicieli III Rzeszy i wreszcie uparte dążenie rozlicznych emigrantów do wyrwania się do Ameryki.

Nadspodziewany sukces

Punktem wyjścia filmu była sztuka autorstwa duetu amerykańskich autorów Murraya Burnetta i Joan Alison, „Everybody comes to Rick's". Sztuka przedstawiała dramat środkowoeuropejskich antyfaszystów, którzy wciąż muszą uciekać przed gestapo wkraczające do kolejnych stolic europejskich. Spece od marketingu w Hollywood skłonili autorów scenariusza, by akcję przenieść do Casablanki, na bazie założenia, że sukces innego filmu dziejącego się we francuskiej Afryce Północnej – „Algiers" – przyczyni się do sukcesu kasowego także tego filmu. Zdjęcia rozpoczęto 25 maja 1942 r. i zakończyły się w rekordowym tempie dwóch i pół miesięcy. 3 sierpnia 1942 r. miał miejsce ostatni klaps.

Film nie był drogi. W większości akcja dzieje się we wnętrzach, a bardzo silne nastawienie na błyskotliwe dialogi, pełne fatalistycznego humoru, i doskonała gra aktorska Bogarta i Bergman przykuwały uwagę widzów bez potrzeby zbyt wielu plenerowych scen. Budżet filmu, czyli 1 039 000 dol., był jak na ówczesne czasy bardzo skromny. Księgowi ze studia Warner Bros. stawiali wręcz „Casablankę" jako wzorzec dla innych reżyserów trzymania się surowej dyscypliny finansowej. Obraz wykroczył jedynie na stosunkowo niewielką sumę 75 tys. dol. ponad planowany budżet.

Wszystkie dekoracje Casablanki wykonano w studiach w Los Angeles, notabene zresztą po bardzo tanich kosztach, gdyż niedługo wcześniej kręcono inny film dziejący się w krajach arabskich – „The Desert Song" („Pieśń pustyni") i po tamtym filmie zostało mnóstwo wolnych dekoracji. Tak naprawdę jedyne sceny zewnętrzne dotyczyły przylotu niemieckiej misji samolotem Luftwaffe do Casablanki. Finałowa scena, w której Bogart żegna się z Ingrid Bergman, została nakręcona na tle wykonanego dość nieudolnie z tektury modelu samolotu pasażerskiego Lockheed 12 Electra Junior. Złośliwi twierdzili, że na szybkie tempo kręcenia filmu wpłynęła postawa Ingrid Bergman, która ponoć żałowała, że wdała się w jakiś film, o którym była przekonana, iż nie zdobędzie szerszej publiczności, i myślami była

eprasa.pl c8c1f3511d

Kadry z filmu „Casablanca". Na zdjęciu poniżej: Humphrey Bogart i oraz Ingrid Bergman FOT. WARNER BROS. ENTERTAINMENT INC.

już przy kolejnej produkcji – „Komu bije dzwon". Bergman zakładała, że ta ekranizacja prozy Ernesta Hemingwaya będzie o wiele większym sukcesem kinowym niż jakaś dziwaczna opowieść o zapomnianym przez Boga i ludzi zakątku w północnej Afryce. Stało się inaczej.

Film trafił doskonale w nastrój Amerykanów. Miał w sobie optymizm wiary w zwycięstwo nad hitlerowską despocją. Sięgnięcie po aktorkę z subtelnym, europejskim seksapilem okazało się strzałem w dziesiątkę. Amerykanie, jak się okazało, byli już trochę znużeni ocierającym się o wulgarność stylem tlenionych na platynowe blondynki gwiazd w stylu Betty Grable. Ingrid Bergman doskonale uosabiała odważne kobiety europejskiego ruchu oporu, które przedzierały się przez dziesiątki granic krajów podbitych przez Hitlera, aby u boku swych mężów organizować dalszą walkę z brunatną dyktaturą. W filmie widać też bardzo wyraźnie ówczesne wpływy lewicy w Hollywood.

To zasługa amerykańskiego producenta z Wytwórni Warner Bros. – Howarda Kocha (1916–2001). Był on bardzo zadeklarowanym zwolennikiem lewicy i nieprzypadkowo wpłynął na autorów scenariusza braci Epsteinów, aby opisali przeszłość Ricka Blaina najpierw jako żołnierza, który walczył po stronie Etiopii przeciw włoskiej agresji w latach 1936–38, a potem uczestnika wojny domowej w Hiszpanii po stronie lewicowych republikanów. To zresztą tłumaczy wybór na bohatera antyhitlerowskiego oporu Czechosłowaka o węgierskim nazwisku Viktor Laszlo. Wybór właśnie tej narodowości dla przedstawienia bohatera walczącego z nazizmem był dla ówczesnej lewicy hollywoodzkiej naturalny.

Polskie pretensje, że autorzy scenariusza nie sięgnęli po jakiegoś Polaka jako herosa antynazistowskiego ruchu oporu, nie brały pod uwagę, że w ówczesnym środowisku hollywoodzkich scenarzystów Polacy byli uważani za antysemickich bigotów i kryptofaszystów. Wysuwane przez niektórych polskich autorów sugestie, że pierwowzorem Victora Laszlo był polski oficer wywiadu Mieczysław Słowikowski, który w czasie drugiej wojny światowej na terenie północno-zachodniej Afryki kierował z polecenia polskiego wywiadu siatką szpiegowską „Agencja Afryka", to raczej polskie chciejstwo. W Warner Bros. nie interesowano się specjalnie Polakami.

Bliżej niż dalej

W jednym autorzy scenariusza doskonale wpisali się w atmosferę schyłku 1942 r. Czuć było, że apogeum niemieckiej dominacji nad Europą i Afryką już się kończy. Było już po wygranej Brytyjczyków nad korpusem Afrika Korps pod El Alamein, niemiecka 6. Armia Paulusa zaś grzęzła w gruzach Stalingradu w walce o metropolię nad Wołgą. Finał filmu pokazuje, że lokalny szef policji Vichy w Casablance, kpt. Renault, dochodzi do wniosku, iż karta przestaje iść Niemcom i trzeba rozpocząć przygotowania do przejścia na stronę sił wolnej Francji, pod wodzą gen. Charlesa de Gaulle'a. W finałowej scenie Rick Blaine i kpt. Renault dogadują się, że razem uciekną do najbliższego terytorium kontrolowanego przez Wolnych Francuzów. W warunkach marokańskich był to Senegal, który podporządkował się de Gaulle'owi.

Ale wydarzenia, które bardzo szybko dopisały ciąg dalszy do filmu „Casablanka", ułatwiły zadanie takim jak kpt. Renault. Amerykanie po lądowaniu na plażach marokańskich – umiejętnie stosując politykę kija i marchewki wobec urzędników dotąd lojalnych wobec ekipy marszałka Philippa Pétaina – szybko zajmowali teren. Gdy napotykali na swojej drodze oddziały vichistowskie, dobrotliwie proponowali przyłączenie się do obozu dysponującego większą siłą, a jedynie w wypadku upartego oporu korzystali ze swej przewagi militarnej. Metoda ta pokazała swoją skuteczność w ciągu paru kolejnych miesięcy. Francuskie Maroko, a potem francuska Algieria kapitulowały wobec Amerykanów, a wielkorządca tamtejszych terytoriów z ramienia Vichy – gen. Maxime Weygand – szybko podporządkował się jankesom.

Po latach było widać, że Amerykanie po stosunkowo niedawnej klęsce w Pearl Harbour potrzebowali wtedy haustu optymizmu. Film „Casablanka", opakowany w bliskowschodnią estetykę, nie był jedynie egzotyczną bajeczką; miał bardzo silny wydźwięk patriotyczny. Pokazywał, że ideały obozu aliantów mogą być wyznawane także przez ludzi niebędących jakimś wzorem moralności – jak filmowy Rick Blaine – a poświęcenie bojowników antynazistowskich uciekających spod władzy Hitlera jest moralnym zobowiązaniem dla USA do zniszczenia brunatnego imperium.

Film trafił w swój czas. A dla każdego reżysera to najsłodsza pochwała. Paradoksem jest to, że w samej Casablance do końca wojny nie był grany, mimo zajęcia miasta przez Amerykanów. Obawiano się, że pokazanie francuskich urzędników jako sługusów Niemców może urazić ich uczucia. A jankesi chcieli mieć spokój we francuskiej Afryce Północnej.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

XIII–XIV w. / Walka o zjednoczenie Polski

Leon Bigosiński „Ucieczka Łokietka"
FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Muskata kontra Łokietek

Tomasz Stańczyk

Biskup polityk walczył ze zjednoczycielem Polski. Przegrał i musiał asystować przy jego koronacji

Długoletni wróg Władysława Łokietka, wierny stronnik królów czeskich, był Ślązakiem, najprawdopodobniej wywodził się z wrocławskiej rodziny kupieckiej pochodzenia niemieckiego lub miejscowego, zniemczonej. Historycy uważają, że Jan Muskata znał język polski, ale uważał się za Niemca, a z pewnością tak był postrzegany w swoich czasach.

Urodził się ok. 1250 r. we Wrocławiu. Jego nazwisko czy może raczej przydomek – Muskata – ma pochodzić od gałki muszkatołowej, którą wraz z innymi przyprawami handlował jego ojciec. Ale wysuwano też przypuszczenia, że od łacińskiego słowa „musca" (mucha) lub od wina moscato, które podobno bardzo lubił. Rodzina przyszłego biskupa krakowskiego była majętna, skoro stać było ją na wysłanie syna na studia do Bolonii. Jego pierwsze godności kościelne to stanowisko kanonika katedralnego we Wrocławiu i oraz archidiakona w Łęczycy.

Wrocławska kariera

Jan Muskata był zaangażowany w spór biskupa wrocławskiego Tomasza II z Henrykiem IV Prawym (Probusem), księciem wrocławskim i śląskim. Konflikt miał naturę ekonomiczną. Książę zagarnął niektóre wsie biskupie, dziesięcinę, naruszał immunitet sądowy ziem biskupich. Ale było też narodowe tło zatargu. Jak zauważał Władysław Abraham, autor „Sprawy Muskaty", bp. Tomasza popierał arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka, któremu podlegała diecezja wrocławska, a niemieckie mieszczaństwo stało za księciem Henrykiem Prawym, właściwie zniemczonym już Piastem.

Z polecenia biskupa Muskata pojechał do Rzymu szukać tam wsparcia dla niego. Władysław Abraham pisał: „Poświęcenie się wyłącznie życiu duchownemu i obowiązkom stanu duchownego, do którego należał, nie odpowiadało, zdaje się, jego usposobieniu, toteż niedługo po powrocie na Śląsk rzucił się w wir spraw politycznych, które go całkowicie pochłonęły".

Z Rzymu wrócił Muskata z awansem na poborcę świętopietrza w Polsce i na Pomorzu, ale i naraził się na oskarżenie bp. Tomasza II o to,

Pieczęć biskupa Jana Muskaty
FOT. DOMENA PUBLICZNA

eprasa.pl c8c1f3511d

że zdefraudował nad Tybrem pieniądze przeznaczone na podarki dla kardynałów. Oskarżenie okazało się niesłuszne, ale – jak pisał ks. Norbert Jeżak, autor artykułu o konflikcie bp. Tomasza z księciem Henrykiem – „musiało być coś jednak nie w porządku, Muskata bowiem ani nie oddał rachunków, ani nie złożył w kurii sprawozdania".

Nie zakończyło to jednak współpracy z biskupem. Muskata był pośrednikiem w jego sporze z księciem wrocławskim, a także był związany z tym ostatnim, który uczynił go swoim kapelanem. Nie przeszkodziło to, jak zauważył historyk Tomasz Nowakowski, we wzięciu przez Muskatę udziału w obaleniu testamentu Henryka Prawego, na mocy którego jego następcą miał zostać Henryk III Głogowski. Jan Muskata opowiedział się za innym Piastem – Henrykiem V Legnickim, a ten książę był sojusznikiem Wacława II, władcy Czech.

W testamencie Henryk Probus przekazał swoje prawa do Małopolski księciu wielkopolskiemu Przemysłowi II. Jednak w 1291 r. Przemysł, widząc, że możnowładcy Małopolski i biskup krakowski Paweł z Przemankowa – słynący zresztą z niemoralnego życia – poparli Wacława II, zrzekł się na jego rzecz praw do ziemi krakowskiej. Czeski władca zajął Kraków przy bezskutecznym oporze Władysława Łokietka.

Król Wacław II FOT. WIKIPEDIA

Stronnik Wacława II

Z Wacławem II księciem czeskim miał związać się Jan Muskata, gdy przyjechał z polecenia Prokopa, biskupa krakowskiego (od 1292 r.) do Pragi w sprawie dziesięcin z żup wielickich. Prokop był skonfliktowany z czeskim starostą na tym tle, a być może zmawiał się z Łokietkiem. Biskup przybył do w 1294 r. do Pragi, otrzymał dochody z żup, ale jednocześnie złożył przysięgę wierności. W tym samym roku zmarł.

Jan Muskata zapragnął zostać jego następcą. Postanowił zyskać sobie przychylność elektorów, obiecując im awanse i beneficja. Popełnił więc grzech symonii, czyli kupowania godności kościelnych. Najpewniej też przekupił starostę czeskiego Hynka, któremu Wacław II kazał wytypować dogodnego dla siebie kandydata. Inna jednak wersja mówi, że Hynek zapoznał kanoników z listem Wacława zalecającym obranie Jana Muskaty biskupem.

W opinii Władysława Abrahama bp Jan Muskata był ostoją panowania czeskiego w Małopolsce. Nie pojechał na koronację Przemysła II w Gnieźnie w 1295 r., co było jawną demonstracją polityczną, tak jak udział w koronacji Wacława na króla Czech dwa lata później. W tym czasie Łokietek zrzekł się, za sowitą opłatą, praw do księstw krakowskiego i sandomierskiego, później zobowiązał się do hołdu Wacławowi II ze wszystkich ziem, jakie posiadał, ale nie stawił się w Pradze, by dopełnić przyrzeczenia.

Muskata wziął udział w wyprawie czeskiego króla przeciw Władysławowi Łokietkowi w 1300 r., uwieńczonej koronacją Wacława na króla Polski w Gnieźnie, nieuznaną zresztą przez papieża. Obrzędu włożenia korony na skronie Czecha dopełnił arcybiskup gnieźnieński Jakub Świnka. Uczynił to bez entuzjazmu. Wacław II był nie tylko obcym władcą, lecz także lennikiem cesarza niemieckiego, a Świnka nie lubił Niemców, rozpychających się w polskim Kościele. Kazanie podczas koronacji wygłosił niemiecki biskup. Świnka ocenił, że byłoby nawet niezłe, gdyby nie to, że duchowny ten to „psi łeb i Niemiec".

„Zjednoczenie większości ziem polskich stało się faktem, ale była to typowa okupacja" – oceniał Paweł Jasienica sukces Wacława II. Łokietek musiał uchodzić za granicę, być może w jubileuszowym 1300 r. starał się pozyskać przychylność papieża.

Jan Muskata został starostą, czyli namiestnikiem czeskiego króla w ziemiach krakowskiej i sandomierskiej. Zlecał zabójstwa przeciwników czeskiego króla. Między innymi właśnie o to, a także o symonię oskarżył Muskatę abp Świnka i wytoczył mu proces kanoniczny. Zakończył się on jednak polubownie. Opinię o brutalności bp. Jana Muskaty ilustruje podanie o śnie czy też widzeniu pewnego krakowskiego franciszkanina. Ukazał mu się Muskata jako stojący na tylnych łapach wilk w szatach biskupich, z pastorałem w pysku i z tarczą, na której widniał skrwawiony miecz.

W 1301 r. wygasła na Węgrzech dynastia Arpadów. Muskata wziął udział w akcji osadzenia na tronie węgierskim Wacława III (jako Władysława V), za co został wynagrodzony podkanclerzym królestwa. Gdy jednak papież Bonifacy VIII opowiedział się przeciw Wacławowi, a za konkurentem Czecha – Karolem Robertem – Muskata, obawiając się niełaski papieża i utraty biskupstwa, którą mu wprost zagroził, wrócił do Krakowa.

Wrogość i pojednanie

W 1304 r. do gry o Polskę powrócił Władysław Łokietek, wykorzystując uwikłanie Wacława II w walkę o sukcesję na Węgrzech. „Wszystko, co się poczuwało do narodowego sztandaru, garnęło się do niego [Łokietka – przyp. T.S.] i oręż jego czynił coraz większe postępy" – pisał Abraham.

eprasa.pl c8c1f3511d

Wybuchła wojna domowa, wojsko Muskaty paliło i grabiło miasta oraz wsie, a nawet kościoły, w których posługiwali księża będący zwolennikami Łokietka, i te, w których ludzie przechowywali swoje pieniądze i kosztowności, licząc, że świątynie są nietykalne. Biskup miał mówić żołnierzom, pokazując na topór: „Oto klucz św. Piotra, który otworzy wam kościół". W ten sposób uzyskiwał pieniądze na opłacanie zaciężnych żołnierzy.

Po śmierci Wacława II w 1305 r. większość polskich możnowładców nie zaakceptowała jego syna Wacława III jako nowego króla Polski. Muskata był inicjatorem jego małżeństwa z Wiolą, córką Mieszka, Piasta cieszyńskiego, lennika czeskiego. Mariaż ten był nagrodą za jego wierność Czechom, ale wzbudził też zdziwienie, że król dużego państwa ożenił się z latoroślą mało znaczącego księcia.

Biskup Muskata zaangażował się po stronie Wacława III, zamierzał mu pomóc w objęciu władzy w Polsce. Niespodziewany zwrot, korzystny dla Łokietka, nastąpił, gdy podczas koncentracji wojsk, które miały go zaatakować, w 1305 r. w Ołomuńcu czeski król został zamordowany. Łokietek opanował najpierw Wawel, a następnie Kraków. Wiec rycerstwa małopolskiego, wielkopolskiego i kujawskiego uznał go za prawowitego władcę. Muskata wykazał się elastycznością, przyłączył się do uchwały wiecu, zjednany zresztą obietnicą księcia, że poczyni nadania dla jego diecezji.

Biskup knuł jednak dalej z wrogami Łokietka. W 1306 r. abp Jakub Świnka, zdecydowany stronnik Łokietka, wytoczył Muskacie drugi proces, a wojska zaciężne księcia zaczęły łupić dobra biskupie. Doszło jednak do pojednania między biskupem i księciem, który nakazał dowódcy najemników zrekompensować straty. Wkrótce jednak Łokietek, wobec trwającej wrogości Muskaty, zajął jego zamki, z wyjątkiem Lipowca. Biskup uznał się za pokonanego, a proces kanoniczny zakończył się niepomyślnie dla niego. Arcybiskup Świnka zawiesił go w czynnościach biskupich, obłożył karami kościelnymi, w tym ekskomuniką za symonię, próbę usunięcia Łokietka z Krakowa, zlecanie morderstw, grabieże kościołów. W procesie wytknięto też Muskacie, że miał kochankę, niejaką Gerosę z Sącza.

Księżna Jadwiga, żona Władysława Łokietka, usiłowała doprowadzić do kolejnej ugody swego męża z Muskatą. On jednak odpowiedział hardo: „Szukajcie sobie innego biskupa, a ja poszukam sobie innego księcia i nie powrócę do Krakowa, chyba że z innym księciem".

W 1308 r. Łokietek zaprosił Muskatę na pojednawcze rozmowy do Krakowa, gwarantując nietykalność, ale był to podstęp. Biskup został pojmany i przesiedział pół roku w zamknięciu do czasu podpisania kapitulacyjnej ugody w 1309 r. Wbrew przyrzeczeniu, że bez zgody księcia nie opuści diecezji, chyba że zostanie wezwany przez papieża lub arcybiskupa gnieźnieńskiego, Muskata umknął poza zasięg władzy Łokietka. Kilka lat przebywał na wygnaniu, mimo że w 1310 r. uzyskał korzystny wyrok legata papieskiego, oburzonego uwięzieniem biskupa: ekskomunika i zawieszenie w czynnościach biskupich zostały anulowane.

W latach 1311–1312 trwał tzw. bunt wójta Alberta, czyli niemieckiego mieszczaństwa Krakowa przeciw Łokietkowi. W grę wchodziły interesy ekonomiczne. Jan Długosz stwierdzał, że krakowscy Niemcy byli niezadowoleni z nadmiernych podatków i konieczności finansowania wojennych potrzeb Władysława Łokietka. Jednak bunt ujawnił też polsko-niemiecki antagonizm. W „Roczniku kapituły krakowskiej" zapisano, że mieszczanie, „przyjaciele zdrady", wszczęli rebelię, „rozpaleni wściekłym germańskim szałem".

Niemcy życzyli sobie, by w Krakowie panował Jan Luksemburski, król Czech, który uważał, że ma prawo do polskiej korony po swoich poprzednikach, w tym Wacławie II, z którego córką był ożeniony.

Muskata, zdaniem Abrahama, „jeżeli nie był moralnym sprawcą tych wypadków, to się zapewne znacznie do nich przyczynił". Inny historyk, Edmund Długopolski, stwierdzał nawet, że Muskata był jakiś czas w Krakowie podczas buntu, a jego szwagier Gerlach de Kulpe został za udział w buncie ukarany utratą majątku.

Dopiero w 1317 r. bp Jan Muskata powrócił do Krakowa. Zrezygnował z ambicji politycznych, pogodził się z rzeczywistością. Wziął udział w koronacji Łokietka w styczniu 1320 r. „Było to wielkim upokorzeniem dla Muskaty, że musiał uczestniczyć w tym obrzędzie, który był takim triumfem jego wroga".

Biskup umarł dwa tygodnie później, uważano, że ze zgryzoty wywołanej koronacją Łokietka. Nie został pochowany w katedrze na Wawelu, lecz, tak jak sobie tego życzył, w klasztorze Cystersów w Mogile, których wspierał.

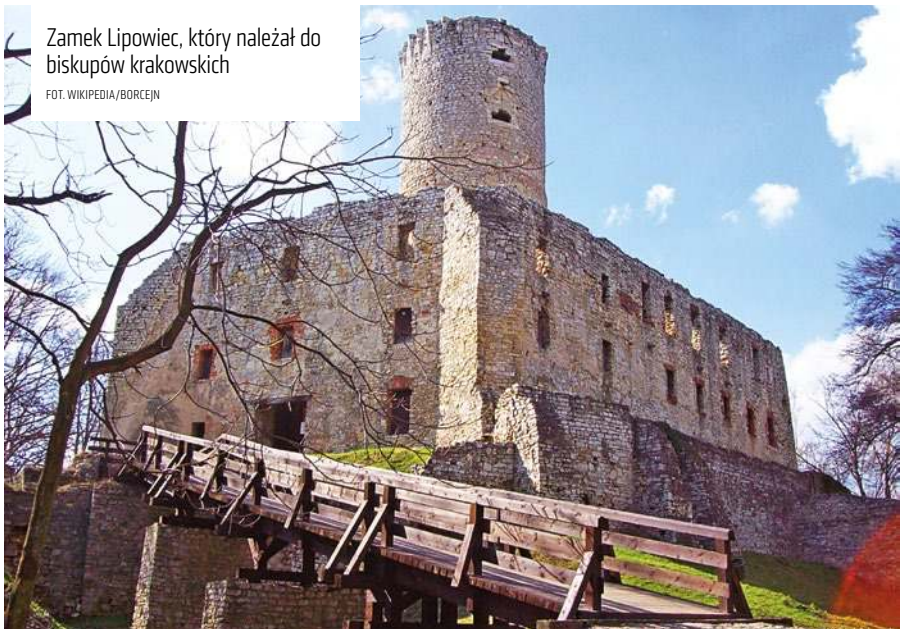

Zamek Lipowiec, który należał do biskupów krakowskich

FOT. WIKIPEDIA/BORCEJN

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Kadr z filmu propagandowego z 1930 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Lata 20., lata 30. / Marchlewszczyzna „polska" a Polska

Polacy za Zbruczem

Mikołaj Iwanow

Stopień komunizowania się ludności ukraińskiej i białoruskiej w Polsce był proporcjonalny do stopnia sowietyzacji Polaków na dalszych Kresach

W latach 20. i pierwszej połowie lat 30. w ramach tzw. leninowskiej polityki narodowościowej przeprowadzono w ZSRS bezprecedensowy eksperyment z ludnością polską, zamieszkałą w rejonach przygranicznych z II Rzecząpospolitą. Miał on na celu utworzenie w rejonach zwartego zamieszkiwania Polaków na Białorusi i Ukrainie polskiej autonomii narodowościowej opartej na podstawowych zasadach społeczeństwa sowieckiego. Pierwszym i najważniejszym krokiem w realizacji tej polityki było utworzenie w roku 1925 Polskiego Rejonu Autonomicznego im. Juliana Marchlewskiego na Żytomierszczyźnie.

Najważniejszym elementem tego eksperymentu było wprowadzenie we wszystkich państwowych i partyjnych instytucjach Marchlewszczyzny (z milicją i sądem włącznie) języka polskiego jako urzędowego. Prawie całe szkolnictwo w tym polskim rejonie narodowościowym przełączono na język polski.

Jedną z głównych przyczyn założenia Marchlewszyzny były narastanie w ZSRS wrogich nastrojów wobec II Rzeczypospolitej i coraz bardziej aktywne rozpowszechnienie przez propagandę sowiecką informacji o wzrastającym polskim zagrożeniu wojennym. Polski straszak był konieczny w procesie powstawania i umacniania ustroju totalitarnego, w którym terror miał się stać podstawową formą rządzenia. Jednak mimo całej unikatowości tych działań musimy stwierdzić, że lata 20. były okresem przeprowadzenia podobnych eksperymentów z innymi mniejszościami. Tworzono niemieckie, żydowskie, fińskie, koreańskie, bułgarskie, nawet szwedzkie republiki autonomiczne, rejony, rady wiejskie i miejskie różnych narodowości.

Dla komunistów sowieckich polska tzw. autonomia socjalistyczna miała znaczenie szczególne. II Rzeczpospolita była idealnym wrogiem na użytek wewnętrzny. Zarówno w sensie ekonomicznym, jak i militarnym Polska była najpotężniejszym państwem demokratyczno-parlamentarnym mającym wspólną granicę ze Związkiem Sowieckim. Żadne spośród sąsiadujących z ZSRS państw po prostu

eprasa.pl c8c1f3511d

Pierwszy Zjazd Rad Delegatów Robotniczych i Włościańskich rejonu polskiego im. J. Marchlewskiego na Wołyniu, 1926 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

nie nadawało się do roli potencjalnego „imperialistycznego agresora" zdolnego do realnego zagrożenia stabilności władzy sowieckiej.

Propaganda komunistyczna traktowała Polskę jako wroga numer jeden i bardzo często posługiwała się „polską kartą" jako swego rodzaju straszakiem w kolejnych kampaniach walki z wewnętrznymi przeciwnikami ustroju, mającym uzasadniać stalinowski terror. Po przewrocie majowym w 1926 r. sowieckie środki masowego przekazu zaczęły określać II Rzeczpospolitą nie inaczej jak „Polska faszystowska".

Stosunek ZSRS do Polski odzwierciedlał zarówno wzajemny konflikt, jak i skrajne rozbieżności ideologiczne obu państw. Spory wpływ na kształt stosunków polsko-sowieckich miała rywalizacja w tej części Europy. Polska – potencjalnie główne ogniwo Małej Ententy – stała na przeszkodzie objęciu wpływami sowieckimi republik nadbałtyckich. Brak wspólnej granicy między Niemcami a Rosją Sowiecką przeszkadzał również w realizacji rappalskich porozumień sowiecko-niemieckich, przewidujących zacieśnienie współpracy między dwoma głównymi przegranymi w niedawnej wojnie światowej. Współpraca ta (której szczególne nasilenie przypadło na koniec lat 20. i początek 30.) obejmowała przede wszystkim sferę wojskową.

Polak ze szkła

Szczególny charakter stosunków polsko-sowieckich warunkował niezwykle intensywne nasilenie prac nad budownictwem polskiego „społeczeństwa socjalistycznego" w ZSRS i jego wyraźne uprzywilejowanie w porównaniu z procesami tworzenia autonomii innych narodów. Marchlewszczyzna, znajdująca się 50 km na zachód od Żytomierza i licząca ponad 52 tys. mieszkańców (z czego ponad 70 proc. to Polacy), miała się stać wzorowym sowieckim rejonem autonomicznym. Nie szczędzono na ten cel ani sił, ani środków.

Komuniści Polscy w ZSRS posunęli się aż tak daleko, że wysunęli plan „stworzenia na Marchlewszczyźnie dużych zakładów przemysłowych w celu kształtowania warstwy proletariackiej w polskim społeczeństwie kresowym". W ówczesnych warunkach jedyną możliwością ukształtowania na Marchlewszczyźnie własnej polskiej klasy robotniczej był przyspieszony rozwój tej gałęzi przemysłu, która już istniała i miała na miejscu odpowiednie zaplecze i surowce. Dlatego zdecydowano postawić na rozwój przemysłu wyrobów ze szkła. W latach 1928–1931 wybudowano na Marchlewszczyźnie dwie nowe huty szkła w miasteczkach Bykówka i Marianówka. Gruntownie zmodernizowano również dwie już istniejące huty w Marchlewsku i Kamiennym Brodzie. Ta ostatnia zwiększyła swoją produkcje w wyniku modernizacji prawie dziesięciokrotnie, a liczba zatrudnionych tam zwiększyła się trzykrotnie – z 580 do 1505 osób. Ogółem liczba robotników Marchlewszczyzny osiągnęła liczbę 5884, co stanowiło prawie 11,2 proc. całej ludności polskiego rejonu.

Tak zwana industrializacja Marchlewszczyzny formalnie dawała polskim komunistom w ZSRS możliwość występowania w imieniu polskiego proletariatu sowieckiego. Według ich rozumienia Marchlewszczyzna powoli przekształcała się w idealny rejon socjalistyczny, zarodek przyszłej Polskiej Republiki Rad. W miejscowej gazecie „Marchlewszczyzna Radziecka" pisano na ten temat otwarcie: „W szeregach polskiej klasy robotniczej rejonu powinni kształcić się przyszli sternicy budownictwa socjalistycznego Polskiej Republiki Rad".

Rzeczywistość jednak była dość daleka od tych idealizowanych planów komunistycznych. Nowi robotnicy w większości wywodzili się z miejscowej ludności polskiej, bardzo religijnej, wychowanej przeważnie w duchu polskiej tradycji kresowej. Represje antypolskie w drugiej połowie lat 30. wyraźnie dowodzą, że uznanie ich za świadomych przyszłych bojowników o Polską Republikę Rad było jednym z dziwnych paradoksów tego sowieckiego eksperymentu.

W ZSRS nigdy nie ukrywano zdecydowanie wrogiego wobec państwa polskiego charakteru przeprowadzanego na wielką skalę eksperymentu z ludnością polską. Raczej na odwrót, „antypolskie, antyfaszystowskie" oblicze Marchlewszczyzny aktywnie wystawiano na pokaz przy każdej nadarzającej się okazji. Miała ona stanowić swoisty sztandar sowieckiej polityki narodowościowej na „odcinku polskim".

Zjazd delegatów w Bykówce poświęcony wydzieleniu rejonu polskiego, 1925 r. FOT.BIBLIOTEKA NARODOWA

Na łamach „Trybuny Radzieckiej" jeden z czołowych komunistów polskich w Związku Sowieckim Tomasz Dąbal pisał: „Rycerzyki Piłsudskiego, o ile się gotują jako najmici imperialistów angielskich do nowej wojny z ZSRR, liczą w razie jej wszczęcia na sympatię

eprasa.pl c8c1f3511d

Antypolski sowiecki plakat propagandowy z 1923 r.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

ludności polskiej w pasie przygranicznym oraz na to, że w oczach mas pracujących Polski i zagranicy będą mogli nową wojnę imperialistyczną przedstawić jako rzekomą walkę o wyzwolenie ludności polskiej jęczącej pod jarzmem bolszewickim. Złudne są te nadzieje. Ponadto wzrost sympatii i przywiązania ludności polskiej ZSRR do Władzy Radzieckiej samo przez się wywiera rewolucjonizujący wpływ na masy robotniczo-chłopskie Polski, a zwłaszcza na robotników i chłopów Białorusi i Ukrainy Zachodniej".

Tomasz Dąbal nieprzypadkowo uwypuklił los dwóch najliczniejszych słowiańskich mniejszości w II Rzeczypospolitej, były one bowiem traktowane w ZSRS jako swoista przeciwwaga polskiej mniejszości narodowej w Związku Sowieckim. Polskojęzyczna prasa sowiecka nie marnowała okazji do podkreślania tej współzależności. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że charakter polsko-sowieckich stosunków wzajemnych w tym okresie sprzyjał narastaniu nastrojów nacjonalistycznych i aktywności społecznej tych grup mniejszościowych po obu stronach granicy polsko-sowieckiej. Zaryzykujemy również stwierdzenie, że stopień komunizowania się ludności ukraińskiej i białoruskiej w Polsce był mniej więcej proporcjonalny do stopnia sowietyzacji Polaków na dalszych Kresach. Jak później się okazało, sowietyzacja Polaków Marchlewszczyzny była zupełnie powierzchowna. Ich późniejszy masowy opór wobec kolektywizacji i ateizacji jest na to wyraźnym dowodem.

Najsłabsze ogniwo

W latach 20. politykę Związku Sowieckiego w stosunku do jego największego zachodniego sąsiada „cechował wyraźny pragmatyzm". Łączyła ona w sobie dwie sprzeczne tendencje. Z jednej strony wyniszczonemu przez prawie siedem lat nieprzerwanej wojny Związkowi Sowieckiemu zależało na utrwaleniu pokoju i nawiązaniu dobrych stosunków, przede wszystkim handlowych, z państwami burżuazyjnymi, z drugiej zaś – wskutek wyraźnie dogmatycznego rozumienia w latach 20. doktryny marksistowskiej przez kierownictwo RKP(b) i Międzynarodówkę Komunistyczną – opowiadano się jednoznacznie za aktywnym rozprzestrzenianiem rewolucji w innych krajach Europy i rozwijaniem wszechstronnym stosunków z tymi krajami. Polska w tych planach ze zrozumiałych względów zajmowała czołowe miejsce. Według postanowień VI Kongresu Kominternu Polska była drugim, po Niemczech, najsłabszym ogniwem kapitalizmu.

Dla polskich komunistów w ZSRS aspekt zewnętrznopolityczny procesu tworzenia autonomii polskiej wyraźnie przeważał. Miał on tak doniosłe znaczenie, że gdyby nawet w Związku Sowieckim nie było odpowiednio licznej polskiej mniejszości narodowej, nadającej się do przeprowadzenia eksperymentu polonijnego, kierownictwo komunistyczne nie zawahałoby się przed stwarzaniem pozorów jej istnienia. Dowodów potwierdzających dominację celów zewnętrznych w tej sprawie jest sporo.

Oto fragment rezolucji II Zjazdu Rad Polskiego Rejonu Narodowościowego im. Juliana. Marchlewskiego (19 i 20 marca 1927 r.): „Zjazd obecny ma znaczenie sięgające poza granice Związku Radzieckiego. Będzie on naocznym porównaniem polityki narodowościowej władzy radzieckiej z polityką faszystowskiej Polski, gnębiącej mniejszości narodowe".

Podobną treść miał powitalny telegram wysłany przez Polaków z Marchlewszczyzny z okazji stworzenia rejonu o nazwisku pierwszego polskiego komunisty w ZSRS, Feliksa Dzierżyńskiego: „Głos wasz dojdzie do mas pracujących Polski, które nie dopuszczą do nowego wystąpienia zbrojnego przeciwko Ukrainie i Białorusi, obliczonego na to, ażeby odebrać ziemie włościanom oraz przerwać ich pracę w zakresie budownictwa socjalizmu".

Cele i zadania polityki tworzenia polskiej autonomii określano od razu jasno i wyraźnie. Miała ona w krótkim czasie dowieść, że jedynie w państwie sowieckim jest możliwe „pełnowartościowe, szczęśliwe życie polskich mas pracujących". Bronisław Skarbek (rozstrzelany na samym początku wielkiego terroru w 1933 r.), jeden z czołowych twórców koncepcji polskiej autonomii sowieckiej, zamieścił na ten temat na łamach „Trybuny Radzieckiej" artykuł pod bardzo wymownym tytułem: „Nasza sowietyzacja Polski". Pisał on: „Faszystów polskich najbardziej doprowadza do wściekłości fakt oddziaływania postępów budownictwa socjalistycznego wśród polskich mas pracujących ZSRR na robotników i włościan w samej Polsce, usuwa bowiem im spod nóg grunt dla agitacji faszystowskiej".

Świadczy to wszystko o panującej wówczas w ZSRS atmosferze psychozy militarystycznej wobec II Rzeczypospolitej. Łudzono się również nadziejami, że w Polsce powstała już sytuacja rewolucyjna. Spodziewano się, że Polska stanie się pierwszym ogniwem przyszłej socjalistycznej Europy. W trafny sposób nastawienie propagandy komunistycznej odzwierciedla wiersz Czesława Groniaka, polskiego poety komunisty. Był on zamieszczony na pierwszej stronie organu Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Białorusi, gazety „Orka":

Będzie za dziesięć lat, dwadzieścia
Świat cały jednym Związkiem Rad.
Ozdobią wieńce chwały, cześci
Nasz pierwszy socjalistyczny kraj.

Wzmożona fala propagandy militarystycznej przeciwko Polsce była zapowiedzią zbliżającego się terroru stalinowskiego. Władze świadomie podtrzymywały w społeczeństwie stałe napięcie i oczekiwanie na kolejne zaciekłe starcia z prawdziwymi i rzekomymi wrogami władzy sowieckiej. Perspekty-

eprasa.pl c8c1f3511d

wa rewolucji światowej, obalenia ustroju burżuazyjnego w Polsce i wykorzystanie dla tych celów Marchlewszczyzny były najlepszymi bodźcami do podtrzymania wojowniczych nastrojów i stałego szukania wrogów zarówno wśród sowieckich Polaków, jak i w całym społeczeństwie sowieckim.

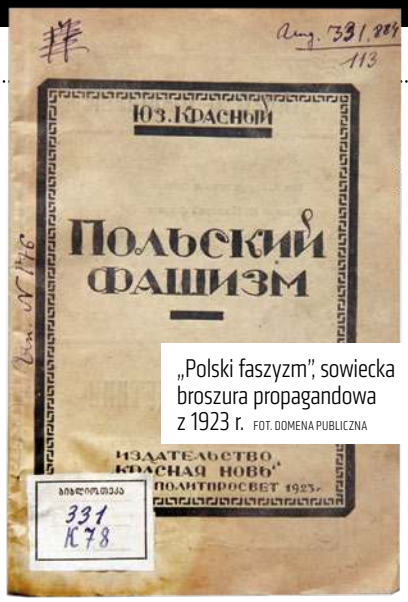

„Polski faszyzm", sowiecka broszura propagandowa z 1923 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Cena wierności

Lata 1932–1934 to okres pewnego polepszenia się stosunków polsko-sowieckich. Podpisano układ o nieagresji w 1932 r., a w 1934 r. przedłużono go do 1945 r. Nadało to nowy impuls rozwojowi sowieckiego eksperymentu z ludnością polską. Założono drugi rejon narodowościowy na Białorusi (Mińszczyzna), im. Feliksa Dzierżyńskiego, popularnie nazywany Dzierżyńszczyzną. Jednocześnie podjęto starania o zorganizowanie trzeciego rejonu polskiego na Ukrainie. Apogeum osiągnęła liczba szkół polskich (ponad 600), znacznie wzrosła liczba różnych polskich instytucji społecznych, kulturalnych i innych.

Jednak w ramach tej autonomii władze sowieckie aktywnie popierały tylko te strony polskiego życia narodowego, które odpowiadały generalnej linii partii bolszewików. Naiwnie byłoby przypuszczać, że mogły one za cenę polepszenia stosunków z Polską pozwolić na jakąkolwiek niekontrolowaną polską działalność społeczną w ZSRS. W warunkach Marchlewszczyzny i Dzierzyńszczyzny nie pozwolono więc na pielęgnowanie nawet w najmniejszym stopniu polskich tradycji narodowych i historycznych w takim kształcie, w jakim chciano by je widzieć w Polsce.

Szczególnie nieugiętą postawę przyjęto wobec katolicyzmu. Kościół katolicki, powszechnie odbierany na terenie wielkiej Rosji jako Kościół polski, był jedynym liczącym się wyznaniem religijnym, które zdecydowano zniszczyć w całości. W roku 1938 na całym ogromnym terytorium ZSRS pozostały otwarte jedynie dwa kościoły katolickie: w Moskwie i Leningradzie, obsługujące wyłącznie pracujących w tych miastach dyplomatów zagranicznych.

Gwoli sprawiedliwości musimy odnotować, że niekiedy sowiecka propaganda, dążąca do przedstawienia sukcesów realizacji polityki polskiej autonomii socjalistycznej, jako dowodu rzeczywistego zaspokojenia potrzeb duchowych i innych polskiej mniejszości narodowej, odnosiła sukcesy w II Rzeczypospolitej. Niektóre polskie organy prasowe przyjmowały sowiecką politykę narodowościową za dobrą monetę. Na przykład w „Kurierze Krakowskim" w lutym 1934 r. wydrukowano artykuł korespondenta wileńskiego, w którym sformułował on wniosek, że polepszenie stosunków polsko-sowieckich wpłynęło na zmianę stosunku władz wobec polskiej mniejszości narodowej w ZSRS. Jako dowód takiej zmiany autor przytoczył dane dotyczące istnienia Marchlewszczyzny, rozwoju systemu szkół polskich, otwarcia licznych klubów i bibliotek polskich, pracy teatrów, innych placówek kulturalnych itp.

Podobna reakcja niektórych organów prasowych II Rzeczypospolitej na postępy tzw. budownictwa w ZSRS polskiego społeczeństwa socjalistycznego była dalece oderwana od rzeczywistych realiów i wywoływała krytyczną reakcję ze strony polskich placówek dyplomatycznych w Związku Sowieckim. Ambasada polska w Moskwie skierowała na ręce ministra spraw zagranicznych dwa poufne listy, w których wyrażano oburzenie taką interpretacją, „gdyż łączenie rozwoju szkolnictwa, bibliotek i klubów polskich z polepszeniem się położenia ludności polskiej jest nonsensem. Są to procesy sowietyzacji ludności polskiej, które w ostatecznym rozrachunku mogą doprowadzić do całkowitej denacjonalizacji Polaków".

Podstępność polityki wobec polskiej autonomii w ZSRS uwidoczniła się w latach wielkiego terroru, kiedy ponadmilionowa rzesza sowieckich Polaków przekształciła się w „pierwszy naród ukarany". W ramach tzw. operacji polskiej zamordowano ponad 200 tys. naszych rodaków. Setki tysięcy skazano na wieloletnie więzienie, zesłano na Sybir i do Kazachstanu. Było to ludobójstwo bez precedensu, wyraźnie świadczące o klęsce polityki polskiej autonomii socjalistycznej. Polakom nie udało się masowo zaszczepić ideologii komunistycznej. Nadal pozostawali wierni ideałom polskości. Zapłacili za to najwyższą cenę.

Dom Ludowy w Dzierżyńsku w 1932 r. FOT.WIKIPEDIA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Władysław Steinahus
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

1896–1915 / Życie podchorążego Władysława Steinhausa, legionisty

„Za oręż chwyć i pędź”

Marek Gałęzowski

„W czasie przerwania frontu w bitwie pod Maniewiczami pchor. Steinhaus jako jedyny oficer ordynansowy nie tylko nie zawiódł, ale swą namiętną gorączką bojową budził szczery zachwyt” (dowódca 6. pułku Mieczysław Norwid–Neugebauer we wniosku o odznaczenie go Orderem Virtuti Militari)

Zmartwychpowstanie!«. I oto wstał z letargu orzeł biały, a serca młodzieży wzniosły go w przestwór. I szlachetne zapalone serca tej młodzieży Czyn spełniać poczęły. Na oczach zdziwionego świata orzeł wzniósł się wysoko. Ale wkrótce brakło mu tchu i zaczęła budzić się obawa, że spadnie. Opierał się dotychczas na młodzieży, a Naród za młodzieżą nie stał. Drgają fale powietrza, rozbujane, rozkołysane, drgają jednym słowem: »Wojna!«. Hej! Wstawajże leniwcze, wstawaj śpiący przez pół wieku narodzie! Oto wschodzi dla Ciebie Wolności zorza, Swobody błysk! Za oręż chwyć i pędź – i goń – i bij! Za krzywdy swych braci, za krew Pragi i Maciejowic, za krew Ostrołęki i Grochowa, za krew Miechowa – bij!”.

Wybaczmy autorowi tych słów, Władysławowi Steinhausowi, nadmierny może patos i pewną egzaltację. Miał tylko 18 lat, kiedy po wybuchu pierwszej wojny światowej tymi słowami rozpoczynał dziennik, który prowadził do listopada 1915 r., a jednocześnie nimi decydował o swoim wyborze.

Legion Wschodni

Pochodził z Jasła, leżącego wówczas w zaborze austriackim, z rodziny żydowskiej wywodzącej się z Węgier. Jego ojciec, Ignacy Steinhaus, adwokat i polityk konserwatywny, był jednym z czołowych działaczy nielicznego zresztą środowiska postulującego asymilację polskich Żydów. Wspierał gorliwie irredentę polską i w chwili wybuchu wojny wszedł w skład Naczelnego Komitetu Narodowego, patronującego politycznie Legionom. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został wybrany na posła na Sejm Ustawodawczy RP. Jego syn, Władysław, uczył się w gimnazjum w Jaśle, a następnie przeniósł się do Prywatnego Gimnazjum im. Adama Mickiewicza we Lwowie i tam w 1914 r. zdał egzamin maturalny, po czym rozpoczął studia prawnicze na miejscowym uniwersytecie. Nie wiadomo, czy uczestniczył w przedwojennym ruchu strzeleckim – wiadomo za to, że z zamiłowaniem uprawiał sport, przede wszystkim narciarstwo.

Zaraz po wybuchu wojny spełnił swoją zapowiedź i wstąpił do Legionu Wschodniego: „Mimo odradzań wielu »trzeźwo« na świat patrzących Jaślan nie namyślałem się zupełnie i wyjechałem do Lwowa. Zaznaczyć muszę – i to największe mi sprawia zadowolenie – że Tatuś, a co już zgoła podziwu godne i Mamusia okazali się prawdziwymi bohaterami i zupełnie mi wyjazdu nie wzbraniali!”. Służba we wspomnianej formacji okazała się jednak krótka, ponieważ, jak pisał

eprasa.pl c8c1f3511d

badacz dziejów zmagań o niepodległość Polski w czasie pierwszej wojny światowej Wacław Lipiński, „kiedy Legion (liczący około 6000 ludzi) przymaszerował w rejon Mszany Dolnej w połowie września, przedstawiciele Narodowej Demokracji z posłem [Aleksandrem] Skarbkiem i [Tadeuszem] Cieńskim na czele, wykorzystując fakt żądania przez Austrię przysięgi wojskowej, agitacją swą zdołali tak zniechęcić żołnierzy, iż Legion Wschodni się rozwiązał. Większość wcielono do wojsk austriackich, część rozproszyła się po całym obszarze monarchii, część jednak została".

Ci ostatni, pod komendą Józefa Hallera, rychło dali początek II Brygadzie, Władysław natomiast znalazł się w drugiej grupie: „A więc już nie jestem legionistą! Prysła marzeń pajęcza nić, skończyły się bajkowe sny. Jedno smutne doświadczenie więcej. Czyż jeszcze nie dorośliśmy do niepodległości?!". Wrócił do rodzinnego Jasła, ale wobec postępów ofensywy rosyjskiej wkrótce wyjechał z rodzicami do Wiednia. Pracował w Biurze Prasowym NKN i jako korespondent wydawanego przez biuro tygodnika „Polen", w którym publikował m.in. tłumaczenia zagranicznych artykułów prasowych na temat Legionów, pisywał korespondencje sportowe do syjonistycznego dziennika lwowskiego „Toggblatt".

Najprawdopodobniej na wiadomość o tworzeniu III Brygady Władysław przyjechał do oswobodzonego od Rosjan Królestwa Polskiego i zgłosił się do szkoły podchorążych Legionów w Piotrkowie. Przydzielono go do służby kancelaryjnej, podobno z powodów zdrowotnych, z czym on, zapalony sportowiec, nie mógł się pogodzić i usilnie starał się o przeniesienie na pole walki. Kiedy mu odmawiano, udał się do swojego dowódcy i oświadczył, „że wstydem byłoby dla Niego zostać wśród czterech ścian wtedy, gdy jego pułkowa rodzina krew swą przelewać będzie. I poszedł…", otrzymując funkcję jeźdźca ordynansowego adiutantury bojowej dowództwa 6. pp III Brygady, służby wyjątkowo trudnej i niebezpiecznej. Opisujący tę sytuację legionowy oficer Stanisław Kochanowski dodał wyjaśniające wszystko słowa: „Jakżeż komendant takiej prośby nie wysłucha?".

Władysław Steinhaus i jego kuzyn w Trojanówce na Wołyniu, wrzesień 1915 r. FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

III Brygada

W Rozprzy na ziemi piotrkowskiej, gdzie formowano 6. pułk, Steinhaus zetknął się w swojej pracy sztabowej z licznymi oficerami, których nazwiska upamiętnił w swoim dzienniku: „Każdy prawie miał co opowiadać! Taki porucznik Hora, Czech, który przydzielony jako lekarz do karpackiej brygady rzucił pewnego dnia instrumenta lekarskie i do szturmu z żołnierzami poszedł. I tak mu się spodobała liniowa służba, że już nie wrócił więcej do swego sanitarnego oddziału. A młodziutki podporucznik Krzyczkowski, który 10 miesięcy ukrywał się w okolicach Lwowa przed Moskalami, ścigany przez nich jak pies, jako »austryjskij oficyr« – jakże go uwielbiają wprost wszyscy jego żołnierze! Lub Piłsudczycy, jak Gigiel, Sikorski, Jarząbkiewicz i inni, którzy losy brygady Piłsudskiego dzielili. Ponad wszystkich zaś wybija się postać komendanta pułku majora Rylskiego".

Kazimierz Michał Krzyczkowski poległ kilka miesięcy później na Wołyniu. Leon Jarząbkiewicz po kryzysie przysięgowym został internowany w Beniaminowie, a później działał w POW na Ukrainie. W listopadzie 1918 r. był jednym z oficerów w tzw. Oddziale Mikulinieckim, który wyruszył na pomoc obrońcom Lwowa. Wzięty do niewoli przez Ukraińców po bitwie pod Mikulińcami, ciężko pobity zmarł w więzieniu w Tarnopolu. Józef Gigiel, który z czasem przybrał sobie do nazwiska legionowy pseudonim Melechowicz, i Adam M. Sikorski byli po 1918 r. wyższymi oficerami WP, bronili Polski we wrześniu 1939 r. Gigiel został zamordowany przez NKWD w Charkowie, Sikorski – również więziony przez Sowietów – doczekał oswobodzenia po układzie Sikorski-Majski; służył później w Polskich Siłach na Zachodzie.

Na Wołyniu

Z końcem lata 1915 r. Steinhaus wraz ze swoim pułkiem wyruszył na Wołyń, gdzie właśnie rozpoczynała się najdłuższa i najcięższa kampania legionowa. 22 września zapisał: „Armaty słychać coraz wyraźniej, a ruch jeźdźców meldunkowych również świadczy o bliskości linii. Przed chwilą spotkałem tu Hugona, który jedzie ze swoją baterią przed nami. Zdaje się, że rekwizycja u nich tak nie kwitnie jak u nas, bo skarżył się Hugo na zły wikt. Dałem mu bochenek chleba, którym bardzo się cieszył. Bądź co bądź oryginalne spotkanie". Hugon był stryjecznym bratem Władysława, żołnierzem 1. pułku artylerii Legionów.

Zaraz na początku następnego miesiąca 6. pułk ruszył do walki. Drugiego dnia października Steinhaus notował: „W chwili, gdy do nich doszedłem, zawrzała znowu bitwa. Kule jak opętane poczęły gwizdać, a wkrótce odezwała się grubym głosem artyleria rosyjska". Tego dnia, w czasie zaciętych walk pod Kołodią, sumiennie wykonywał rozkazy swoich dowódców, omal nie dostając się do niewoli rosyjskiej, o czym informował swoich rodziców: „Po pewnym czasie straciłem zupełnie orientację, począłem się więc kierować stukiem karabinów maszynowych, byłem bowiem pewny, że tylko my je mamy. Zwolna uspokajało się trochę i wkrótce zobaczyłem okop. Uradowany, że znalazłem swoich i wykonać będę mógł rozkaz, wchodzę do niego i z całym spokojem pytam: »Hej, chłopcy, z której wy kompanii?«. Na pytanie to otrzymuję odpowiedź w języku rosyjskim (czapka moja maciejówka zmyliła widocznie mochów)! Jednym susem wyskoczyłem z okopu, a równocześnie krzyknął najbliższy mi moskal: »Sukinsyn Austryjec, strelaj« i cały okop w jednego biednego legionistę dał ognia. Prąd powietrza od karabinów owiał mi twarz, proch ją osmalił, tak że dziś jeszcze

eprasa.pl c8c1f3511d

nie całkiem go z twarzy wydobyłem, a blask oślepił mi oczy".

Za odwagę okazaną pod Kołodią został mianowany podchorążym. Spotkany ponownie Hugon, starszy o blisko 10 lat, cytując Steinhausa: „Bajecznie zdziwiony był, gdy się dowiedział, że jestem już aspirantem oficerskim". Wkrótce Władysław ponownie odznaczył się w walce z wojskami, tym razem pod Maniewiczami. Mianowany właśnie dowódcą pułku Mieczysław Norwid-Neugebauer, w przyszłości generał WP, tak pisał o odwadze podchorążego we wniosku o odznaczenie Orderem Virtuti Militari: „pchor. Steinhaus jako jedyny oficer ordynansowy (...), nie tylko nie zawiódł, ale swą namiętną gorączką bojową budził szczery zachwyt".

Sam zainteresowany zapisał z kolei taką uwagę o swoim dowódcy: „Wygląda na morowca – rzeczywiście tęgiego żołnierza. Da on wprawdzie szkołę wszystkim, jak się zdaje, ale to się przyda. Zaczął od czyszczenia sztabu i czyni to dokumentnie. Z całego sztabu został adiutant [Antoni] Jakubski i ja, w dalszym ciągu jako prowadzący kronikę pułku i archiwum, oraz odtąd jako komendant meldereiterów. Mam konia, swoją robotę, jednym słowem jestem zadowolony w zupełności".

Zachwyt służbą

9 października 1915 r. młody podchorąży zapisywał: „Zresztą, zwykłe życie garnizonowe. Wieści z naszego placu boju niezupełnie pomyślne – pono »Rückzug« (czyli odwrót) na Trojanówkę – byle nas stąd nie chcieli ruszyć i przerywać odpoczynku przed powrotem majora Norwida". Były to ostatnie jego słowa w dzienniku. Pięć dni później, w czasie bitwy pod Kuklami, Władysław Steinhaus służył jako adiutant dowódcy III Brygady płk. Wiktora Grzesickiego. Wysłany z rozkazami do pododdziałów brygady, przeniósł je pod silnym ogniem rosyjskim do miejsca postoju płk. Grzesickiego.

Pamiętnik Władysława Steinhausa ukazał się w 1916 r. nakładem Naczelnego Komitetu Narodowego FOT. SBC.ORG.PL

Po oddaniu meldunków „spiął konia, chcąc udać się do komendy pułku. Ale już po kilku krokach runął ugodzony szrapnelem. Odstawiono go do szpitala wojskowego w Kowlu, gdzie skonstatowano zranienie kości pacierzowej i drugi strzał w płucach". 29 października do Kowla przybyli rodzice Władysława. Ten nie odzyskał już przytomności i dwa dni później zmarł. Jego zwłoki przewieziono do Krakowa i pochowano 5 listopada 1915 r. na cmentarzu żydowskim przy ul. Miodowej. Nie spełniły się żartobliwe słowa, zapisane w czasie jednego z wołyńskich marszów: „Ja bądź co bądź mam po wojnie zapewniony chleb: pójdę na przewodnika po bagnach i lasach wołyńskich".

Tego samego dnia, kiedy Władysław otrzymał śmiertelną ranę, poległ też wspomniany Kazimierz Michał Krzyczkowski. Śmierć podchorążego miała, jak się wydaje, wpływ na dalszą służbę w Legionach jego brata Hugona. Wkrótce otrzymał on urlop, po czym na początku 1916 r. został zwolniony z Legionów. Rok później habilitował się na Uniwersytecie Lwowskim, a w 1921 r. objął kierownictwo katedry matematyki na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, by stać się jednym z najwybitniejszych polskich matematyków.

Władysław Steinhaus został pośmiertnie odznaczony Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Niepodległości, który na początku lat 30. przesłano jego matce, Malwinie, po śmierci męża nadal mieszkającej w Jaśle. Dzielny podchorąży został także w 1934 r. patronem ulicy we Lwowie, mimo sprzeciwu radnych z obozu narodowodemokratycznego, argumentujących, że jego nazwisko „mało albo niewyraźnie mówi za siebie".

W okresie międzywojennym Steinhaus stał się symboliczną postacią wśród Żydów – uczestników walk o niepodległość Polski, którzy utracili w nich życie. O jego bohaterskiej postawie pisano nie tylko w publikacjach poświęconych tej tematyce; wspominał go w tym kontekście m.in. znany przedwojenny krytyk literacki i publicysta, bliski ruchowi narodowemu – Karol Ludwik Koniński.

Pamiątką po dzielnym podchorążym pozostał prowadzony przezeń, cytowany już dziennik, co warto wspomnieć – ilustrowany zdjęciami z życia codziennego Legionów, które wykonywał. W 1916 r., a więc rok po jego śmierci, dziennik opublikowano jako „Pamiętnik legionisty". Pisał o nim Bolesław Pochmarski, poeta i publicysta, oficer Legionów i popularyzator ich czynu: „Jest nam dzisiaj kluczem do wnętrza jednego z tych serc bohaterskich, w służbie Ojczyźnie pękniętych, których wartości bezcenne były i pozostaną po wszystkie czasy źródłem życia nowego."

Zaczęła się z patosem ta opowieść o poległym w walce o niepodległość młodym legioniście, z emfazą ją też zakończmy – odwołaniem do przedmowy wydawców jego „Pamiętnika legionisty": „.Może kiedyś, po latach wielu, z pożółkłych już kart skromnego pamiętnika przemówi do nowego pokolenia głos pozagrobowy, głos Żyda-patrioty, który życie złożył Ojczyźnie w ofierze, a jeśli chociażby w jednym młodzieńczym sercu zatli na nowo iskrę zapału, zadanie jego będzie spełnione, a nasz cel osiągnięty".

Legioniści ostrzeliwują rosyjski samolot, Maniewicze, Wołyń, listopad 1915 r. FOT.BIBLIOTEKA NARODOWA

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, pracownikiem Biura Edukacji Narodowej IPN.

eprasa.pl c8c1f3511d

Bojownicy z Parti National Breton i jej milicji – Bagadou Stourm, z Saint-Nazaire, 1943 r. FOT. COMMONS WIKIMEDIA

Druga wojna / Bretońska kolaboracja z Niemcami

W imię Celtów

Arkadiusz Karbowiak

Zagorzali separatyści bretońscy założyli mundury Waffen-SS i wzięli do ręki broń przeciw państwu francuskiemu

Klęska Francji poniesiona w wyniku inwazji III Rzeszy spowodowała, że w kraju uaktywniły się przeróżne środowiska separatystyczne dążące do zbudowania własnych struktur państwowych niezależnych od Państwa Francuskiego. Jednym z takich ugrupowań byli nacjonaliści z Bretońskiej Partii Narodowej – SBB (Strollad Broadel Breizh), którzy zainaugurowali działalność na I Kongresie 27 grudnia 1931 r. (formalnie partia powstała w 1920 r.). Do grona jej założycieli i przywódców należeli Olivier Mordrel i François Debeauvais. Obaj przywódcy niedługo przed wypowiedzeniem 3 września 1939 r. przez Republikę Francuską wojny III Rzeszy udali się na emigrację. SBB, traktowana jako partia proniemiecka, została przez rząd francuski w listopadzie 1939 r. rozwiązana. W tym samym miesiącu jej liderzy wydali w Amsterdamie manifest, w którym krytycznie ocenili przystąpienie Paryża do wojny z Niemcami.

Nieco później opublikowali „List wojenny" o zdecydowanie antyfrancuskim wydźwięku. Oto jeden z jego fragmentów: „… nasi wrogowie od zawsze i dzisiaj są Francuzami, są tymi, którzy nie zaprzestają krzywdzić Bretanii". Bretońscy nacjonaliści postrzegali III Rzeszę jako ewentualnego sojusznika w konfrontacji z trójkolorową republiką. Członek SBB Alan Heussaff podczas powojennego pobytu na emigracji w Irlandii tak pisał na temat dokonanych przez siebie i towarzyszy wyborów politycznych:

„Szukać pomocy zagranicznej siły na wojnie przeciw innej sile… nie oznacza zgody z każdym aktem dokonywanym przez ten reżym. Dla mnie wymuszającą motywacją do współpracy z zagraniczną siłą (Niemcami) w Bretanii było zatrzymanie rozkładu języka bretońskiego, który ryzykował, że stanie się tak słaby, że jedynie elita bretońska będzie mogła zapewnić jego przetrwanie; temu problemowi poświęciliśmy wszystkie nasze siły… Od 1938 r. nosiłem się z przeświadczeniem, że Bretończycy nie mogą odzyskać swej wolności dre gear (z łaski); Państwo Francuskie sprzeciwiłoby się temu ze wszystkich sił. Zgadzałem się, abyśmy szukali poparcia za granicą, gdzie by ona nie była, zanim nie będziemy wystarczająco silni, żeby osiągnąć nasze cele sami. Dlaczego nie mielibyśmy uczynić tego, co robią wszystkie wolne kraje, których wolność jest zagrożona: szukać aliansów? Czyniąc to, świadczymy, że my sami już jesteśmy wolni".

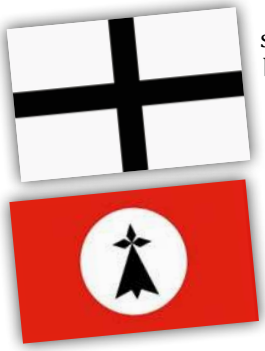

Flagi separatystów bretońskich FOT. WIKIPEDIA

Liderzy SBB podjęli również próbę utworzenia przy niemieckiej pomocy rządu bretońskiego na uchodźctwie. Francuski trybunał wojskowy w Rennes skazał obydwu bretońskich przywódców 7 maja 1940 r. zaocznie na karę śmierci i utratę praw obywatelskich. Jednak tuż

eprasa.pl c8c1f3511d

po klęsce Francji powrócili oni do Bretanii, tworząc Bretoński Komitet Narodowy jako zalążek przyszłego rządu. Jednak początkowa pomoc narodowosocjalistycznych Niemiec udzielana bretońskim nacjonalistom została przerwana tuż po powstaniu Państwa Francuskiego.

Od spotkania z Hitlerem w Montoire to marszałek Philippe Petain stał się dla Berlina głównym partnerem politycznym i III Rzesza dość szybko wycofała się z koncepcji wspierania niepodległościowych dążeń separatystów. Niemcy dostrzegali, że część społeczeństwa niekoniecznie identyfikowała się z nacjonalistami, co uwidoczniło się choćby w zaciągu do Francuskiego Ochotniczego Legionu Antybolszewickiego, w którego szeregach 110 Bretończyków ramię w ramię z Francuzami uczestniczyło w walce z bolszewikami na froncie wschodnim.

Na skutek presji niemieckiej ster władzy w SBB uchwycił Raymond Delaporte, uchodzący za zwolennika kompromisu z Państwem Francuskim.. Delaporte święcie wierzył w zwycięstwo III Rzeszy, co potwierdza jego tekst opublikowany na łamach „L'Heure Bretonne" 18 października 1941 r., gdzie pisał m.in.: „Europa zmierza ku przebudowie: krach armii sowieckiej przygotowuje klęskę Anglosasom. Wojna trwa na wschodzie. Trwa ona dla totalnego zwycięstwa armii niemieckiej. W to zwycięstwo nie wątpiliśmy nawet przez chwilę. To absolutne przekonanie potwierdzają nasze pisma i nasze czyny. To nie wskazówki z zakresu ładu technicznego są tymi, które przekonanie to ustaliły. Opiera się ono wyłącznie na porządku ładu moralnego. Pewności, że siły materialne nie mogą zatriumfować nad duchem. […] Ostatnia faza wojny zaczyna się ze zgnieceniem Rosji sowieckiej. To oznacza dla Celtów, obok innych ludów nordyckich, początek nowej ery ich historii. Ery budowy społeczeństwa celtyckiego".

Podporządkowanie się niemieckim oczekiwaniom w sprawie relacji z Vichy poskutkowało uruchomieniem dziennika pod nazwą „Godzina Bretońska" („L'Heure Bretonne"), tygodnika „Arvor" oraz dwumiesięcznika „Stur". W Rennes powstał cieszący się sporą autonomią Instytut Celtycki. Placówka rozpoczęła działalność 20 października 1941 r. z poparciem SS-Obergruppenführera Wernera Besta. Jej dyrektorem został Louis-Paul Némo (występujący pod nazwiskiem Roparz Hemon). Na pierwszym zjedźcie w dniach 14–17 maja 1942 r., złożył on w języku francuskim deklarację trwania w przestrzeni wyznaczonej przez władze niemieckie: „Deklaruję trzymać się terenu stricte kulturalnego, który jest nasz, zwolenników lojalnej współpracy (collaboration loyale) z ludźmi, którzy tworzą na naszych oczach Nową Europę (l'Europe nouvelle)".

Raczej śmierć…

Polityki małych kroków nie aprobowała grupa nacjonalistycznych radykałów SBB, na czele z urodzonym w 1908 r. w Nantes Célestinem Lainé, byłym przywódcą założonej w 1929 r. organizacji terrorystycznej Kentoc'h Mervel (Raczej Śmierć). Okrył się on sławą, kiedy stojąc na czele Gwenn-ha-Du, kierował akcją wysadzenia monumentu upamiętniającego wieczystą unię Bretanii z Francją. Lainé zafascynowany był walką o niepodległość działaczy Irlandzkiej Armii Republikańskiej, a szczególne powstaniem wielkanocnym wywołanym 24 kwietnia 1916 r. Jeden z bretońskich pisarzy nacjonalistycznych konstatował:

„Bohaterowie Powstania Wielkanocnego, z Pearsem na czele, stali się także naszymi bohaterami, wespół z bretońskimi męczennikami z przeszłości, nawet bardziej namacalnymi, jako że los dał nam szansę bycia świadkami ich poświęcenia. Powstanie Wielkanocne było dla nas wyraźnym wezwaniem do odrodzenia. Zmarli śmiercią męczenników bojownicy irlandzcy zastąpili w naszych umysłach od dawna nieżyjące postacie bretońskiej historii…".

Doświadczenia irlandzkie skłaniały Lainégo do uznania czynnika militarnego jako decydującego w batalii o niepodległą Bretanię. W 1936 r. Lainé powołał do życia liczącą 12 osób paramilitarną organizację Kadervenn (Służba Specjalna). Podczas okupacji niemieckiej Kadervenn przemianowano na Armię Bretońską (Lu Brezhon) wyposażoną w niemiecką broń. Kwaterą główną został zamek Rohan w Pontivi. Bliski współpracownik Lainégo Louis Feutren tak pisał o Lu Brezhon i niemieckich formacjach militarnych: „Próbował spowodować skierowanie nas do służby, choćby nawet jako oddziału ochrony kolei… wszystko, byle tylko występować oficjalnie w mundurze".

Daleko posunięta kolaboracja Lainégo z Niemcami oraz fakt występowania w niemieckim umundurowaniu członków Armii Bretońskiej doprowadziły do usunięcia go z szeregów SBB. Dowodzona przez niego Armia Bretońska została przeformowana w Bezen Cadoudal (Milicja Cadoudala), na cześć zgilotynowanego w 1804 r. przywódcy szuanów, czyli chłopskich rojalistycznych rebeliantów Georges'a Cadoudala. Jeszcze przed tym wydarzeniem rozbrojono żołnierzy bretońskiej armii po przeprowadzonym przez nich ataku bombowym na posterunek żandarmerii Państwa Francuskiego w Carhaix. Niemcy wymusili na Bretończykach zdanie broni w vichistowskiej prefekturze w Rennes.

Szybko jednak się okazało, że stan bezpieczeństwa publicznego w okupowanej strefie zaczął się gwałtownie pogarszać. Zabójcy wywodzący się z szeregów komunistycznych organizacji podziemnych rozpoczęli serię akcji likwidacyjnych wymierzonych w czołowych działaczy bretońskiego ruchu narodowego. We wrześniu ofiarą zamachu padli szef sekcji SBB w Quimper Jean Bricler oraz członek Service Special Yves Kerhoas.

Najboleśniej dotknął nacjonalistów zamach dokonany na o. Jeana Marie Perrota, będącego liderem bretońskiej organizacji Bleun-Brug, a w okresie okupacji niemieckiej członkiem powstałego 11 października 1942 r. z inicjatywy prefekta regionu Bretanii Jeana Quenette'a provichistowskiego Komitetu Konsultacyjnego Bretanii (Comité consultatif de Bretagne). Perrot był ojcem duchowym bretońskiego nacjonalizmu, ale jego poglądy były bardzo odległe od tych głoszonych przez pogańskich nacjonalistycznych radykałów Lainégo. Władze kościelne niezbyt przychylnym okiem patrzyły na zaangażowanie opata w bretoński ruch narodowy, przenosząc go z Saint-Vougay do Scirignac. Natomiast podejrzliwość władz francuskich wywołał udział o. Perrota w ukryciu broni, przekazanej w 1939 r. przez niemiecką Abwehrę bretońskim nacjonalistom.

12 grudnia 1943 r. o. Perrot zamordowany został przez komunistycznego

eprasa.pl c8c1f3511d

zamachowca z Organizacji Specjalnej Partii Komunistycznej (Organisation Spéciale du Parti communiste français) Jeana Thepauta. Zabójca, którego nigdy nie postawiono przed sądem, po wojnie został kapitanem we francuskiej armii kolonialnej.

Ku Waffen–SS

Kilka dni później, 15 grudnia 1943 r., na wniosek Ange'a Péresse'a Bezen Kadoudal przemianowano na Bezen Perrot (Milicja Perrota). Symbolem tej formacji został czarny krzyż na białym polu (Kroaz-Du). Milicję liczącą 66 członków nadzorował ze strony niemieckiej szef KdS (Komendantur Sipo und SD) w Rennes SS-Obersturmbannführer Hartmut Pulmer, natomiast bezpośrednio kierował nią jeden z jego podwładnych SS-Hauptscharführer Hans Grimm. Perrotowcy przez pierwsze trzy miesiące służby nosili ubrania cywilne, dopiero w marcu 1944 r. ich umundurowano.

Stopnie wojskowe otrzymali 16 grudnia 1944 r., kiedy to formalnie przyjęto ich w poczet Waffen-SS. Przywódca Bezen Perrot – Lainé – otrzymał najwyższy wśród perrotowców stopień SS-Unterstrumführera, czyli podporucznika. Nieformalnie BZ nazywano Bretonische Waffenverbande der SS. Umierający na gruźlicę jeden z dwóch głównych przywódców SSB François Debeauvais wystosował do członków BZ krótki apel: „Towarzysze z formacji Perrota. Pozdrawiam Was. Pozdrawiam Was, pierwszą formację armii bretońskiej od rozbicia armii szuańskiej... Walczycie najpierw i przede wszystkim za naszą Ojczyznę, Bretanię, w pełnej i lojalnej kolaboracji z sojusznikiem niemieckim".

SBB pomimo proniemieckiej orientacji zdecydowanie dystansowało się od działań milicji. Przywódca oddziałów szturmowych SBB Bagadou Stourm (Sekcje Szturmowe) Jean Bernard Goulet otrzymał kategoryczny zakaz kontaktowania się Celestine'em Lainém i jego podkomendnymi. Podjęcie działalności zbrojnej przez milicję wiązało się z udziałem w akcjach inicjowanych wspólnie z Niemcami przeciw komunistycznemu podziemiu.

Olier Mordrel FOT. WIKIPEDIA

Wspomniany już Ange Pérrese wyróżnił się m.in. w tropieniu działających w strukturach maquis republikańskich Hiszpanów. Zaangażowanie w operacjach antypartyzanckich spowodowało, że milicjanci zaczęli ponosić straty. W maju 1944 r. z ręki wziętego do niewoli partyzanta, który ukrył pistolet w berecie, zginął pierwszy milicjant pochodzący z Maël-Carhaix Auguste Le Deuff. Schwytany przez partyzantów Jean Lauarna został zamordowany strzałem w głowę. Jego ciało wrzucono potem do glinianki. Mordy na bretońskich kolaborantach wywołały u nich chęć zemsty i odwetu.

Po inwazji aliantów

Najbardziej zdeterminowani postanowili wyrównać rachunki z maquis, zaciągając się do służby w Komando de Landerneau (w mieście Landerneau w 1931 r. odbył się I kongres SBB), a wspomniana formacja powstała 17 kwietnia 1944 r. i stanowiła oddział wydzielony z 343. Dywizji Piechoty Wehrmachtu występujący pod kryptonimem IC 343. Kierował nim podoficer pełniący funkcję tłumacza w miejscowej komendanturze Herbert Schaade. Oddział liczył 18 Niemców i 10 Bretończyków. W Komandzie Landerneau służyli m.in. członek BP André Geffroy, przyjaciel zamordowanego opata Niektórzy członkowie komanda byli wcześniej partyzantami, którzy przeszli na stronę Niemców. Członkom KL udało się ustalić osoby odpowiadające za śmierć opata Perrota, a część z nich aresztować.

Milicjanci uczestniczyli m.in. w egzekucji 57 maquis dokonanej w mieście Saint-Hilaire 14 lipca 1944 r. oraz egzekucji 49 podejrzanych o członkostwo w Résistance przeprowadzonej w mieście Créney 15 lipca 1944 r.

Po lądowaniu aliantów w Normandii większość bretońskich kolaborantów opuściła swój kraj wraz z wycofującymi się Niemcami, kończąc wojenną epopeję w Fürstenfeldbruck koło Monachium. Ale nie wszyscy. Jean Chanteau wspominał: „Niektórzy udali się do Nevena i powiedzieli mu wprost, że nie chcą jechać do Niemiec. Neven (bretońskie nazwisko Lainégo) zgodził się na ich pozostanie we Francji, ponieważ w tym momencie morale oddziału było złamane".

Pozostałych w Bretanii dotknęła epuration (czystka). Rozstrzelano Leona Jassona i Andre Geforrya. Część milicjantów – przeszkolonych szpiegów – pozostała na zapleczu frontu, jak Guy Vissault de Coetlogon. Zdemaskowany przez brytyjski kontrwywiad został aresztowany. Wyrok śmierci przyjął ze stoickim spokojem, mówiąc: „Przynajmniej Bóg daje mi sposobność śmierci w imię Ojczyzny". Za kolaborację z Niemcami masowe represje dotknęły 15–16 proc. populacji bretońskiej. Pisano: „W środku chaosu kończącego wojnę pięć więzień wojennych zostało ulokowanych w Bretanii i sześć tysięcy Bretończyków uwięziono w nich za kolaborację z Niemcami. Szkoła św. Karola w Quimper była używana jako jedno z tych miejsc [...]. Tortury i gwałty były pospolite w obozach".

Po klęsce III Rzeszy uratowani z pożogi wojennej milicjanci emigrowali do Irlandii. Alan Heussaff brał udział w pracach Ligi Celtyckiej, której w 1961 r. został przewodniczącym, a inni – jak Jean Gaulet – znaleźli się w szeregach Narodowego Komitetu Wolnej Bretanii. Alan Heussaff tak uzasadniał wtedy swoją działalność w milicji: „Zaangażowałem się więc w insurekcję zbrojną pod kierunkiem Lainégo, jednego z liderów nacjonalistycznych, którego działania były najbardziej zgodne z ideą narodową. Kiedy ukazał mi, że Kościół katolicki w Bretanii współpracuje z Państwem Francuskim, by kontynuować politykę prześladowania Bretończyków, i przeciwstawia się ruchowi narodowemu, odrzuciłem jego autorytet i w końcu jego dogmaty, by szukać bazy ideologicznej zgodnej z mą wolą bretońską, w szczególności w licznych dziełach kultury celtyckiej Irlandii".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Wywiad / Z prof. Jakubem Politem, historykiem z UJ, znawcą historii Dalekiego Wschodu

Pancernik USS „Arizona" po japońskim ataku na Pearl Harbor

FOT. WIKIPEDIA/NATIONAL ARCHIVES

rozmawia Piotr Włoczyk

Śmiertelny błąd Japończyków

Dziś wiemy, że jednoczesny z niemieckim atak japoński zdruzgotałby ZSRS całkowicie. Decyzja Tokio zmieniła więc oblicze świata

PIOTR WŁOCZYK: Jedną z najczęściej powtarzanych teorii spiskowych na temat drugiej wojny światowej jest twierdzenie, jakoby Roosevelt doskonale wiedział o zbliżającym się ataku na Pearl Harbor, ale nic z tym nie zrobił, by wstrząsnąć w ten sposób amerykańskim społeczeństwem i zmobilizować je do wojny. Czy flota Pacyfiku została specjalnie wystawiona na cios?

PROF. JAKUB POLIT: Teoria ta jest nie tyko nieudowodniona, lecz także skrajnie nieprawdopodobna. Nawet jeżeli prezydent USA widziałby wielką korzyść w tym, że to przeciwnik rozpocznie wojnę, to dlaczego miałoby mu zależeć na tym, żeby Amerykanie ponieśli w Pearl Harbor klęskę? Wystarczyłoby przecież ostrzec 24 godziny wcześniej załogę bazy. Trudno obronić tezę, że jeżeli Pearl Harbor odparłoby atak i Japończycy zostaliby pobici, to Kongres USA uznałby, że kraj nie został zaatakowany i w związku z tym nie przystąpi do wojny.

Ziarnem prawdy jest natomiast to, że prezydent faktycznie dążył do wciągnięcia USA do wojny.

Choć jeszcze w 1940 r. przekonywał, że absolutnie nie zamierza wysyłać amerykańskich chłopców na wojnę...

Musiał tak mówić, ponieważ jesienią tamtego roku startował w wyborach. Gdyby mówił inaczej, popełniłby polityczne samobójstwo. Zadanie ułatwili mu zresztą Japończycy wespół z Niemcami i Włochami, we wrześniu 1940 r. podpisując pakt trzech. Miał on zabezpieczać sygnatariuszy przed atakiem mocarstwa nieuczestniczącego w wojnie w Europie lub w konflikcie chińsko-japońskim. Takiej definicji odpowiadały tylko USA. Związek Sowiecki odpadał, ponieważ w pakcie trzech znajdował się osobny artykuł, który stwierdzał, że stosunki ze Związkiem Sowieckim pozostają niezmienione. To walnie pomogło Rooseveltowi. Okazało się, że twierdzenia o spisku dyktatorów wcale nie były wymysłem prezydenta.

Od listopada 1940 r. Roosevelt wybrany na bezprecedensową trzecią kadencję mógł więc spokojnie przygotowywać kraj do wojny. I rzeczywiście Roosevelt zrobił tu wiele, ale jeżeli chodzi o kieru-

eprasa.pl c8c1f3511d

nek atlantycki, czyli Niemcy. Prezydent uważał bowiem Japonię za przeciwnika drugorzędnego. Od września 1939 r. Roosevelt w 105 przemówieniach mówił o agresywnych posunięciach Niemiec, a o Japonii wspomniał w tym okresie zaledwie pięć razy. Starcia na Atlantyku między flotą amerykańską a niemiecką zaczęły się na dobre już w październiku 1940 r. I bez Pearl Harbor wybuchłaby wojna amerykańsko-niemiecka, ale jednak Japonia uprzedziła Niemców. Dopiero tydzień przed Pearl Harbor prezydent zaczął się na poważnie liczyć z możliwością ataku Japonii.

Jednak mało kto w Ameryce brał na poważnie uderzenie w bazę na Hawajach. Bardziej spodziewano się ataku na zachodnim Pacyfiku...

Obawy dotyczyły przede wszystkim Filipin. Była to w końcu amerykańska posiadłość. I faktycznie istniały w Tokio takie pomysły. Japończycy planowali początkowo rozbicie spodziewanej amerykańskiej odsieczy dla Filipin w walnej bitwie morskiej, ale ostatecznie wybrali uderzenie na Hawaje.

Co ciekawe, to Amerykanie zaczęli jako pierwsi działania wojenne, zatapiając 7 grudnia wczesnym rankiem japońską jednostkę.

Wojna rzeczywiście zaczęła się od zwycięstwa Amerykanów, ponieważ niszczyciel USS „Ward" zatopił w pobliżu wejścia do portu w Pearl Harbor miniaturowy japoński okręt podwodny. Nikt z amerykańskiego dowództwa nie powiązał tego jednak z większym uderzeniem na bazę. Gdyby atak nastąpił w erze nuklearnej, byłby to zapewne ostatni dzień istnienia Stanów Zjednoczonych Ameryki. Przy podobnej beztrosce i braku reakcji na wystrzelone pociski z głowicami nuklearnymi, Amerykanie przegraliby na samym starcie. Bez wątpienia 7 grudnia 1941 r. był największą kompromitacją w dziejach floty i lotnictwa USA.

Mózgiem ataku był adm. Yamamoto, który sam oceniał, że szanse na powodzenie wynosiły 50:50. Czy Yamamoto był aż takim hazardzistą?

Prawdopodobnie przesadzał, ale widzimy u niego cechy, które odróżniają wielkiego stratega od szaleńca. My również mieliśmy wielkiego stratega, który nazywał się Józef Piłsudski. Mawiał on o sobie, że jest wściekłym ryzykantem, ale w rzeczywistości owo ryzyko dobrze kalkulował. Podobnie było z Yamamoto. Element ryzyka polegał na tym, że admirał spodziewał się, iż jeżeli wszystko dobrze pójdzie, to najpewniej straci jedną trzecią lotniskowców, czyli dwa okręty i ponad sto samolotów. Jak wiadomo, nie stracił żadnej jednostki, ponieważ miniaturowe okręty operujące u wybrzeży Hawajów nie należały do jego armady i zostały wyrzucone przy archipelagu z okrętów podwodnych w innych okolicznościach. Yamamoto stracił zaledwie 29 samolotów. Straty były więc oszałamiająco niskie.

Jakim cudem 30 okrętów przeszło przez Pacyfik bez wykrycia?

To śmiałe przedsięwzięcie miało spore szanse na powodzenie, ponieważ armada Yamamoto, nazywana w języku japońskim Kidō-butai, nie tylko sama nie nadawała, lecz także nie odbierała żadnych sygnałów. Okręty poruszały się

Admirał Isoroku Yamamoto
FOT. COMMONS WIKIMEDIA

w absolutnej ciszy radiowej. Amerykanie nie mieli pojęcia, gdzie są te siły. Faktem jest, że kilka dni przed atakiem zaczęli się niepokoić, nie mogąc ich znaleźć. Armada bazowała na Wyspach Kurylskich i sądzono, że spróbuje przemknąć w kierunku Filipin. Okazało się, że dowództwu amerykańskiemu zabrakło wyobraźni.

Jak w Tokio oceniano skutki ataku Kidō-butai?

Stalin nazywał takie sytuacje „zawrotem głowy od sukcesów". Posiadające decydującą pozycję naczelne dowództwo wojsk lądowych oraz sam premier Hideki Tōjō, nieznający szczegółów planu Yamamoto, bo się nim nie interesowali, stwierdzili, że efekty przeszły wszelkie oczekiwania. Przechodnie w Tokio ściskali się w zupełnie niejapoński sposób, całowali się i podskakiwali do góry. Tak jakby cała wojna została już wygrana. Yamamoto miał tu jednak pewne zastrzeżenie: nie został ugodzony żaden z amerykańskich lotniskowców. Japończycy mieli po prostu pecha, bo Amerykanie niedługo przed atakiem wysłali je w morze.

Mimo wszystko uznano jednak, że Amerykanie nie będą zdolni przez dłuższy czas do użycia trzonu swojej floty Pacyfiku. Okazało się, że ten „dłuższy czas" oznaczał pięć miesięcy. Flota japońska mogła w tym okresie robić na zachodnim Pacyfiku, co jej się podobało. Na krótką metę Japonia była w tej wojnie górą.

W dłuższej perspektywie nie było widoków na wygraną z USA?

Decydujący był potencjał gospodarczy. Weźmy choćby produkcję samochodów i motocykli, która wiele mówi o stanie gospodarki. Japońskie moce produkcyjne były w tej kategorii 82 razy mniejsze od amerykańskich. Japończycy mogli, w pewnych okolicznościach, pokonać Chiny, mogli też wygrać na Dalekim Wschodzie z imperium brytyjskim, a nawet – w przypadku skoordynowanych działań z Niemcami – odnieść sukces z ZSRS. Natomiast śmiało można powiedzieć, że USA były jedynym państwem na świecie, którego Japonia nie mogła zwyciężyć. Wojna była więc dla Japonii przegrana już przed jej rozpoczęciem i Yamamoto przestrzegał zresztą przed tym swój rząd.

USA były stalowym gigantem, który w tamtym okresie miał jeszcze gliniane ręce, natomiast japoński kolos, znacznie niższy od amerykańskiego, miał stalowe ręce, ale nogi gliniane. Na krótką metę był w stanie zadać wiele ciężkich ciosów, jednak w dłuższej perspektywie nie miał szans ze stalowym gigantem.

Japoński admirał pokazywał decydentom statystyki, które udowadniały, jak miażdżąca była przewaga USA, ale jednak, gdy rząd podjął taką decyzję, Yamamoto przystąpił do planowania ataku, który uważał za ogromny błąd...

eprasa.pl c8c1f3511d

Yamamoto stwierdził wprost, że atak na USA jest szaleństwem, i dzielił się tą opinią z najważniejszymi ludźmi w kraju. Starał się on wraz z adm. Mitsumasą Yonai przekonać ministra marynarki w rządzie Tōjō adm. Shigetarō Shimadę, żeby podał się do dymisji. Konstytucja Japonii przewidywała bowiem, że rezygnacja dowolnego ministra powodowała automatyczny upadek całego gabinetu. Gdyby szef resortu marynarki zrezygnował, Japonia znalazłaby się na początku grudnia 1941 r. bez rządu i prawdopodobnie uderzenie na Pearl Harbor musiałoby zostać co najmniej odłożone w czasie. Shimada, odważny na polu bitwy, okazał się tu jednak tchórzem. Stwierdził bowiem, że w zasadzie wszyscy w Japonii pragną wojny, i wyraził obawę, że ludzie rozszarpią go na strzępy. „No właśnie, jest pan żołnierzem, zginie pan za swój kraj i po wojnie wystawią panu pomnik" – miał do niego powiedzieć Yamamoto. Jednak Shimada odmówił, co miało fatalne konsekwencje dla Japonii.

Kiedy Japonia postanowiła uderzyć na Amerykę?

Japońscy wojskowi w 1907 r. po raz pierwszy zaczęli planować wojnę z USA. Był to jednak wówczas jedynie wróg „budżetowy". Dowództwu marynarki chodziło po prostu o usprawiedliwienie przed rządzącymi rosnących nakładów na flotę. Od lat 20. Tokio zaczęło już widzieć w Ameryce rzeczywistego, pierwszoplanowego i niemal pewnego rywala. Dopiero jednak od roku 1940 możliwość takiej wojny zaczęła być uważana za wysoce prawdopodobną, natomiast sama wojna stała się nieuchronna po wprowadzeniu przez USA sankcji naftowych na Japonię po inwazji na południowe Indochiny w lipcu 1941 r. Jednocześnie Amerykanie zamrozili japońskie aktywa w USA, a Wielka Brytania i Holandia, władająca roponośnym Archipelagiem Sundajskim (z grubsza pokrywającym się z terytorium dzisiejszej Indonezji), przyłączyły się do sankcji. Oznaczałoby to w praktyce zatrzymanie w perspektywie kilku miesięcy japońskiej machiny wojennej, ponieważ rząd w Tokio nie dysponował własnymi złożami ropy.

Amerykanie nie rozumieli, do czego może doprowadzić taka polityka?

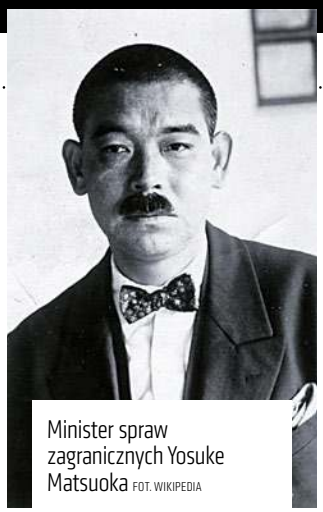

Minister spraw zagranicznych Yosuke Matsuoka FOT. WIKIPEDIA

Musimy tu wyjaśnić, co chcieli osiągnąć Amerykanie, wprowadzając sankcje. Otóż Waszyngton był przekonany, że Japonia, kraj wielkości Kalifornii, nie będzie nawet myślała o zaatakowaniu USA i po takim wyszczerzeniu zębów dojdzie do negocjacji i zawarcia układu. Nałożenie sankcji było spowodowane m.in. przekonaniem Roosevelta, swoją drogą słusznym, że Japończycy rozważają przyłączenie się do inwazji niemieckiej na Związek Sowiecki. Roosevelt zamierzał tymi sankcjami zniechęcić Japonię do ataku na Syberię. Nie miał pojęcia, że 2 lipca 1941 r. w Tokio podjęto już decyzję, że ZSRS nie zostanie zaatakowany, a impet japoński ma się zwrócić na południe, czyli przeciw Chinom. Indochiny i Birma były potrzebne do zdławienia Chińczyków. To tamtędy przechodziła właściwie całość zagranicznych dostaw dla walczącego reżimu Czang Kaj-szeka. Chcąc ratować Stalina, Roosevelt niechcący skierował uderzenie Japończyków na samego siebie.

Dlaczego 2 lipca 1941 r. Japończycy podjęli decyzję, że nie uderzą na ZSRS?

Zadecydowano tak po długiej dyskusji, do dymisji podał się szef dyplomacji Matsuoka, który był zwolennikiem takiego uderzenia. Sporą rolę odegrała urażona miłość własna. Japonia w kwietniu 1941 r. podpisała z ZSRS pakt o neutralności, który wszedł w życie 15 czerwca, tydzień przed wojennym wystąpieniem Rzeszy. Ponieważ Berlin nie uprzedził Tokio o swych planach, uznano, że Hitler znów Japonię oszukał – tak jak wcześniej w sierpniu 1939 r., gdy bez wiedzy wyspiarzy zawarł pakt ze Stalinem. Istniała jednak poważniejsza przyczyna. Japonia prowadziła przewlekłą wojnę z Chinami, bez szans na szybkie rozstrzygnięcie. Uznano, że wojna z Anglosasami za jednym zamachem zdławi Czang Kaj-szeka, bo zajęte zostaną obszary, przez które przechodziła ich pomoc dla Chin. Natomiast atak na Stalina, który dawno zaniechał pomocy dla Czanga, nie zaszkodziłby bardzo Chińczykom. I jeszcze jedno. Holenderskie i brytyjskie kolonie – nie Syberia – zawierały tak potrzebną Japonii ropę.

Dziś wiemy, że jednoczesny z niemieckim atak japoński zdruzgotałby ZSRS całkowicie. Owszem, w czasie takiego ataku Japonia w pewnej chwili i tak znalazłaby się w stanie wojny z USA. Jednakże walcząc z Amerykanami, nie miałaby za plecami sowieckiego kolosa, a tylko dymiące po nim zgliszcza. Decyzja Tokio zmieniła więc oblicze świata.

Przekonanie, że Japonia nie odważy się zaatakować USA, dominowało wśród amerykańskich decydentów?

Tak. Decydującą rolę odegrał Stanley Hornbeck, szef dalekowschodniej sekcji Departamentu Stanu. Był on przekonany, że Japonia nie będzie chciała wojować z USA z tej prostej przyczyny, że już walczy. Uważał on, że skoro Japończycy większość zasobów wydają na wojnę z Chińczykami, to nie mogą sobie pozwolić na nowy konflikt. Inna rzecz, że Japończycy byli uważani za niezbyt groźnych przeciwników. Według stereotypów pokutujących wśród Amerykanów japońskie samoloty rozlatywały się w powietrzu, a ich piloci byli zezowaci. Przebudzenie okazało się być straszne.

Czyli nota Hulla z 26 listopada, w której Amerykanie żądali m.in. wycofania sił japońskich z Chin i Indochin, nie była krokiem, który pchnął ostatecznie Japonię do wojny? Przypomnijmy, że w dniu wręczenia tej noty Japończykom ich okręty wypłynęły w kierunku Pearl Harbor.

Była to kropla, która przelała japońską czarę goryczy. Hull był w porównaniu z Rooseveltem bardzo prochiński. Amerykański prezydent miał tymczasem wobec tego kraju plany, które można byłoby nazwać monachijskimi, tzn. był gotów poświęcić słabszego, by stworzyć modus vivendi z Japończykami.

Czang Kaj-szek i Churchill postanowili temu przeciwdziałać. W listopadzie 1941 r. dali oni do zrozumienia Białemu Domowi, że jeżeli warunki amerykańskie nie będą zawierały żądania wycofania

eprasa.pl c8c1f3511d

wojsk japońskich z Chin, to wówczas rząd Czang Kaj-szeka będzie rozważał kapitulację przed Japończykami. A to oznaczałoby wyrugowanie Anglosasów z Azji Wschodniej. Byłoby to nie do zaakceptowania dla USA. Dlatego w nocie Hulla pojawiło się takie żądanie.

Przy czym Roosevelt mógł mieć wrażenie, że przypieranie Japonii do muru przynosi pewne sukcesy. Poprzednik gen. Tōjō na stanowisku premiera, książę Fumimaro Konoe, prosił bowiem o spotkanie z prezydentem USA. Obaj przywódcy mieli się spotkać na Alasce i to spotkanie było już właściwie

Ambasada Japonii w Berlinie po zawarciu Paktu Trzech, 1940 r.

FOT. WIKIPEDIA

przesądzone. Można to porównać do spotkania Hitlera z Chamberlainem. Jak się wydaje, premier Japonii miał zamiar prosić Roosevelta o wywarcie presji na Czang Kaj-szeka, by ten przestał się opierać Japonii. Konoe popełnił jednak błąd. Zaczął bowiem sygnalizować prezydentowi USA, w swoim przekonaniu bardzo przebiegle, że jeżeli nie dojdzie do szczytu, to obalą go wojskowi. Amerykanie odebrali to w jedyny możliwy sposób: nie należy rozmawiać z tym politykiem, bo nie jest on w stanie wdrożyć w życie ustaleń, a prawdziwa władza w Japonii leży gdzie indziej.

JAKUB POLIT
„JAPOŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA 1895–1945"
ARCANA

Tōjō był siłą sprawczą, która pchała Japonię do wojny?

Tōjō był jastrzębiem, ale nie przeceniajmy jego znaczenia. To nie była charyzmatyczna postać w stylu Hitlera czy Stalina, która popychała kraj w określonym kierunku. Był to przeciętniak, człowiek, który nie stworzył systemu, lecz sam był jego produktem. Do wojny przede wszystkim parł sztab generalny armii lądowej. Nawiasem mówiąc, Yamamoto uważał, że należy przyjąć notę Hulla, ponieważ jest to jedyne rozsądne wyjście, które może uchronić Japonię przed nadciągającą katastrofą. Niestety dla Japończyków, większość decydentów w Tokio uważała inaczej.

Czy Japonia zamieniła się w czasie wojny w państwo totalitarne?

Kiedyś w swoich pracach przychylałem się do poglądu, że Japonia była w czasie wojny totalitarna, ale teraz już tak nie uważam. Na pewno kraj ten był na drodze do totalitaryzmu, ale nigdy się takim nie stał. Przede wszystkim dlatego, że istniała tam ważna instytucja, która do końca pozostała niezależna – monarchia. Hirohito pozostawał siłą autonomiczną i w rezultacie był w stanie zakończyć wojnę. Można się tu doszukiwać podobieństw do faszystowskiej Italii, gdzie król zachował autonomię i tak, jak powołał Mussoliniego na premiera w roku 1922, tak zdymisjonował go w roku 1943. Tym sposobem zakończył się włoski faszyzm. W reżimie japońskim nie doszło do tego, co stało się w III Rzeszy i ZSRS. Nie wymieniono całkowicie elit rządzących i nie powstała monopartia. A jest to warunek konieczny do uznania danego państwa za kraj totalitarny. W Japonii miały też miejsce poważne napięcia między armią lądową a marynarką wojenną i właśnie dlatego Hideki Tōjō, uważany przez aliantów za japońskiego Hitlera, nigdy nie mógł się stać dyktatorem z prawdziwego zdarzenia. Chociaż był jednocześnie premierem, ministrem wojny i ministrem spraw wewnętrznych, a w końcu mianował sam siebie szefem sztabu generalnego, to nigdy nie mógł być – ponieważ był żołnierzem, a nie marynarzem – ministrem marynarki wojennej. I dlatego o pełnych rozmiarach klęski pod Midway dowiedział się dopiero po miesiącu. W Japonii do końca władza była więc podzielona.

W Tokio w ostateczności można się było odwołać do decyzji cesarza, dzięki czemu rządzący nie tracili twarzy, i to Hirohito pozwolił na honorowe zakończenie udziału w wojnie. Honorowe w ich mniemaniu, ponieważ utrata twarzy jest na Dalekim Wschodzie utratą wszystkiego, ale utrata wszystkiego, nawet miast spopielonych atakiem atomowym, wcale nie musi się wiązać z utratą twarzy. Pamiętajmy, że do sierpnia 1945 r. społeczeństwo japońskie i tamtejsze elity nie czuły się pokonane i uważały, że Japonia powinna dalej walczyć. To zmienił dopiero szok, jakim były bombardowania nuklearne.

Czyli to właśnie bomby atomowe, a nie wypowiedzenie wojny przez Moskwę, ostatecznie sprawiły, że Tokio wywiesiło białą flagę?

Tak. Winston Churchill powiedział, że w ten sposób pojawiła się siła niemal nadludzka, która umożliwiała im wycofanie się z tego wszystkiego z twarzą. Bez bombardowań nuklearnych Japonia nie skapitulowałaby. Inwazji Amerykanów towarzyszyłyby masowe samobójstwa. Straty wyglądałyby jak 20:1. Przygotowywane na czas inwazji zapasy Purpurowych Serc, orderów nadawanych za odniesione rany, wykorzystywane były przez armię amerykańską do końca XX w.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Profesor Jakub Polit jest historykiem z Uniwersytetu Jagiellońskiego, znawcą historii Dalekiego Wschodu, w szczególności Japonii i Chin. Wśród najważniejszych książek prof. Polita wymienić można m.in. „Japońską politykę zagraniczną 1895–1945" oraz „Smutny kontynent. Epizody i sylwetki z dziejów Azji Wschodniej w XX wieku".

eprasa.pl c8c1f3511d

XIX w. / Rosyjskie okno na świat

Polscy budowniczowie Lipawy

Port w Lipawie, 1904 r.
FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

Sławomir Koper

Rosja potrzebowała niezamarzającego portu na Bałtyku. Wybór władz carskich padł w II połowie XIX w. na Lipawę, przy której budowie ogromną rolę odegrali Polacy

Budowa portu w Lipawie rozpoczęła się w 1860 r., a pierwszy odcinek trakcji kolejowej był gotowy 11 lat później. Połączył on miasto z Wilnem, natomiast dwa lata później oddano do użytku linię kolejową Lipawa – Ryga. Powstały nowoczesne stacje przeładunkowe o przepustowości do 500 wagonów na dobę, a w samym porcie mogło jednocześnie cumować do 140 statków. W 1863 r. miasto liczyło niespełna 10 tys. mieszkańców, a tuż przed wybuchem pierwszej wojny światowej liczba ludności zbliżała się do 100 tys. Rozwojowi towarzyszyły inwestycje komunalne i właśnie tutaj w 1899 r. oddano pierwszą w krajach bałtyckich trakcję tramwaju elektrycznego.

Lipawa to jednak nie tylko przemysł i handel. Woda morska o wysokiej zawartości soli wraz z przyjaznym klimatem spowodowała, że miasto zaczęli odwiedzać letnicy. Przygotowano dla nich kabiny kąpielowe i pensjonaty oraz wydzielono część piaszczystego wybrzeża z przeznaczeniem na plażę. W pobliżu powstał park, a w jego okolicy wprowadzono zakaz budowy obiektów przemysłowych oraz ograniczono wysokość nowo wznoszonych budynków.

Jedną czwartą letników stanowili nasi rodacy, a język polski rozlegał się dosłownie wszędzie.

Jan Heydatel

Imperium Rosyjskie było państwem wieloetnicznym i wpływ na jego rozwój mieli przedstawiciele różnych narodowości. Wśród nich byli także Polacy (10 proc. ludności miasta), a jeden z naszych rodaków zadecydował o losach Lipawy. Gdyby bowiem nie jego decyzje, to zapewne najważniejszy rosyjski port nad Bałtykiem zlokalizowano by w innym miejscu.

Jan Heydatel był synem francuskiego emigranta, lekarza z zawodu, który w czasie rewolucji francuskiej wyemigrował z rodzinnego kraju i osiadł nad Wisłą. Z małżeństwa z Marią Korbacką doczekał się syna, który wybrał matematykę jako teren swoich zainteresowań i na Uniwersytecie w Wilnie uzyskał dyplom. Należał do Zgromadzenia Filaretów i wraz z jego członkami trafił na zesłanie, jednak nie miał tyle szczęścia co Adam Mickiewicz i wylądował za kołem podbiegunowym. W Archangielsku przydzielono go do służby inżynieryjnej, co miało zadecydować o jego losach. Przełożeni szybko bowiem poznali się na jego talencie i skierowali go na studia do Instytutu Inżynierów Komunikacji w Petersburgu. Kilka lat później Heydatel zaprojektował przebudowę kanału Bug-Dniepr i kierował pracami przy tej inwestycji. Szybko też zdobył uznanie w środowisku rosyjskich specjalistów.

„Nie było wówczas robót hydraulicznych w całym państwie – komentował dziennikarz »Tygodnika Ilustrowanego« Józef Sporny – w których Heydatel nie przyjmował był udziału, jeżeli już nie czym innym, to chociażby radą. […] Roboty wykonane przez niego dziś jeszcze zaliczają się do wzorowych i zyskały sobie w owym czasie tak wysokie uznanie, że jego koledzy zwykli byli utrzymywać, że co Heydatel pobudował, to już pozostanie na wieki".

Następnie skierowano go na Inflanty, gdzie zajmował się modernizacją portu w Rydze. Potem zamówiono u niego ekspertyzę mającą określić, w jakim miejscu powinien powstać nowy niezamarzający port nad Bałtykiem.

W rzeczywistości wchodziły w rachubę tylko dwie lokalizacje: Lipawa

eprasa.pl c8c1f3511d

Nabrzeże portowe w Lipawie FOT. DOMENA PUBLICZNA

i położona o 100 km na północ Windawa. Ta druga miała zdecydowanie lepszą infrastrukturę i większe tradycje morskie, jednak Heydatel zdecydował się na Lipawę. W swoim raporcie wykazał, że w przypadku bardzo ostrej zimy port w Windawie całkowicie zamarznie, uniemożliwiając żeglugę, natomiast podobna sytuacja w Lipawie będzie rzadkością. Poza tym miasto to znajdowało się znacznie bliżej europejskich centrów handlowych, co skracało czas żeglugi. Dodatkowym atutem było również to, że Lipawa leżała w mniejszej odległości od linii kolejowej łączącej Królestwo Polskie i Litwę z Petersburgiem, której budowę rozpoczęto w 1851 r. Oznaczało to mniejsze koszty połączenia portu z rosyjską siecią kolejową i znaczne skrócenie inwestycji.

Władze uznały argumenty Heydatela i inżynier dostał polecenie opracowania planów rozbudowy portu. Po ich zaakceptowaniu stanął na czele komitetu powołanego do kierowania inwestycją i faktycznie odgrywał tam pierwszoplanową rolę. Jako pierwszy w Rosji użył dynamitu do prac podwodnych, a także skonstruował specjalną pogłębiarkę. O jego znaczeniu przy rozbudowie portu najlepiej świadczy to, że gdy podczas powstania styczniowego został odsunięty od inwestycji, to prace natychmiast spowolniały.

Heydatel mógł być bowiem rosyjskim urzędnikiem i oficerem, ale nigdy nie zapominał, że jest Polakiem. Stąd też sympatia do powstańców, co przypłacił zawieszeniem swojej kariery. Został pozbawiony stopnia generalskiego i skierowany do Petersburga, a następnie wysłany do prac inżynieryjnych na Kaukaz, co było rodzajem zesłania. Kiedy jednak okazało się, że inwestycja w Lipawie praktycznie stanęła w miejscu, przywrócono mu stopień oficerski i poprzednie stanowisko. W efekcie budowę portu ukończono jesienią 1868 r., trzy lata później niż planowano, ale zrealizowano wszystkie plany polskiego inżyniera. Heydatel opuścił Lipawę kilka miesięcy później i ze względu na stan zdrowia musiał zrezygnować z aktywności zawodowej.

Przeniósł się do Petersburga, a stamtąd do Warszawy. Zmarł dwa lata później, a w tym samym roku Lipawa została połączona z rosyjską siecią kolejową.

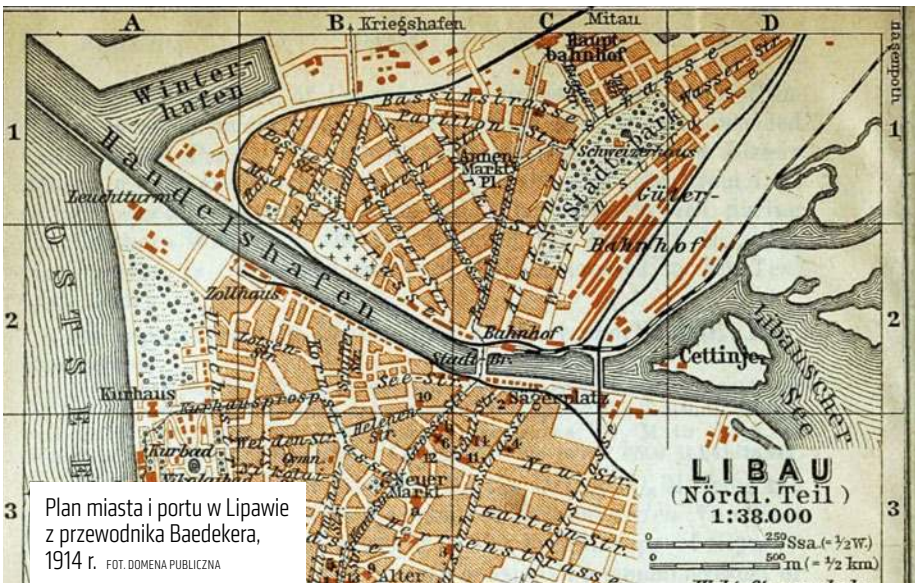

Plan miasta i portu w Lipawie z przewodnika Baedekera, 1914 r. FOT. DOMENA PUBLICZNA

Wprawdzie miejscowy port był w późniejszym okresie jeszcze wielokrotnie rozbudowywany, jednak działalność Polaka miała decydujące znaczenie dla jego losów. Heydatel nie tylko bowiem zadecydował o lokalizacji inwestycji, lecz także opracował i zrealizował projekt, dzięki któremu Lipawa mogła konkurować z portami pruskimi. Z tego powodu marzec 1857 r., kiedy to inżynier przedstawił władzom w Petersburgu wyniki swojej ekspertyzy, uznawany jest za „kamień milowy w dziejach Lipawy". A sam inżynier zasłużył na wdzięczną pamięć mieszkańców miasta.

Polski Szkot

Dogodne położenie portu w Lipawie zostało zauważone również przez dowództwo rosyjskich sił zbrojnych i zapadła decyzja, by obok portu handlowego wybudować bazę dla okrętów wojennych. Autorem projektu został kolejny polski potomek emigrantów z Zachodu, Jan Mac-Donald.

Był wnukiem Jana Mac-Donalda, który przeniósł się nad Wisłę na zaproszenie ordynata Stanisława Zamoyskiego. Doświadczony inżynier i konstruktor zajął się budową i prowadzeniem zakładu produkującego maszyny rolnicze w Zwierzyńcu i pozostał w naszym kraju na zawsze. Natomiast jego wnuk i imiennik ukończył studia matematyczne na Cesarskim Uniwersytecie Warszawskim, po czym kontynuował naukę w Mikołajewskiej Akademii Inżynieryjnej. Ukoronowaniem błyskotliwej kariery miała okazać się budowa portu wojennego i twierdzy w Lipawie, która rozpoczęła się w 1890 r. Jan Mac-Donald był też autorem projektu inwestycji.

Było to przedsięwzięcie o skali niespotykanej dotychczas nad Bałtykiem. Przy budowie pracowało jednocześnie aż 8 tys. robotników i jednocześnie wzniesiono fortyfikacje oraz miasteczko wojskowe mające być zapleczem dla bazy

eprasa.pl c8c1f3511d

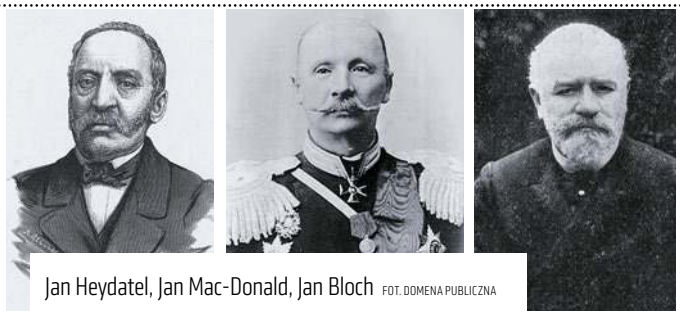

Jan Heydatel, Jan Mac-Donald, Jan Bloch FOT. DOMENA PUBLICZNA

i twierdzy. Sam Mac-Donald dostał wówczas awans na stopień generalski.

Z miastem był związany przez blisko 20 lat. Został nawet deputowanym do rady miejskiej i wiceprzewodniczącym zarządu miejscowego komitetu Czerwonego Krzyża oraz prezesem oddziału Cesarskiego Rosyjskiego Towarzystwa Technicznego.

Następnie skierowano go na Daleki Wschód, gdzie był konsultantem przy budowie portu wojennego w Port Artur. Jako doświadczony inżynier zauważył, że projekt posiada poważną wadę, gdyż zakładał budowę tylko jednego wyjścia z portu na morze. Zaproponował kolejne, dzięki czemu ograniczono by możliwość zablokowania kanału portowego w przypadku konfliktu zbrojnego. Niestety, władze odrzuciły tę sugestię, co miało przynieść fatalne skutki podczas wojny rosyjsko-japońskiej, która niebawem wybuchła.

Jan Mac-Donald, opuszczając Lipawę, pozostał właścicielem działki przy ulicy Nowostawowej (obecnie Aueksa), która sąsiadowała z terenem, gdzie niebawem miano wybudować żeńskie gimnazjum. Okazało się, że do inwestycji potrzebny był jednak zakup części parceli generała, gdyż projekt przewidywał budowę nieco większego budynku. Spadkobiercy generała (zmarł w Warszawie w 1906 r.) zaproponowali przekazanie gruntu bezpłatnie, ale pod warunkiem że władze Lipawy ufundują stypendium imienia Mac-Donalda przyznawane uczennicy polskiej narodowości i katolickiego wyznania. Rada miejska, pomimo początkowych oporów, zgodziła się na te warunki i w marcu 1909 r. wystawiono akt darowizny.

Jan Bloch

Nazywano go „królem kolei żelaznych", gdyż skutecznie wykorzystał okres gwałtownego rozwoju sieci kolejowych w imperium carów. Jego firma trafiła też do Lipawy, gdzie otrzymała zlecenie na budowę połączenia kolejowego z linią Warszawa – Petersburg. Bloch został prezesem Lipawskiego Towarzystwa Kolejowego i z czasem wykupił udziały większości swoich wspólników. Przy okazji przekazał darowiznę w wysokości 5 tys. rubli (60 tys. euro) na rzecz budowy dzielnicy willowo-uzdrowiskowej w mieście. Dlatego, gdy w powstającym parku sadzono pierwsze lipy, jedną z nich zasadzono w imieniu przemysłowca (pozostałe na cześć rodziny cesarskiej).

Kontakty biznesmena z Lipawą nie ograniczały się wyłącznie do jednej trakcji kolejowej. W 1873 r. jego firma wybudowała linię Radziwiliszki – Kałkuny, co zapewniło miastu bezpośrednie połączenie z Dyneburgiem, dzięki czemu znacznie skrócono czas transportu towarów. Naczelnym inżynierem obu inwestycji był Polak Hipolit Cieszkowski, którego brat osiadł w Lipawie na stałe.

Bloch był nietypowym biznesmenem jak na czasy, w których przyszło mu żyć. W czasie inwestycji w Lipawie zlecił opracowanie projektu ubezpieczeń dla pracowników kolei, wyprzedzając w ten sposób o kilkanaście lat reformy Bismarcka uważane do dzisiaj za fundament systemu emerytalnego. Bloch bowiem rozumiał konieczność powstania sprawnego mechanizmu mającego zapewnić spokojną starość jego byłym robotnikom. Dotychczas bowiem w carskiej Rosji na emerytury mogli liczyć wyłącznie pracownicy państwowi, do których zaliczano nauczycieli, służby mundurowe i urzędników. Niestety, pomysł Blocha przepadł i dopiero w 1912 r. objęto robotników powszechnym ubezpieczeniem emerytalnym, chociaż nie dotyczyło ono pracowników firm zatrudniających poniżej 20 osób. Dla porównania: polski system emerytalny zaczął funkcjonować dopiero w 1933 r., a i tak nie obejmował wszystkich pracowników.

„Król kolei żelaznych" był typem wizjonera i zajmował się również działalnością publicystyczno-naukową. Poza pracami z dziedziny kolejnictwa opublikował kilkutomowe studium „Przyszła wojna pod względem technicznym, ekonomicznym i politycznym", w którym udowadniał, że na skutek postępu techniki przyszłe starcie zbrojne obejmie cały kontynent i spowoduje ogromne straty dla wszystkich zaangażowanych państw. W efekcie w takiej wojnie nie będzie ani zwycięzców, ani pokonanych. Trudno nie oprzeć się przenikliwości Blocha. W XIX w. przewidywał wojnę totalną, która miała stać się udziałem Europy i świata dopiero kilkadziesiąt lat później. Dzieło finansisty przeczytał nawet Mikołaj II i wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że car przyczynił się do zwołania w 1899 r. pierwszej konferencji haskiej. Na osobiste zaproszenie monarchy wziął też w niej udział także Bloch, a dwa lata później zgłoszono jego osobę do Pokojowej Nagrody Nobla. Przemysłowiec jej nie otrzymał, ale sama nominacja dała mu wiele satysfakcji, a złośliwi twierdzili, że przyczyniła mu również wielu wrogów.

Inna sprawa, że w 1875 r. Józef Ignacy Kraszewski opublikował powieść „Roboty i prace. Sceny i charaktery współczesne", którą można uznać za pamflet na osobę Blocha. Był to utwór inspirowany przez przyjaciela i sponsora Kraszewskiego, Leopolda Kronenberga, który przez niemal całe życie ostro rywalizował z Blochem. Nic zatem dziwnego, że przemysłowiec, który na kartach powieści pojawił się jako pan Płocki, został przedstawiony w sposób bardzo negatywny. W odróżnieniu od jego żony, ale skoro jej pierwowzór był bratanicą Kronenberga, to Kraszewskiemu nie wypadało przedstawiać jej w złym świetle.

Jan Bloch jeszcze raz powrócił do tematu wojny ogólnoeuropejskiej. W innej swojej publikacji dowodził, że wielki konflikt zbrojny w Europie jest jednak nieprawdopodobny, a jeżeli już do niego dojdzie, to potrwa najwyżej kilka tygodni. Nie doczekał jednak pierwszej wojny światowej i dzięki temu nie przekonał się osobiście, jak bardzo się pomylił…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

M. Głuszko, „Polacy w Lipawie. Historia znana, nieznana, zapomniana", Warszawa 2018;
J. Sporny, „Jan Heydatel", „Tygodnik Ilustrowany" nr 80/1884.

eprasa.pl c8c1f3511d

Jakub Ostromęcki

Bośniaccy Chorwaci stanęli wówczas po stronie władz jugosłowiańskich i ani myśleli o zbrojnej walce o niepodległość

Ciała dwóch uczestników operacji „Feniks", zabitych przez żołnierzy Jugosłowiańskiej Armii Ludowej

FOT. KLUB HRVATSKIH POVRATNIKA IZ ISELJENIŠTVA

1972 r. / Tragikomiczna próba wyzwolenia Chorwacji

19 ustaszy straceńców

W południowej Bośni przy szosie prowadzącej z Tomislavgradu do Chorwacji, przy przysiółku Studena Vrila znajduje się dość okazała tablica pamiątkowa z krzyżem. Poświecono ją Ludvigowi Lutko Pavlovičovi, jednemu z pierwszych Chorwatów poległych w 1991 r. w walce z oddziałami Jugosłowiańskiej Armii Ludowej w czasie wojny w Bośni i Hercegowinie. Pavlovič był również jedynym ocalałym z Operacji „Feniks", która miała miejsce w 1972 r. Był to rajd 19 chorwackich emigrantów, którzy zamierzali doprowadzić do wybuchu powstania i wyzwolić Chorwację z „belgradzkich kajdanów". Cele operacji, jej zaplanowanie i przebieg były tak kuriozalne, że dziś badacze zadają sobie pytanie, czy nie była to aby prowokacja jugosłowiańskiej bezpieki, znanej szeroko pod skrótowcem UDBA, mająca na celu rozprawienie się z radykalną emigracją. Takiego zdania są m.in. historyk Dragutin Pavlicevič i jeden z bardziej znanych chorwackich publicystów, nieżyjący już Denis Kulijiš.

Po 1945 r. przeciętny Chorwat manifestował swoją tożsamość narodową pokojowo. Uważał, że jego zasoby wysysane są przez biedniejszy interior, irytowało go to, że Serbowie stanowią 12 proc. populacji republiki, ale obsadzają ponad 60 proc. stanowisk w lokalnej milicji i 40 proc. stołków w partii, nie mówiąc już o jugosłowiańskiej generalicji. Chorwacka Wiosna, czyli ciąg manifestacji, wieców, strajków studenckich i serii publikacji, zakończyła się w 1971 r. bezkrwawą w większości czystką na szczytach chorwackiej partii komunistycznej, masowymi zwolnieniami, więzieniem dla niepokornych dyrektorów fabryk czy intelektualistów. Za broń w Zagrzebiu czy Splicie nikt nie zamierzał jednak wtedy chwytać.

Śladem ustaszy

Inaczej było na emigracji. Jednym z bardziej radykalnych stowarzyszeń nawiązujących do niesławnej spuścizny Ante Paveliča było Chorwackie Bractwo Rewolucyjne (HRB) założone w 1961 r. Ustaszowska ideologia była wstrętna krajom Europy zachodniej, toteż kwatera główna organizacji mieściła się w mniej uświadomionym Sydney. Działacze liczącego raptem 300 członków HRB posługiwali się w konspiracji numerami i działali w systemie trójek. Niepodległość Chorwacji zamierzali wywalczyć terrorem. Zamachy na jugosłowiańskich dyplomatów, infrastrukturę, obiekty cywilne miały sprowokować Belgrad do gwałtownej i nieprzemyślanej reakcji wobec Chorwatów i w dalszej kolejności wywołać bezlitosną wojnę partyzancką.

W 1963 r. działacze HRB wysadzili linię kolejową Zagrzeb-Karlovac. Szkody

eprasa.pl c8c1f3511d

nie były poważne, a sprawcy skończyli w więzieniu. W 1965 r. jeden z członków organizacji poważnie ranił konsula jugosłowiańskiego w Monachium. Rok później w zamachu terrorystycznym zginął pracownik konsulatu w Stuttgarcie. Obaj sprawcy trafili do zachodnioniemieckiego więzienia. Belgrad, o dziwo, zachowywał jednak zimną krew. Miast zapełniać więzienia, pałować ludzi na ulicach, organizować procesy pokazowe, UDBA dokonywała skrytobójstw na chorwackich działaczach emigracyjnych. HRB zamierzało zatem uderzyć mocniej. Plan zakładał, że grupa przeszkolonych bojowników wślizgnie się niepostrzeżenie do Jugosławii, założy gdzieś w dziczy kwaterę partyzancką i weźmie się za dywersję i agitację wśród rodaków.

Partyzanckie gniazdo miało się mieścić nie w Socjalistycznej Republice Chorwacji, ale w zamieszkałej przez Chorwatów Hercegowinie, na płaskowyżu Vran, rozpościerającym się na północny zachód od Mostaru. Był to słabo zaludniony teren, gdzie z sosnowego lasu wyrastały porośnięte kosówką wzgórza oraz wapienne skały. Dobre miejsce do organizowania zasadzek i założenia kryjówki. Ośmiu z 19. członków komanda pochodziło właśnie z okolicznych miasteczek i wsi.

Grupa miała liczyć pierwotnie kilkuset bojowców, jednak ostatecznie liczba ta spadła do 19 – łatwiej w ten sposób było niepostrzeżenie przedostać się przez granicę. Dziewięciu bojowców mieszkało na stałe w Australii, siedmiu w Austrii i trzech w RFN. Z całej grupy tylko siedmiu posiadało jednocześnie jugosłowiańskie paszporty. Byli w niej zarówno katolicy, jak i muzułmanie. Politycznym liderem komanda został Ambroży Andrić, za sprawy czysto wojskowe zaś odpowiadał Pavo Vegar, który służył wcześniej w australijskich jednostkach specjalnych. Był to jednocześnie jedyny uczestnik akcji mający za sobą służbę wojskową. Reszta przed akcją ukończyła jedynie kursy dywersji i sabotażu.

Dwóch emigrantów, którzy nie załapali się na akcję – dzięki czemu pożyli dłużej – zyskało potem sławę w czasie wojny Chorwacji o niepodległość. Anto Roso w 1972 r. musiał w pośpiechu opuścić RFN po zamachu zorganizowanym przez UDBA. Trafił do Legii Cudzoziemskiej. Na początku lat 90. wrócił do Chorwacji

Ante Pavelić, przywódca ustaszy FOT. WIKIPEDIA

i został dowódcą pierwszej formacji sił specjalnych tego kraju, potem głównodowodzącym chorwackiej armii w Bośni i bezpośrednim podwładnym słynnego Antego Gotoviny. Inny działacz HRB, Blaz Kraljevič, na krótko przed operacją „Feniks" został aresztowany w Australii, za… bimbrownictwo. Po latach, u zarania konfliktu w Bośni, dowodził wojskami chorwackimi, zanim stanowisko to objął Roso. Mimo używania groźnej usaszowskiej symboliki pragnął ścisłego sojuszu z muzułmanami. Było to wbrew stanowisku Zagrzebia, gdzie myślano wówczas o rozbiorze Bośni wspólnie z Serbami. Niepokorny Kraljevič został zatem zamordowany przez swoich rodaków w sierpniu 1992 r. pod Mostarem.

Broń dla grupy kupowano na czarnym rynku, głównie w Belgii, mundury pochodziły z demobilu, częściowo australijskiego, częściowo zaś były szabrowane z Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Każdy z uczestników akcji, oprócz karabinów automatycznych, peemów i pistoletów miał mapę, kompas, środki opatrunkowe i plecak. Dywersanci zamierzali wkroczyć do Jugosławii po kryjomu, ale za to w mundurach polowych. Zupełnie jakby działali w terenie, gdzie już od jakiegoś czasu gorzeje konflikt lub wojna, a nie w kraju, w którym panuje ład, choć oczywiście autorytarny.

Gorzki zawód

W austriackim Garnas, w głębi świerkowego lasu, założyli obóz, w którym uczyli się dywersji i sabotażu, po czym 18 czerwca wyruszyli pieszo ku granicy z jugosłowiańską Słowenią. Maszerowali nocą. Gdy 20 czerwca szykowali się do przekroczenia granicy, spostrzegł ich jugosłowiański wopista. Krzyknął: „Stać!", ale grupa czmychnęła między świerki. Strażnik wziął bojowców za zbłąkanych austriackich harcerzy lub myśliwych.

Grupie udało się przekroczyć granicę w pobliżu Dravogradu. Do bośniackiego Vranu było stąd 550 kilometrów. Zgodnie z planem dywersanci zaczęli więc rozglądać się za ciężarówką, którą można by porwać lub ukraść. Musiał być to duży wóz z plandeką. Na zdobycz czekali dwa dni, kryjąc się w zaroślach, aż dostrzegli ciężarówkę z przyczepą, wiozącą wodę mineralną. Jeden z bojowców, przebrany w jugosłowiański mundur, wyjął lizak i zatrzymał wóz w zatoczce obok jezdni. Kierowca Franc Nabernik myślał, że to rutynowa kontrola drogowa, ale nagle został powalony na ziemię i skrępowany. Zobaczył, jak jacyś ludzie w mundurach odczepiają przyczepę, a z ciężarówki zrzucają skrzynki z wodą mineralną. Wrzucili go na pakę i usiedli obok.

Okazali się łagodnymi porywaczami – Nabernik dostał jedzenie, a gdy w nocy trząsł się z zimna, ktoś odstąpił mu swoją kurtkę. Szczerze i bez skrępowania wyjaśniono mu też cel misji. Nabernik zapamiętał, że porywacze umilali sobie podróż, śpiewając chorwackie pieśni ludowe oraz maryjne. Ilija Galvaš był marnym kierowcą i tylko cudem ciężarówka nie została zatrzymana przez drogówkę. Kiepski był też z niego konspirator. Na stacji benzynowej chciał zapłacić markami. Gdy mu odmówiono, poszedł szukać kantoru w mieście, na szczęście po cywilu. O kantor pytał nawet milicjantów.

W końcu 23 czerwca bojowcy dotarli do Hercegowiny. Przyszli partyzanci zamiast pod Vranem wysiedli w Gornij Vakuf, 70 kilometrów wcześniej, w bardziej lesistej okolicy, gdzie urodził się Galvaš. Tutaj wypuścili Nabernika wraz z jego ciężarówką, dając mu 100 marek i zakazując mówić, kogo widział. Dopiero po kilku godzinach jazdy powrotnej przerażony szofer zorientował się, że prowadzi bez buta, który gdzieś zgubił. Nabernik nie wytrzymał i jeszcze z Bośni zadzwonił do szefa Avtoprijevozu, opisując całą historię. Ten przez telefon mówił spokojnie, ale nie uwierzył w ani jedno słowo, myśląc, że Nabernik się upił lub chciał ukraść wóz i ktoś mu w tym przeszkodził.

Tak o sprawie dowiedziały się jugosłowiańskie władze. Śledczy z UDBA, którzy

eprasa.pl c8c1f3511d

Jedyne zdjęcie grupy chorwackich emigrantów, którzy próbowali wzniecić powstanie FOT. KLUB HRVATSKIH POVRATNIKA IZ ISELJENIŠTVA

nachodzili biednego szofera jeszcze przez kilka miesięcy, twierdzili, że był w zmowie z ustaszami. „Zerżnę twoją matkę!" – miał na niego wrzeszczeć jeden z udbeków podczas przesłuchania.

Tymczasem 24 czerwca, pół godziny po północy, grupa zeszła szybko z jezdni, zagłębiając się w bór ponad wsią Luzani. Rankiem Glavaš udał się do rodzinnej wsi po strawę. Wrócił po kilku godzinach, markotny. Krewny powiedział mu bowiem, że cała operacja z powodów biernej postawy miejscowych będzie skazana na klęskę. Galvaš przyprowadził jednak grupkę ciekawskich gospodyń, które przyszły „zobaczyć armię chorwacką". Kobiety przyniosły rakiję. Jakiś miejscowy muzułmanin podarował dorodnego barana, inny konia do transportu wyposażenia. Życzliwi wieśniacy napomknęli coś o tym, że lata temu ukrywali u siebie chorwackich krzyżowców (czyli żołnierzy konspiracji antykomunistycznej), sami do walki się jednak nie palili. Chrupiąc pieczone na ogniu smakowite mięsiwo i racząc się kumovicą, dywersanci stwierdzili więc, że następnego dnia ruszą na południe ku masywowi Radušy.

25 czerwca na jednej z przełęczy dywersanci pochwycili grupkę myśliwych – jednego Chorwata i kilku muzułmanów. Również oni rzekli, że w okolicy nikt specjalnie nie garnie się do walki z władzami jugosłowiańskimi. Próbowano ich przekonać do dołączenia do grupy – bezskutecznie. Zabrano im zatem amunicję, rozdano ulotki i puszczono wolno. Część bojowców ogarnęła frustracja. Jeszcze miesiąc temu wmawiano im wszak, iż w Bośni i Chorwacji wrze. Wybuchły pierwsze awantury. Defetystów powstrzymał Adolf Andrić, sięgając po pistolet. Musieli być bardziej ostrożni. Wchodząc na masyw Radušy, mówili napotkanym mieszkańcom, że są na obozie trekkingowym.

Obława

Tymczasem po telefonie Nabernika i powiązaniu go z wcześniejszymi meldunkami wopistów do dzieła przystąpiła Jugosłowiańska Armia Ludowa. W rejon Radušy dowództwo 7. armii wysłało 350 żołnierzy żandarmerii, 300 milicjantów, a do tego zmobilizowano 3400 rezerwistów z obrony terytorialnej. Zgrupowanie to, podzielone na kompanie, zaczęło posuwać się koncentrycznie ku środkowi masywu Radušy. Jedna z kolumn, dowodzona przez kapitana żandarmerii Miloša Popoviča, dostrzegła na jednej z polan maszerujących dywersantów. Popovič był niedoświadczonym oficerem. Spanikował i kazał otworzyć ogień z dużej odległości, część swoich żandarmów posyłając do szturmu. Dywersanci HRB zareagowali na to profesjonalnie. Przyczaili się za pniakami i odpowiedzieli ogniem dopiero wtedy, gdy mogli rozróżnić twarze napastników. Zginęło dwóch żołnierzy, w tym kpt. Popovič, a dwóch kolejnych zostało rannych. Po stronie bojowców zginał Adolf Andrič, zaś trzech bojowców w zamieszaniu oderwało się od grupy.

W ciągu kilku dni zostali pojedynczo pochwyceni w okolicznych wsiach i na miejscu rozstrzelani. Samo starcie, biorąc pod uwagę dysproporcje sił, było przegraną JAL, co w swoich raportach przyznało samo dowództwo. Pościg był nieskoordynowany, chaotyczny; żołnierz po pierwszych stratach zaczynał panikować i unikać walki. Jedno radio na kompanię okazało się zdecydowanie niewystarczające. Żołnierze nie wiedzieli też, czy mają dywersantów pochwycić czy zabić. W starciu tym bojowcy pochwycili cywilnego przewodnika armii, niejakiego Simiča. Pozwolili mu potem uciec, co przez UDBA zostało uznane za współpracę z faszystami. Simič przesiedział w więzieniu dwa miesiące.

27 czerwca bojowcy zaczęli przemieszczać się na południową, bardziej suchą stronę masywu, nad jezioro Ram. Znali doskonale teren, ukrywali się w szałasach, podczas gdy nad głowami latały im helikoptery JAL. Doszło tu do kolejnej bitwy. Jeden z dywersantów nie wytrzymał napięcia, uciekł i poddał się. Rozstrzelano go na miejscu. Ale po stronie rządowej zginęło ośmiu żołnierzy, a sześciu zostało rannych – najwięcej w momencie, gdy na otwartym terenie zaczęli kłębić się w celu ratowania rannego kolegi. Jak pośrednio wynika z raportów, JAL, zamiast żołnierzy służby zasadniczej, specjalnie wysłała do walki nieopierzonych rezerwistów z obrony terytorialnej. W boju miała bowiem hartować się jugosłowiańska tożsamość. Naród miał usłyszeć, że to zwykli powołani pod broń lokalni cywile pokonali faszystowską partyzantkę. Po latach emigracyjni działacze HRB przyznawali, że bośniaccy Chorwaci stanęli wówczas po stronie władz jugosłowiańskich. Nie myśleli o zbrojnej walce. Większość z poległych żołnierzy i żandarmów w czasie walk w Radušy było Chorwatami.

Po starciu nad jeziorem Ran Grupa Bugajno liczyła 14 osób. Wszyscy wiedzieli już, że nie walczą w żadnym powstaniu, lecz o przetrwanie. Andrič pozwolił zatem, aby każdy ratował się na własną rękę lub w małych grupkach. Większość zginęła w okolicznych wsiach lub w Chorwacji nad Cetiną, niedaleko Splitu. Proces wytoczono tylko czterem dywersantom. W marcu 1973 r. zostali oni rozstrzelani w sarajewskim więzieniu.

Pavlovič z racji młodego wieku uniknął egzekucji i za kratkami doczekał rozpadu Jugosławii. Pod celą poznał samego Željka Ražnjatovića „Arkana", pospolitego przestępcę, a wkrótce serbskiego bohatera narodowego. Pavlovič miał stanąć w obronie gnębionego więźnia i złamać słynnemu watażce nos. W 1991 r. zginął atakując jugosłowiańską kolumnę zmechanizowaną w Hercegowinie. W 2020 r. pewien Serb, kibic belgradzkiej Zvezdy, zrobił sobie zdjęcie, sikając na pomnik Pavloviča w Bośni. Zdjęcie obiegło Internet. Chorwaci byli wściekli, Serbowie uradowani. „Szanuj wandala swojego, możesz mieć gorszego" – można by rzec, patrząc z naszej perspektywy na bałkańskie spory o historię.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Gorejąca planeta Wenus i bliźniacza Ziemia śnieżka w okowach lodu. Jaki los nas czeka? FOT. NASA(X2)

Historia naturalna / Co naprawdę grozi Ziemi

Taki mamy klimat...

Maciej Rosalak

Główną przyczyną zmian klimatu Polski od XVIII do XXI w. były, są i będą periodyczne zmiany aktywności Słońca

Na przełomie listopada i grudnia 2022 r. spadły śnieg i temperatura. Za to na Boże Narodzenie nadeszła odwilż, temperatura przekraczała 10 st. C i do końca stycznia 2023 r. panowała łagodna jesień. I po raz kolejny wezbrały rzeki oraz histeria z powodu rzekomo zagrażającemu ludzkości efektowi cieplarnianemu. Oczywiście zauważalnego wpływu działalności człowieka na pewien wzrost zanieczyszczenia powietrza i wody nikt rozsądny nie neguje. Ale z naukowych badań nie wynika, że to człowiek odpowiada za jakąś niosącą powszechną zagładę katastrofę klimatyczną. W historii Ziemi było i jest aż nadto prawdziwych zagrożeń. Jak to było – przypomnijmy od początku...

Jeśli przyjmiemy, że od narodzin Ziemi (4,6 mld lat temu) minęła doba, to od pierwszych inskrypcji pisanych egipskimi hieroglifami czy sumeryjskim pismem klinowym upłynęła do dziś niespełna dziesiąta część sekundy. Mgnienie oka. Co poprzedziło naszą cywilizację? Wedle ustaleń geologów dwa pierwsze miliardy lat przypadają na eon archaiczny.

Powstawała wówczas nasza planeta, początkowo pełna ognia, z wybuchami plazmy i popiołów, bez oceanów i – oczywiście – kontynentów. Bombardowały ją liczne komety, meteory i planetoidy, z Theą, która po uderzeniu w Ziemię wyrwała z niej Księżyc. Goście z odległych rejonów Układu Słonecznego przynosili na nią tak dużo lodu, że po rozpuszczeniu stworzył on oceaniczne akweny. Źródeł wody na Ziemi upatruje się także w wietrze słonecznym niosącym jądra wodoru, które wchodzą w reakcje z tlenem, lub w magmie zastygającej po wydostaniu się na powierzchnię. Wymienione teorie nie muszą się zresztą wykluczać...

Uformowało się wtedy – głównie z żelaza – jądro Ziemi (stałe – wewnętrzne o promieniu 1250 km, i płynne – zewnętrzne o promieniu 3500 km), które okrył płaszcz o grubości 2900 km z krzemu, magnezu, niklu i żelaza. Na tej astenosferze unosi się skorupa Ziemi, zbudowana zarówno w warstwie bazaltowej, jak i granitowej przede wszystkim z krzemu i tlenu. Wypychany w górę granit tworzy łańcuchy górskie. Płyty kontynentów unosi płynna astenosfera,więc trą o siebie i wsuwają się jedne pod drugie. Na powierzchni występują wtedy trzęsienia ziemi. Skorupa ziemska ma grubość od niekiedy zaledwie 6 km pod dnem morskim do 70 km pod wysokimi górami.

Ziemia śnieżka

Kolejne dwa miliardy lat trwał eon proteozoiczny (do 542 mln lat temu), podczas którego formowały się bloki kontynentalne. Połączyły się w jeden kontynent – Pangeę. Wypiętrzały się góry. Pojawiły się pierwsze nieskomplikowane żywe organizmy. Minęło już osiem dziewiątych części całej doby istnienia Ziemi.

Zapewne po 4 mld lat naszą planetę od bieguna do bieguna z równikiem (!) włącznie skuł lód, zamieniając ją w tzw. Ziemię śnieżkę. Powłoka lodowa o grubości od jednego do kilku kilometrów miała się utrzymywać miliony lat na styku dwóch wielkich eonów: proteozoicznego i fanerozoicznego. Średnia temperatura na powierzchni wynosiła –50 st. C, ale spadała często znacznie poniżej granic znanych obecnie na Ziemi. A przypomnijmy, że najniższą temperaturę ziemską zanotowano w lipcu 1983 r. na Antarkty-

eprasa.pl c8c1f3511d

dzie (stacja badawcza Sojuz) i wyniosła ona –89,6 st. C. Na półkuli północnej natomiast notowano w styczniu 2004 r. w syberyjskim Tomtorze –72,2 st. C.

Praprzyczyną spadku temperatury był – jak się uważa – ubytek gazów cieplarnianych, a zwłaszcza dwutlenku węgla. Mogły go spowodować erozja krzemianów wiążących CO_2 oraz nagły wzrost liczby prymitywnych organizmów zdolnych do fotosyntezy. Biel lodowej okrywy zwiększyła albedo Ziemi, czyli stosunek odbijanych promieni słonecznych do padających. Jeżeli lodu zaczyna przybywać, to nasza planeta wysyła coraz więcej ciepła w kosmos, a im więcej wysyła, tym staje się zimniejsza i bielsza, a więc odbija jeszcze więcej promieni… i tak dalej.

Wyliczono, że przekroczenie przez lodowce 30. równoleżnika na obu półkulach (na tej mniej więcej szerokości geograficznej leżą Kair w Egipcie i Durban w RPA) lub 20. równoleżnika na jednej półkuli (stolica Meksyku czy Bombaj w Indiach) prowadzi do ciągłego dalszego mrożenia całej kuli ziemskiej. Staje się ono nieodwracalne. Chyba że… uaktywnią się ziejące płomieniami i siarką wulkany. I oto ich wybuchy przedzierały się przez wieko lodowej trumny, emitowany dwutlenek węgla pozostawał w atmosferze, a unoszące się w niej pyły i gazy wulkaniczne stopniowo zwiększały efekt cieplarniany. Im więcej topniało lodu, tym efekt stawał się silniejszy i wkrótce – to znaczy może nawet w ciągu zaledwie tysiąca lat – lody ustąpiły.

A życie przetrwało w niższych warstwach wód oceanicznych – zwłaszcza blisko kominów geotermalnych, z których tryska gorąca woda ogrzewana przez magmę płaszcza Ziemi. Niesie ona związki żelaza i siarki, różne substancje mineralne – pożywienie mikroorganizmów. Tworzył się długi oraz skomplikowany łańcuch pokarmowy.

ZLODOWACENIA NA ZIEMIACH POLSKI

RYS. JACEK GRAMBURG

Było sobie życie

Mijają kolejne okresy – niby kwadranse w tej jednej dziewiątej doby istnienia Ziemi, która upływa od kambru – i mimo kataklizmów żywiołów natury oraz zagłady w świecie ożywionym na naszym globie stopniowo – z przerwami i regresami trwającymi miliony lat – polepszają się warunki dla życia. W dłuższych okresach przybywa tlenu, rośliny coraz bardziej zróżnicowanych i rozwiniętych gatunków opanowują ląd, Słońce grzeje wystarczająco mocno, stabilizuje się orbita i nachylenie osi ziemskiej, coraz mniej intruzów spada z nieba, a wybuchów wulkanów i trzęsień ziemi jest mniej podczas pierwszych ośmiu dziewiątych naszej doby.

Pangea rozerwała się na odrębne lądy przedzielone głębokimi oceanami i płytkimi morzami. Kontynenty dryfują po całej kuli ziemskiej, łącząc się (powtórna Pangea powstanie w permie za 250 mln lat) i znów dzieląc. Był czas, gdy Sahara znajdowała się na biegunie, a Antarktyda na równiku. Pamiętajmy, że kiedy potężne uderzenie planetoidy zakończyło 65 mln lat temu erę kredy (popularnie, a także trafnie mówi się: erę dinozaurów), lądy, z których uformowała się współczesna Ameryka z jednej strony, a Afryka i Europa z drugiej, przedzielał akwen mniej więcej połowę węższy od dzisiejszego Atlantyku.

Początek ostatniego, trzeciego eonu (fanerozoiku) w erze paleozoicznej przyniósł w okresie kambru (542–488) tzw. eksplozję kambryjską – rozwój i różnorodność złożonych form życia. Z tego okresu znamy pierwsze gąbki, pierścienice (dżdżownice i pijawki), mięczaki, stawonogi, które przetrwały obok koralowców w ordowiku (488–444 mln lat temu). W sylurze (444–416 mln lat temu) mnożą się ryby z żuchwą i kostnym pancerzem. W dewonie (416–359) żyją już ryby spotykane obecnie, pojawiają się też owady bezskrzydłe, wije i pajęczaki. W okresie karbonu (359–299) pojawiają się płazy i pierwsze gady, a owadom wyrastają skrzydła. Ślimaki i skorupiaki wyruszają z morza na ląd. W permie (299–251) widzimy już gady ssakokształtne.

Kolejny okres – trias w erze mezozoicznej (251–200) – to czas podziału gadów na dinozaury, pterozaury i pierwsze krokodyle oraz zaistnienia żab i ropuch. Pojawia się pierwszy ssak – morganucodon – przypominający szczura o rozstawionych jak u jaszczurki łapkach. W jurze (200–145) na lądzie i w morzu królują już niepodzielnie dinozaury, w powietrze wzlatuje archeopteryks, a pierwsze ssaki stekowce są przodkami dzisiejszych kolczatek i dziobaków. W kredzie (145–65) pojawiają się torbacze i pierwsze ssaki łożyskowe, ale dominują dinozaury.

eprasa.pl c8c1f3511d

Jezioro polodowcowe Allesjok w Laponii
FOT. ADOBE STOCK

Ich dramatyczny kres otwiera pole dla rozwoju ssaków – zaczyna się nasza era, zwana kenozoiczną. W toku ewolucji wykształcają się wszystkie znane dziś gatunki świata zwierzęcego, ze wspólnym przodkiem szympansów i człowieka sprzed 6 mln lat, pierwszego hominida homo habilis 2,5 mln lat temu, homo erectus sprzed jednego miliona lat i wreszcie homo sapiens, którego historia zaczęła się 200 tys. lat temu.

Historia świata ożywionego nie musiała się tak – na razie dość szczęśliwie dla nas – skończyć. Straszliwe kataklizmy, jak wybuch supernowej i promieniowanie gamma, uderzenia z kosmosu i wybuchy ogromnych wulkanów, kilkakrotnie kończyły się dramatyczną zmianą klimatu, warunków bytu i wielkim wymieraniem 80–90 proc. gatunków. Wymienia się m.in. wymieranie dewońskie (367 mln lat temu), permskie (ok. 250 mln lat), triasowe (213 mln lat). Za wielkie wymieranie holoceńskie uznaje się trwający zanik tysięcy gatunków z powodu 10 tys. lat trwania cywilizacji ludzkiej.

Epoka lodowcowa

Aczkolwiek teoria Ziemi śnieżki – czyli pokrycia lodem całej powierzchni kuli ziemskiej – ma wśród uczonych licznych i poważnych przeciwników, nikt jednak nie kwestionuje długotrwałych zlodowaceń (epok lodowcowych), obejmujących znaczne obszary globu. Badacze odkrywają ich ślady w tak odległych okresach, jak karbon czy perm, a więc między 350 a 250 mln lat temu, a nawet jeszcze w okresach prekambryjskich sięgających czasów kilku- czy kilkunastokrotnie bardziej odległych. Jeśli chodzi o stratygrafię dziejów Ziemi, to obecnie żyjemy w eonie fanerozoicznym, erze kenozoicznej, w okresie czwartorzędu i epoce holocenu, trwającej od zaledwie nieco ponad 11,5 tys. lat.

Tak się składa, że początek holocenu mierzy się od ostatniego cofnięcia się lądolodu na półkuli północnej w strefę podbiegunową. To wcale nie musi oznaczać, że żyjemy w okresie trwałego ocieplenia dzielącego na dziesiątki tysiącleci epoki lodowcowe. Prawdopodobnie – bo nikt tego z całkowitą pewnością nie może stwierdzić! – żyjemy nadal w kolejnym z kilku wielkich zlodowaceń, jakie wystąpiły na Ziemi. Tyle tylko, że nie w okresie, gdy lód zajmuje znaczne obszary (glacjał), lecz w okresie, gdy się właśnie cofa (interglacjał). Cztery ostatnie glacjały występowały na Ziemi – o czym świadczą badania rdzeni lodowych na Grenlandii i na Antarktydzie – od 1,2 mln lat. Na ziemiach Polski te okresy lodowcowe miały miejsce:

– od 1200 do 950 tys. lat temu;
– od 730 do 430 tys. lat temu;
– od 300 do 170 tys. lat temu;
– od 115 do 11,7 tys. lat temu.

Jak widzimy, glacjały trwały kolejno 250 tys., 200 tys., 130 tys. i trochę więcej niż 100 tysięcy lat, a więc malały. Ale interglacjały, które następowały między nimi, były zauważalnie jeszcze krótsze: 220 tys., 130 tys. i 55 tys. lat. Można też zaryzykować przypuszczenie, że interglacjały stają się coraz krótsze w postępie zbliżonym do arytmetycznego: maleją mniej więcej o połowę. Jeśli więc bylibyśmy w okresie interglacjalnym wielkiej epoki lodowcowej, to obecny czas ocieplenia – już trwający 11,7 tys. lat – skończyłby się za kilkanaście tysięcy lat. Czyżbyśmy więc mieli przed sobą tyle lat względnie wysokiej temperatury, ile mieli nasi przodkowie z neolitu?

Wypada dodać, że wymienione postępy lądolodu na ziemiach polskich sięgały do przełęczy sudeckich i nawet nieco je przekraczały (zlodowacenie południowopolskie między 730 a 430 tys. lat temu). Natomiast podczas ostatniego interglacjału (eemskiego: od 170 tys. do 115 tys. lat temu) temperatura wzrosła o 2–3 st. C, co podniosło poziom mórz od 4 do 6 m. W dolinie Wisły wody morskie sięgały Kwidzyna. Potem lądolód znów ruszył na południe, ale zajął już tylko część Polski. Łatwo to dziś ujrzeć – był tam, gdzie obecnie niebo przegląda się w taflach jezior Mazur, Pomorza, Kujaw, północnej Wielkopolski. Dla porównania warto zauważyć, że czapa lodowa pokryła w Ameryce Północnej tereny do jeziora Michigan, a w systemie alpejskim dotarła do rzeki Würm w Bawarii.

Interglacjał. Czy widok polskich ziem będzie przypominał krajobraz pustynny?
FOT. ADOBE STOCK

Czy glacjał epoki lodowcowej zamieni nasz kraj w krajobraz polarny? FOT. ADOBE STOCK

W fazie glacjalnej lodowiec postępuje dzięki temu, że klimat się oziębia, zamiast deszczu pada coraz częściej śnieg, który nie topi się podczas lata. Zwały śniegu wkrótce zamieniają się w lód, którego ciężar rośnie i spycha swe własne pokłady coraz dalej i szerzej, niosąc ze sobą odłamane skały, kamienie, żwir i piasek. Zarówno podczas posuwania się lodowca do przodu, jak i następnie cofania się powstają moreny czołowe

eprasa.pl c8c1f3511d

i denne, jeziora morenowe i rynnowe, różnego kształtu pagórki i doliny. Dodajmy jeszcze, że podczas interglacjału zdarzają się oziębienia klimatu, zwane nawet małymi epokami lodowcowymi. Europę dotknęło to między XV a XVIII w. do tego (niskiego) stopnia, że nawet Bałtyk zamarzał. Wcześniej średniowiecze przyniosło takie ocieplenie, że wikingowie osiedlali się na Grenlandii, a w Polsce uprawiano winorośl.

Nasuwa się pytanie, dlaczego w ogóle dochodzi do zlodowaceń. Pomijając krótkie – w skali istnienia kuli ziemskiej, choć szalenie dotkliwe, a nawet zabójcze dla żywych stworzeń – oziębienia klimatu wywołane potężnymi uderzeniami ciał kosmicznych lub wybuchami superwulkanicznymi, decydują o tym tzw. cykle Milankovicia. Otóż serbski uczony Milutin Milanković odkrył, że dominujący wpływ na ziemski klimat mają ekscentryczność orbity (od prawie idealnego koła do owalu), nachylenie ekliptyki i precesja osi Ziemi. Te trzy zjawiska – których istota tkwi, najogólniej mówiąc, we właściwościach budowy i obrotów Ziemi wokół własnej osi oraz wokół Słońca, a także w grawitacji naszej gwiazdy oraz Księżyca – wywołują periodyczne zmiany orbity ziemskiej. Stąd też periodyczność zmian klimatycznych. Łączny wpływ trzech wymienionych czynników może zmniejszyć nasłonecznienie w niektórych punktach nawet o 10 proc. od wartości średniej. I nic na to nie poradzimy...

Zachodniopomorskie Tychowo. Trygław, największy u nas głaz plodowcowy przyniesiony przez lodowiec FOT. ADOBE STOCK

Co jest? Co będzie?

O tym, jak pamięć ludzka zależy od wieku, zauważam, porównując wspomnienie przełomu pierwszej i drugiej dekady XXI w. Otóż moje kilkuletnie wnuczki zimą bawiły się wtedy na działce pod Warszawą w śnieżnych tunelach i igloo urządzonych im przez ojca. Mróz i śnieg utrzymywały się w latach 2010 i 2011 długo, ale w pamięci moich wnuczek obraz styczniowych śnieżyc sprzed 12 lat już się zatarł. Od paru zim oglądają jesień.

Przed tysiącem lat wikingowie osiedlili się na Islandii i na Grenlandii, gdzie w 1126 r. powstała rzymskokatolicka diecezja w Gardar. Biskup opuścił ją w 1378 r., a mieszkańcy Gardar i okolicznych osad wynieśli się niespełna pół wieku później, ok. roku 1430. Powodem nie było niezadowolenie miejscowych Eskimosów – jak na kanadyjskiej Nowej Funlandii, gdzie agresywnych wikingów wypłoszyli na początku XI w. Indianie – ani wzrost dwutlenku węgla z powodu hodowli bydła i palenia ognisk. Przyczyną stała się mała epoka lodowcowa, która udaremniła uprawę roli i komunikację z norweską macierzą.

Nie mamy żadnego wpływu na wybuchy wulkanów, a także rozległych superwulkanów, do których dochodzi co kilkadziesiąt tysięcy lat. Wybuch Toba na Sumatrze 75–74 tys. lat temu był najsilniejszym wybuchem w czwartorzędzie, a więc w naszej epoce geologicznej. W kalderze, które po nim pozostała, powstało największe w Archipelagu Malajskim jezioro o powierzchni ponad 1,9 tys. km kw., długości 100 km i szerokości 34 km.

Ale i takie wulkany jak Wezuwiusz na Półwyspie Apenińskim (zwłaszcza wybuch z 79 r.), Krakatau na wyspie między Sumatrą i Jawą (erupcje w latach 535 i 1883), Tambora na indonezyjskiej wyspie Sumbawa (1815 r.) czy kamczackie „sopki" wyrzucające gazy, pyły i lawę w 2013 r. (10 lat temu!) złowrogo zapisały się w międzynarodowej pamięci. Pamiętamy dymiący wulkan Eyjafjallajökull na Islandii, który w 2010 r. całkowicie zdezorganizował transport lotniczy między zachodem Europy i Afryki oraz wschodem Ameryki. Do poprzednich erupcji tego wulkanu w ciągu 1,1 tys. lat, kiedy je odnotowywano, dochodziło w latach 920, 1612, 1821–1823.

Ogromny superwulkan drzemie pod parkiem Yellowstone. Wybuchał ponad 2 mln lat temu, 1,3 mln lat temu oraz 640 tys. lat temu. Może wybuchnąć znowu za rok – i zniszczyć większość Stanów Zjednoczonych oraz Kanady, a także zdewastować cały glob – albo za 10 tys. lat. Wyeliminowanie USA z gospodarki i polityki światowej przyniosłoby skutki nieobliczalne. Podobne znaczenie dla Europy miałaby erupcja Pól Flegrejskich w rejonie Zatoki Neapolitańskiej. To byłoby istne piekło Dantego dla milionów ludzi nie tylko we Włoszech. Ostatnio podnosi się często alarm z powodu emisji dwutlenku węgla w Polsce. Skoro jesteśmy przy wulkanach, to wspomnijmy, że nawet nie wybuch superwulkanu, ale Tambory wyrzucił w powietrze więcej gazów i pyłów, niż udało się emitować Polakom w ciągu ponadtysiącletniego istnienia ich państwa. A ileż wulkanów dymiło, dymi i będzie dymić na całej Ziemi…

Wulkanizm zaś nie jest jedyną ani najistotniejszą przyczyną zmian klimatu. Nie ma też decydujących przyczyn antropogenicznych. Tak wynika z opracowania badaczy Wydziału Geografii i Studiów Regionalnych, którzy zweryfikowali zmiany klimatu Europy z uwzględnieniem prognoz w XXI w. (publikacja w 2015 r.). Przyczyną „naturalnych zmian klimatu Polski w wiekach XVIII–XXI są periodyczne zmiany aktywności Słońca", a „opady atmosferyczne" (na przykładzie Warszawy) „są uwarunkowane przede wszystkim periodycznymi zmianami cyrkulacji zachodniej". Tak że wieje i deszczowe chmury napływać do nas będą – jak zwykle – z zachodu, a skoki temperatury powietrza zależą nie od nas, ale od plam na Słońcu i od cykli Milankovicia.

Nieodżałowany Bohdan Smoleń śpiewał wprawdzie: „Ech Słoneczko, co to będzie, kiedy zgaśniesz", ale – jak się zdaje – miał w 1980 r. na myśli Związek Sowiecki. Po 10 latach zgasło, ale nasza prawdziwa gwiazda ma podobno zamiar świecić jeszcze jakieś 2 mld lat…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

1894–1970 / Redaktor, literat, polski patriota

Wielki Grycendler

Krzysztof Masłoń

Mieczysław Grydzewski przeszedł do historii jako twórca i redaktor czterech wcieleń „Wiadomości…" – w Warszawie, Paryżu i dwóch w Londynie

Był dżentelmenem – jak go nazywał Jan Rostworowski – absolutnym, który „swe stany psychiczne, o ile je miewał, trzymał krótko przy nodze, jak niezbyt jeszcze wyćwiczoną służbę, której nie pokazuje się gościom. […] Jego życia osobistego, jeśli je miał, nie znałem. […] Wydaje mi się, że w życiu prywatnym dwa miał wielkie pragnienia: żeby wspaniale pisać i żeby być kochanym przez kobiety. I na jedno, i na drugie był za delikatnym i za dobrym człowiekiem".

W istocie pisał więcej niż poprawnie, i wcale niemało, zważywszy choćby na 850-stronicową objętość wydanego przez Iskry w 2014 r. tomu „Silva rerum" (z łac. „las rzeczy"), będącego wyborem jego zapisków publikowanych przez lata w „Wiadomościach". Odnośnie do drugiej kwestii, to do śmierci żył w kawalerskim stanie, ale „kobietki" czy „dziewczynki" – jak powiadał – lubił. I owszem.

Przede wszystkim jednak redagował. Legendarne „Wiadomości Literackie" wydawać zaczął w styczniu 1924 r. w Warszawie. Ostatni numer pisma ukazał się z datą 3 września 1939 r., po czym po kilkumiesięcznej przerwie 17 marca roku 1940 w Paryżu ukazał się pierwszy numer „Wiadomości Polskich Politycznych i Literackich". Po wojennej przegranej Francji tygodnik ten reaktywowany został w Londynie (ostatni numer francuski datowany jest na 23 czerwca 1940 r., a pierwszy numer angielski już na 14 lipca tegoż roku), gdzie wychodził do lutego 1944 r. Mieczysław Grydzewski – bo o nim mowa – prowadził go nadal, choć nominalnie redaktorem naczelnym w latach wojny był Zygmunt Nowakowski. Wreszcie po ponad dwóch latach

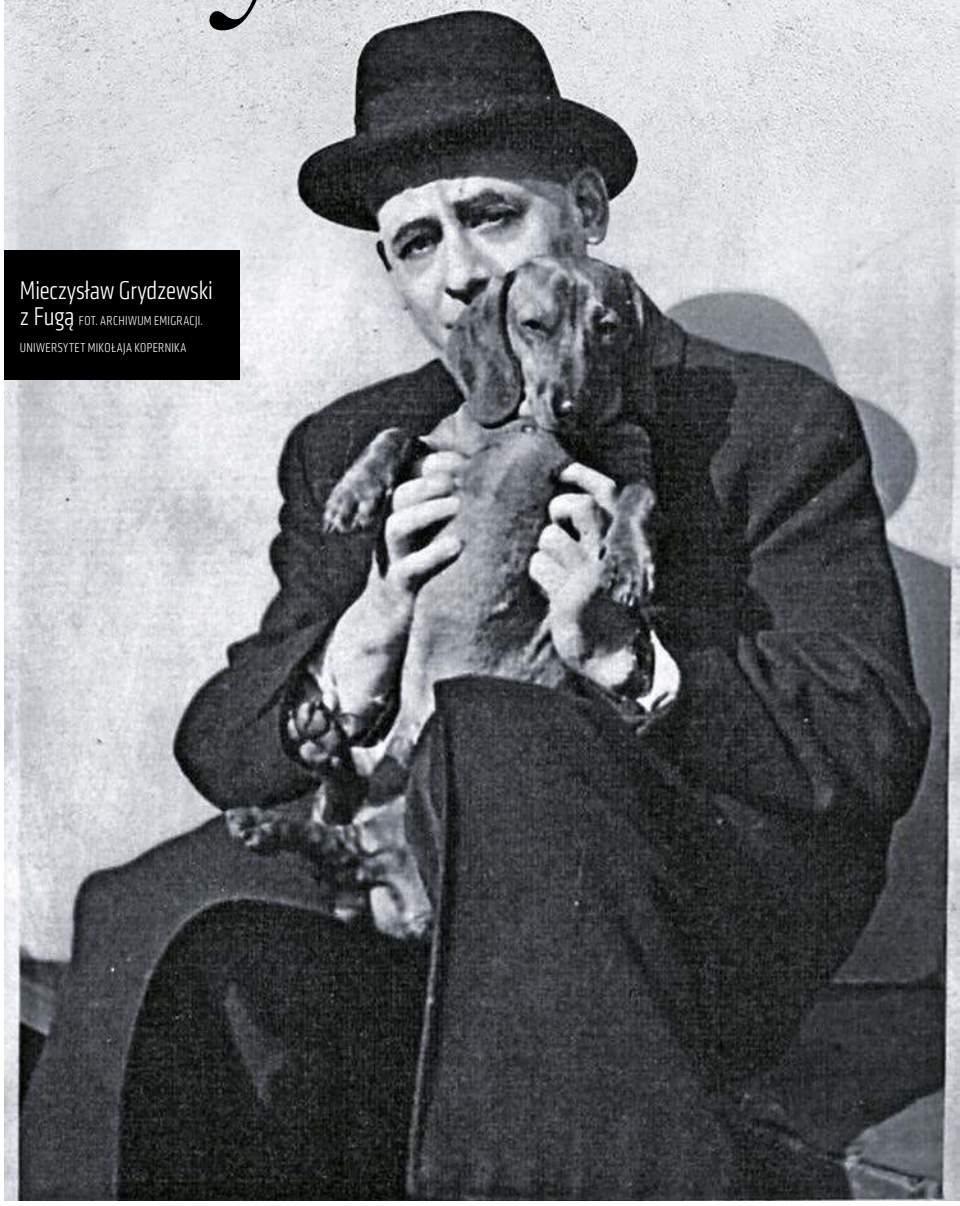

Mieczysław Grydzewski z Fugą FOT. ARCHIWUM EMIGRACJI. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA

eprasa.pl c8c1f3511d

przerwy Grydzewski uruchomił w Londynie (7 kwietnia 1946 r.) ostatni tytuł do swej redakcyjnej chwały – „Wiadomości", już bezprzymiotnikowe. Przeżyły one swego wielkiego szefa, ukazując się do marca–kwietnia 1981 r. On sam zmarł w styczniu 1970 r. w wieku 75 lat. Na mszy żałobnej w londyńskim kościele Niepokalanego Serca Maryi nie było jednego wolnego miejsca. Był to największy pogrzeb polski w tym kościele.

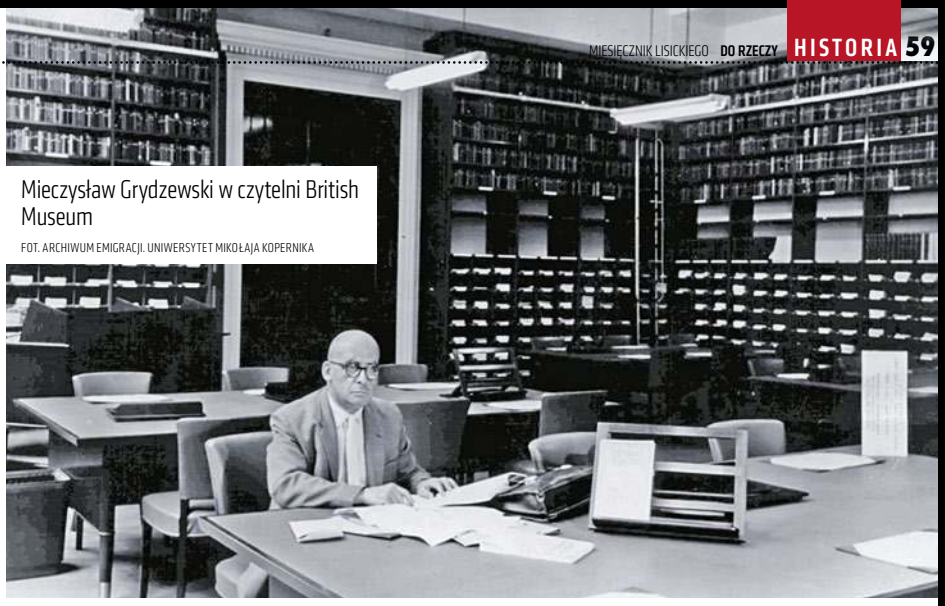

Mieczysław Grydzewski w czytelni British Museum

FOT. ARCHIWUM EMIGRACJI. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA

Pod znakiem centaura

O Mieczysławie Grydzewskim pisałem już w „Historii Do Rzeczy", ale wracam do wspomnień o nim i o jego czasopismach pod wpływem wydanej właśnie nakładem PIW książki „Bieg czasu, bieg atramentu", dokonanego przez prof. Rafała Habielskiego wyboru tekstów tak znakomitych autorów jak m.in. bracia Zbyszewscy – Wacław i Karol, Józef Wittlin, Kazimierz Wierzyński czy Stanisław Baliński. Wyłania się z nich wizerunek człowieka wyjątkowego, być może rzeczywiście – jak twierdził Wacław Zbyszewski – „najwybitniejszego Polaka na emigracji". Z niczego nie był on tak dumny jak z tego, że był Polakiem, z tym że jako Grydzewski podpisał się po raz pierwszy dopiero w styczniu 1920 r. w inauguracyjnym zeszycie miesięcznika poetyckiego „Skamander", przez rok jeszcze zachowując podwójny podpis: M.J. Grycendler-Grydzewski. Formalnie o zmianę nazwiska wystąpił w roku 1930. Zmieni także swój paszportowy mozaizm na protestantyzm, bo wydawało mu się – sugerował Kazimierz Grocholski – że z religijnego punktu widzenia był on mniej obowiązujący od katolicyzmu.

Następczyni Grydzewskiego, ostatnia redaktor naczelna londyńskich „Wiadomości" – Stefania Kossowska – przed wojną pracowała w „Prosto z Mostu" i w 1938 r. nadsyłała tam korespondencje z Rzymu, gdzie akurat przybyli, niezależnie od siebie, zaprzyjaźniony z nią Adolf Nowaczyński oraz Mieczysław Grydzewski, redaktor rywalizujących z „Prosto z Mostu" „Wiadomości Literackich". Spotkali się na śniadaniu, na które zaprosił ten ostatni:

Poznałam go kiedyś w Warszawie, lecz tę krótką chwilę jedynego spotkania zasłonił niezapomniany obraz, gdy po raz pierwszy pokazano mi go na ulicy. „Patrz, Grydzewski!" – i zobaczyłam ciemno ubranego pana, jak ciągnięty na wyprężonej smyczy przez dwa potężne psy, rwał w pędzie przed Zachętą. Teraz był czarującym gospodarzem, dolewał zimnego Orvieto i kusił.

– Może by pani napisała do „Wiadomości Literackich" o wizycie Hitlera?

[...] Przekorny Ada [Nowaczyński] z góry cieszył się sytuacją: współpracowniczka oenerowskiego „Prosto z Mostu" pisze o Hitlerze do „Wiadomości Literackich" i po swojemu, chichocząc w fettuccine, mówił:

– Niech napisze. W „Wiadomościach Literackich" zawsze dobrze i obiecywał wiarołomnie – ja Stacha [Stanisława Piaseckiego, szefa „Prosto z Mostu"] udobrucham.

Nie wiem, czy to było szlachetne zwycięstwo charakteru czy zwykły strach, ale oparłam się pokusie i reportaż z wizyty Hitlera w Rzymie ukazał się w „Prosto z Mostu".

Wojna przyszła i przeszła i nigdy nic nie wydrukowałam w piśmie pod znakiem centaura, który był dla mojej młodości symbolem obrazoburczego postępu. Nie ma ucieczki od przeznaczenia. Znowu pisuję w piśmie narodowym, patriotycznym, katolickim, wobec którego blednie reakcyjność „Prosto z Mostu". Z nazwy tylko mi coś przypomina, i osobę redaktora skądś pamiętam.

Przywołała to wspomnienie w Londynie w roku 1954.

Upojenie niepodległością

Ale początki „Wiadomości Literackich" wcale nie były łatwe. Z humorem opowiadał Tadeusz Nowakowski, jak pismo postrzegano na Pomorzu, gdzie wszystko, a już na pewno życie, traktowano przed wojną ze śmiertelną powagą i gdzie bardzo nie podobały się „warszawskie humorki i fantazje, smaczki kawiarniane, blagi i blażki, dęte machlojki [...]".

Kolorowe światła ówczesnego stylu życia: narowy Wieniawy, facecje Franca Fiszera, szopki Pikadora, kalambury Hemara, Boyowskie „piekła kobiet" i „dziewice konsystorskie", Słonimskiego kroniki – pretensjonalne lufciki z ul. Złotej na Zachód, na Wellsa i Prousta, nieżyczliwy stosunek do gen. Hallera i Korfantego, beztroskie uśmiechy dla Dnieprostroju, srogie erudycje starocerkiewnych humanistów z kompleksem europejskości, rozmiłowani w Jesieninie Sarmaci ze Świętokrzyskiej, „freudyzmy" p. Krzywickiej, gruczołowe przygody p. Malcer-Sztekkerowej, grzecznościowe recenzyjki-bombonierki dla rasowych aktorek bez talentu i progide'owskich wieszczyków, pocieszne klerkowskie krygi rodzimych tępaków w stronę Swanna, jakobińskie grymasy internacjonałków, wolteriańskie porywy zramolałych hucpiarzy, turystyczne wyprawy wrażliwych pięknoduchów nie tyle na Mont Salvat, co na Mont Pederest, no i te ich jurne opozycje polityczne, dantejskie „dni rekruta", reytanowskie protesty niekonformistów, pojęki pacyfistów, zawsze udobruchane na czas przez pobłażliwego cenzora czy ministra-dobroduszniaka przy staropolskim „bruderszafcie" – nie, to nie był przysmak dla Pomorzan.

I nie tylko dla Pomorzan. Zdaniem Ferdynanda Goetla w „Wiadomościach Literackich", „stworzonych, jak się to mówi, z niczego", „ideę zastąpiło upojenie niepodległością, które się wyrażało swobodą wypowiedzi, śmiałością ataku na świętości przekazane nam przez czasy niewoli, w podejmowaniu zagadnień zaprzątających umysły wolnych od wieków clerków zachodnich. Myślmy i twórzmy, jak gdybyśmy nie byli nigdy w niewoli, a wolni mieć byli po wsze czasy – zdawały się głosić »Wiadomości« przez

eprasa.pl c8c1f3511d

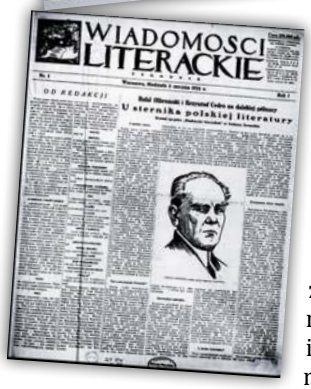

pierwsze dziesięciolecie swego istnienia.

O powodzeniu pisma w tym okresie – suponował Goetel – rozstrzygnął jednakże nie tylko entuzjazm swobodnego słowa, lecz także inteligencja polska żydowskiego pochodzenia, ta sama, która ważyła niezmiernie na powodzeniu książek z zakresu literatury pięknej, z wyłączeniem książek jednego tylko Sienkiewicza. Pojawienie się »Wiadomości« było dla Polaków żydowskiego pochodzenia uwieńczeniem dokonanego przez nich wkładu do polskiej kultury umysłowej, wkładu rozpoczętego przez Juliana Klaczkę i kontynuowanego potem przez Feldmana. Gdy jednak Klaczko i Feldman byli tylko eseistami, w grupie »Skamandra« występowali już poeci Julian Tuwim i Antoni Słonimski, w pobliżu zaś jej znajdowali się Bolesław Leśmian i Józef Wittlin. Pomniejszych zaś był cały tuzin.

Składa się tak, że każde wyobrażenie Żydów w sprawie o szerszym zakresie uważane jest za objaw antysemityzmu. Nikt jednak nie będzie w stanie zaprzeczyć, że swoiste cechy umysłowości żydowskiej, nowinkarstwo, ciekawość, umiejętność szybkiej informacji, odwaga w krytyce i w poruszaniu tzw. spraw drażliwych wycisnęły silne piętno na »Wiadomościach«.

Wielki okres pisma to jego pierwsze 10-lecie. Jeżeli przypomnimy sobie że w roku 1935 umiera Piłsudski, nie opędzimy się myśli, że z chwilą jego śmierci skończyło się poczucie bezpieczeństwa, gwarantujące »Wiadomościom« szeroką swobodę wypowiedzi".

Wszystkiego sam musiał dojrzeć

Polityka polityką, ale redaktorski geniusz objawiać się może w najróżniejszy sposób. Zajmujący się w „Wiadomościach" (i w kraju, i na emigracji) administracją i kolportażem Antoni Borman z pierwszym numerem „Wiadomości Literackich" poradził sobie – jeśli wierzyć Stanisławowi Balińskiemu – następująco: „… zwołał kilkudziesięciu roznosicieli gazet (»gawroszów warszawskich«, jak ich nazywał Słonimski), dał każdemu po 50 egzemplarzy numeru i polecił im »rozbiec się na cztery strony Warszawy« i sprzedawać pismo, gdzie się da. Każdy miał otrzymać procent ze sprzedaży. Roznosiciele chwycili żwawo numery, rozbiegli się na cztery strony Warszawy i sprzedawali »Wiadomości« rzeczywiście, gdzie się da, ale sprzedawali je za ćwierć ceny. Pieniądze przeznaczyli na swoje drobne wydatki i nigdy się w administracji nie zjawili. Ale dokonali rzeczy najważniejszej: rozreklamowali »Wiadomości«. Po kilku tygodniach wiadomo było, że pismo chwyciło".

Trudno w to uwierzyć, ale redakcja „Wiadomości Literackich", tak jak kolejnych wcieleń pisma, składała się zawsze z trzech osób: redaktora, sekretarza redakcji i administratora. Ale tak naprawdę Mieczysław Grydzewski był nie tylko redaktorem, „był też – utrzymywał Wiktor Weintraub – redakcją pisma". „Prawda – pisał Weintraub dalej – formalnie rzecz biorąc, redakcja ta była dwuosobowa. Był również i sekretarz reakcji. Przez długie lata, bo po rok 1936, funkcje te spełniał Broniewski. Mimo tak długoletniej współpracy stosunki między nim a Grydzewskim nie ułożyły się blisko. Grydzewski zwykł mawiać, że Broniewski gardzi nim z pięciu powodów: jako nieszlachcicem, Żydem, cywilem, liberałem i burżujem. Broniewski w redakcji odsiadywał swoje, załatwiał telefony, interesantów, pomagał łamać pismo i robić korekty, ale wyraźnie dawał każdemu do zrozumienia, że go to pismo mało co obchodzi, że to nie jego organ, że on tu tylko odwala pracę zarobkową. Trafiało się, że przychodził do redakcji pijany.

Dlaczego w takim razie Grydzewski takim akurat sekretarzem się obarczył? Bo cenił w Broniewskim znakomitego poetę i wiedział, że jako notorycznemu komuniście niełatwo by mu było zdobyć gdzie indziej stałe zajęcie. A po trosze może i dlatego, że mu w jakiś sposób taki sekretarz odpowiadał. Bo takie już miał usposobienie, że na nikogo obowiązków redakcyjnych nie chciał składać, że wszystkiego sam musiał dojrzeć i dopilnować".

Taki Grydzewski, popularnie Grydzem zwany, był właśnie.

Był postacią mityczną

Za wielki okres redaktorski Grydzewskiego – wywodził Wacław A. Zbyszewski – uważam bez wątpienia lata ukazywania się „Wiadomości Literackich", 1924–1939, kiedy Grydz stał się potęgą nie tylko na terenie warszawskim, ale ogólnopolskim. W czasie wojny – inter arma silent Musae – Grydzewski odegrał niezmiernie zasłużoną rolę. Szlachetną rolę, patriotyczną i polityczną, ale to co innego: można doskonale służyć ojczyźnie, będąc i słabym redaktorem. Broń Boże, nie chcę tej jego roli w czasie wojny pomniejszać, sam z nią gorąco sympatyzowałem i, jak my wszyscy, zdaję sobie sprawę, jaką byłby katastrofą jego powrót do Warszawy pod butem rosyjskim, gdyby Grydzewski uległ syrenim namowom prof. Kota. Mocny charakter i trzeźwość polityczna Grydzewskiego niezmiernie górowały nad urojeniami jego osobistych najbliższych przyjaciół, Tuwima i Słonimskiego, oraz mego najlepszego przyjaciela, Stanisława Mackiewicza, który sobie ubrdał, że wraca do Warszawy „lepić glinę przyszłości", i głosił, że już nie może wytrzymać roli „upiora" na emigracji. Wręcz przeciwnie, to w Warszawie Mackiewicz był upiorem i tylko śmierć nagła uratowała go od więzienia i tortur, a Grydzewski pozostał w Londynie do końca, otoczony troskliwą przyjaźnią i pomocą przyjaciół oraz szacunkiem całej emigracji, z której nikt prawie osobiście go nie znał.

Niejeden Wacław A. Zbyszewski zwracał uwagę na pewien charakterystyczny rys jego osobowości: „Najbardziej był niewątpliwie przywiązany w ciągu ostatnich 30 londyńskich lat swego życia do Sakowskich, u których mieszkał, i do Kossowskich; były to jedyne dwa domy, które raczył odwiedzać, zastrzegając zawsze, że nie wolno nikogo poza nim zapraszać. Edward Raczyński daremnie przez lata zapraszał go do siebie, Grydzewski zawsze odmawiał, chociaż żadnego polityka i dyplomaty nie cenił równie wysoko jako człowieka, jako

eprasa.pl c8c1f3511d

rozum, jako wyczucie literatury, jako wielkopańskość, jako doświadczenie polityczne, jak właśnie Raczyńskiego. »Ale – tłumaczył się i sumitował – już raz tak na zawsze ustaliłem mą regułę odludka, że byłbym w niezgodzie z samym sobą, gdybym miał przyjmować zaproszenia, choćby najbardziej zaszczytne«. Grydzewski przypominał Brianda, który, gdy Piłsudski w Paryżu ofiarował mu, jako premierowi, Białego Orła, odmówił i tego orderu, tłumacząc się: »C'est ma seule virginite« [to moje jedyne dziewictwo]".

Dwoje – to miłe towarzystwo; troje – to nieznośny tłum! – takie było stanowisko Grydzewskiego – twierdził Karol Zbyszewski. – Poszedłem kiedyś ze Stanisławem Mackiewiczem na lunch do Fulmana, zobaczyliśmy w kącie samotnego Grydzewskiego i – bez pytania – przysiedliśmy się do niego. Był jak ocet. Potem mi się zwierzył:

– Bo wie pan, ja się źle czuję w licznym towarzystwie.

Zdumiewająco nikła liczba ludzi znała Grydzewskiego, chociażby tylko z widzenia, w Londynie. Był postacią mityczną. Nigdy nie chodził do Ogniska. Nie widziano go nigdy na żadnej akademii, na żadnym obchodzie, na żadnym polskim przedstawieniu.

Całe dnie spędzał w czytelni British Museum. Tam też prowadził rozmowy i jednoosobowo (!) redagował drugie, obok paryskiej „Kultury", najważniejsze pismo polskiej powojennej emigracji.

Redaktorskie smutki

Jan Rostworowski tak go zapamiętał: „Był średniego wzrostu i średniej tuszy, głowę miał jajowatą, nogi zdaje się raczej krótkie, piszę »zdaje się«, bo widywałem go prawie zawsze siedzącego przy biurku. Na palcach rąk, szczupłych i ładnych, malutkie kępki włosów, które dłoniom nadawały charakter atletyczny. W istocie były chyba nieporadne, technicznie – wyobrażam sobie – do luftu. Podobno kiedyś uprawiały taternictwo, lecz ich wtedy nie znałem. Najpiękniejsze miał Grydzewski oczy, duże, brązowe, z lekko opalizującymi białkami, którymi patrzył na trzy sposoby: albo kiedy był podniecony lub coś tłumaczył, trochę się nimi na człowieka wyłupiał, albo były to oczy wierne i trochę smutne, przysłowiowe oczy spaniela, które się na człowieku kładą, albo wreszcie kryły się pod powieki, bo zanosiło im się na ćwierć uśmiechu. Grydzewskiego nigdy nie widziałem w uśmiechu pełnym, a zanoszącego się śmiechem, ryczącego, kulającego się od nadmiaru radości nie potrafiłbym sobie wyobrazić. Oczywiście nigdy – poza ostatnim rokiem szpitala – nie widziałem Grydzewskiego w smutku".

Stefania Kossowska i Mieczysław Grydzewski

FOT. ARCHIWUM EMIGRACJI. UNIWERSYTET MIKOŁAJA KOPERNIKA W TORUNIU

Niestety, powodów do smutku mu nie brakowało. Nie tylko zdrowotnych. Starzeli się zarówno czołowi autorzy „Wiadomości", jak i ich czytelnicy. „Niepowetowaną stratę – czytamy we wstępie Rafała Habielskiego – stanowiła samobójcza śmierć Jana Lechonia (8 czerwca 1956 r.), a także o tydzień późniejszy powrót do kraju Stanisława Mackiewicza, od jakiegoś czasu zresztą niepisującego w »Wiadomościach«. Inne były podobnie dotkliwe – w 1955 r. zmarł Stanisław Stroński, niedługo później Herminia Naglerowa, w latach 60. – Antoni Borman, Aleksander Bregman, Stefan Badeni, Andrzej Bobkowski, Jan Bielatowicz, Ferdynand Goetel, Rafał Malczewski, Zygmunt Nowakowski, Sergiusz Piasecki, Jerzy Stempowski (związany przede wszystkim z »Kulturą«, ale pisujący do »Wiadomości«), Kazimierz Wierzyński oraz Stefania Zahorska". Na to wszystko nakładała się rywalizacja z paryską „Kulturą" Jerzego Giedroycia, pismem ocenianym – czytamy – „jako aktualniejsze i »bliższe zagadnień krajowych«". Już w 1957 r. Stanisław Cat-Mackiewicz w pisanym w kraju liście do Michała K. Pawlikowskiego orzekł, że „Wiadomości" to „cuchnący nieboszczyk", a „wszyscy bardzo żywo interesują się »Kulturą«". „Spostrzeżenia tego typu – pisze Rafał Habielski – bez względu na ich zgodność z stanem faktycznym, nie pozostawały bez następstw".

Ale „Wiadomości" miały swój okres bohaterski, w latach 1943–1944, zakończony zamknięciem pisma w lutym 1944 r. Solą w oku stały się wtedy dla polskiego rządu i dla angielskich aliantów, podówczas gorliwych sojuszników Stalina. A dla „Wiadomości" Sowieci byli wciąż zaprzysięgłymi wrogami Polski, do tego po odkryciu mogił katyńskich winnymi jednej z największych zbrodni toczącej się wojny. Polskim czytelnikom pisma taka bezkompromisowa postawa redakcji musiała się podobać, ale w tamtych warunkach o wszystkim decydował przydział papieru, którego nagle w Anglii dla „Wiadomości" zabrakło. Pismo reaktywował Grydzewski dopiero po dwóch latach.

Można zastanowić się nad tym, czy linia programowa „Wiadomości", najogólniej rzecz biorąc – ortodoksyjnie niepodległościowa, wynikała z rzeczywistych przekonań Mieczysława Grydzewskiego czy brał on pod uwagę, po prostu, zapotrzebowanie swoich czytelników. A wydawał przecież pismo dla wojennej emigracji, tej, która utraty Lwowa i Wilna nie chciała przyjąć do wiadomości, dla której polscy komuniści byli sowieckimi pachołkami, a jakakolwiek z nimi współpraca niedaleka była od zdrady narodowej. Tak też uważał ten syn Jakuba i Cecylii z Beudelschów, doktor nauk filozoficznych, znakomity redaktor, patriota polski: Grydz.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Prezydent Andrzej Duda przed pomnikiem poświęconym żołnierzom Ukraińskiej Republiki Ludowej, walczącym w wojnie 1920 r. jako sojusznicy Wojska Polskiego, cmentarz prawosławny na warszawskiej Woli, 2021 r. FOT. JAKUB SZYMCZUK/KPRP

Książka miesiąca / Polacy i Ukraińcy w historii

Nie ma złych narodów

Ukraińcy" Piotra Zychowicza to kolejna książka w cyklu „opowieści niepoprawne polityczne". Złożona z artykułów i wywiadów drukowanych w „Historii Do Rzeczy", a także tekstów nigdy wcześniej niepublikowanych, mówi o relacjach polsko-ukraińskich, głównie w XX w. Publikacja na czasie, wręcz lektura obowiązkowa.

We wstępie Piotr Zychowicz robi ważną uwagę: w Polsce o Ukraińcach mówi się „od ściany do ściany". Albo przedstawia się ich jako rezunów z siekierami do mordowania Lachów, albo nieszczęsne ofiary polskiego kolonializmu, imperializmu i nacjonalizmu. Obie te skrajności są autorowi najzupełniej obce. Zychowicz zwraca uwagę, że na konflikcie polsko-ukraińskim, korzystała zawsze od XVII w. Rosja. Ale historia polsko-ukraińska to także współpraca – jak w wyniku paktu Piłsudski-Petlura. Niestety, zapisana także nieudanymi szansami (niezrealizowana unia hadziacka) na przeciwstawienie się wspólnemu wrogowi – Rosji.

Książkę otwierają wywiady Zychowicza z najlepszymi znawcami relacji polsko-ukraińskich, zarówno Polakami, jak i Ukraińcami. W XIX w. nie mówiono o Ukraińcach, lecz o Rusinach. Profesor Jarosław Syrnik wyjaśnia, że termin „Ruś" Rosja zawłaszczyła. Aby uwolnić się od rosyjskich wpływów, odciąć się od skojarzeń z Rosją, działacze ukraińskiego odrodzenia narodowego postanowili przyjąć nazwy „Ukraina" i „Ukraińcy".

Profesor Jan Jacek Bruski przypomina, że pomimo traktatu ryskiego, będącego zdradą sojusznika, Wojsko Polskie po cichu wspomagało ukraińskich żołnierzy, którzy postanowili podjąć jeszcze jedną próbę walki o Ukrainę, dostarczając broń, amunicję i wyposażenie. Po przewrocie majowym umożliwiono w Polsce działalność tajnego Ukraińskiego Sztabu Wojskowo-Powstańczego przygotowującego plan wojny niepodległościowej przeciw Rosji Sowieckiej, a Józef Piłsudski, jak wynika z ustaleń historyka Rafała Potockiego, rozważał nawet atak na sowiecką Ukrainę. Okoliczności sprzyjały, zdesperowani wielkim głodem i terrorem Ukraińcy i Polacy oczekiwali przyjęcia wyzwolicieli. Gdyby nadeszli, poparliby ich powstaniem. Szansa nie została wykorzystana. Zamiast tego były pakt o nieagresji z Sowietami i haniebne cenzurowanie wiadomości o wielkim głodzie oraz milczenie w sprawie tragedii, także Polaków, na sowieckiej Ukrainie.

Grzegorz Motyka mówi autorowi, że nie zgadza się z ukraińskimi historykami, którzy uważają zbrodnie na Wołyniu za sprawę spontanicznego działania ukraińskich chłopów, mszczących się za krzywdy, a UPA dopiero później przyłączyła się do zbrodniczego dzieła. Akcja wytępienia ludności polskiej została zaplanowana przez UPA. Motyce nie są znane przykłady spontanicznej napaści Ukraińców na polskich sąsiadów. Historyk zauważa bardzo ważną rzecz: sprawcami zbrodni było ok. 45 tys. Ukraińców, a to był zaledwie niecały 1 proc. ludności ukraińskiej Wołynia i Galicji Wschodniej. Nie można zapominać, co podkreśla Zychowicz, o ukraińskich sprawiedliwych, ratujących Polaków, którym poświęcił swoją książkę Romuald Niedzielko. W 500 miejscowościach, których los badał, UPA zabiło 20 tys. Polaków. Dzięki „aktom sprawiedliwości i miłosierdzia" Ukraińcy uratowali ponad 2,5 tys. Polaków. Niektórzy z tych sprawiedliwych zapłacili za to własnym życiem.

Odnosząc się do masakry ludności polskiej na Wołyniu i w Galicji Wschodniej, Piotr Zychowicz mocno akcentuje, że nie wolno obwiniać za takie tragedie (w książce jest mowa także o zbrodniach popełnionych przez Polaków) całych narodów i społeczeństw. Są natomiast dobrzy i źli ludzie. Nie można o tym zapominać, gdy za kilka miesięcy będziemy obchodzić 80. rocznicę zbrodni wołyńskiej. Inaczej wygrają na tym Rosjanie.

© ℗ *Tomasz Stańczyk*

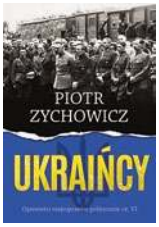

PIOTR ZYCHOWICZ
„UKRAIŃCY. OPOWIEŚCI NIEPOPRAWNE POLITYCZNIE"
REBIS

eprasa.pl c8c1f3511d

Reportaż z Dzikich Pól

Rok mija od chwili, gdy Rosja rozpętała istny armagedon na skalę nieznaną w Europie od zakończenia drugiej wojny światowej. Tysiące zbrojnych, z czołgami, samolotami i rakietami, uderzyło na Ukrainę, siejąc śmierć i zniszczenie, rabując i gwałcąc, łamiąc prawa ludzkie i Boskie. Tam, skąd Rosjan wyparli Ukraińcy, zostały ruiny domostw, szpitali, szkół i fabryk, trupy na poboczach lub w masowych grobach, ze śladami tortur i związanymi rękami. Wśród ofiar – dzieci i kobiety okrutnie maltretowane przed śmiercią.

O okropnościach Buczy i Mariupola pisze również Anna Reid, brytyjska dziennikarka i historyk w zakończeniu swej książki łączącej dwa reportaże – pisane w latach 2000 i 2014. Obydwa mają zarazem charakter eseju historycznego. Będące trzecią częścią jej książki zakończenie dopisała latem 2022 r. Trudno wymagać, by ta dojrzała kobieta (ur. 1965) podążała dziś na front śladami reporterów wojennych, którzy na miejscu odkrywają skutki rosyjskiej agresji. Świadectwo z kijowskiego dworca kolejowego lub ze lwowskiej „księgarniokawiarni" obrazu działań wojennych i okupacyjnych akurat nie wzbogaci o nowe fakty. Ważne jest co innego.

Otóż komentatorom zachodnim, nawet nieskorym dotąd do krytykowania Moskwy za zbrodniczą, imperialną politykę – zarówno obecną, jak i w przeszłości – jakby łuski opadły z oczu. Wśród ich świadectw obszerna książka Anny Reid jest tego doskonałym potwierdzeniem. Zachodniemu czytelnikowi daje nareszcie rozeznanie, z czym tak naprawdę ma dziś do czynienia na przestronnych ukrainnych obszarach Europy Środkowo-Wschodniej. Dowiaduje się też po raz pierwszy, jakich przyczyn jest to skutkiem. Nasuwa się rzecz jasna pytanie o korzyści, jakie może z „Pogranicza" czerpać polski czytelnik.

Otóż ciekawie i z talentem napisane reportaże – zwłaszcza ten sprzed 20 lat – przypominają, jak wówczas, wydawałoby się niedawno, wyglądał ów region. I jak Ukraina zmienia się od Majdanu i prezydentury Zełenskiego. Natomiast opis niektórych wydarzeń historycznych związanych z Polską jest – delikatnie mówiąc – niepełny. Dotyczy to Królestwa Polskiego zarówno czasów Kazimierza Wielkiego, jak i Rzeczypospolitej szlacheckiej, wyprawy Piłsudskiego na Kijów czy – co szczególnie boli – rzezi wołyńskiej. ©℗

Maciej Rosalak

ANNA REID
„POGRANICZE. PODRÓŻ PRZEZ HISTORIĘ UKRAINY"
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Etnograf Piłsudski

Zajmująco napisana biografia Bronisława Piłsudskiego. Brat Józefa trafił na zesłanie na kraniec Syberii. I tak, zamiast zostać prawnikiem, stał się wybitnym etnografem. Jak podkreśla Przemysław Słowiński, Piłsudski nie ograniczył się do badania szkiełkiem i okiem kultury Ajnów i Gilaków, swoją drogą pionierskiego wykorzystując aparat fotograficzny i fonograf. Starał się o poprawienie ich losu, zapewnienie edukacji, lepszych źródeł utrzymania. W cieniu jego i prac na Syberii zostają badania kultury ludowej Skalnego Podhala, o czym przypomina autor. ©℗ ***(t.s.)***

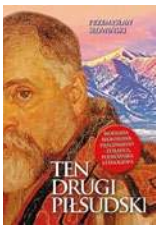

PRZEMYSŁAW SŁOWIŃSKI
„TEN DRUGI PIŁSUDSKI. BIOGRAFIA BRONISŁAWA PIŁSUDSKIEGO – ZESŁAŃCA, PODRÓŻNIKA I ETNOGRAFA"
ZONA ZERO

TOMASZ BALBUS
„PODPUŁKOWNIK LUDWIK MARSZAŁEK »ZBROJA«"
IPN

JEDEN Z NIEZŁOMNYCH

Biografia Ludwika Marszałka, oficera WP, komendanta dębickiego obwodu AK. Działał w antykomunistycznym podziemiu, organizował Zrzeszenie WiN na Rzeszowszczyźnie, później budował struktury WiN na Dolnym Śląsku. Aresztowany na skutek zdrady, był nieludzko torturowany, stracił słuch. W wyroku napisano, że był utalentowany i zdolny, mógłby przyczynić się do odbudowy Polski. Został rozstrzelany w 1948 r. ©℗ ***(t.s.)***

PIOTR SKWIECIŃSKI
„KONIEC RUSKIEGO MIRU? O IDEOWYCH ŹRÓDŁACH ROSYJSKIEJ AGRESJI"
TEOLOGIA POLITYCZNA

ZMIERZCH MIRU

Jak Rosjanie tłumaczą sobie napaść na „bratni" (ponoć) naród? Jak daleko w głąb historii sięgają, by czerpać „siły moralne" w „świętej wojnie" przeciwko Zachodowi? Jak zlepiono oficjalną kremlowską opowieść łącząca kult carów z podziwem dla czerwonych rządów? Odpowiedzi udziela Piotr Skwieciński – jeden z najlepszych polskich znawców Rosji (m.in. korespondent w Moskwie). ©℗ ***(p.w.)***

LECH KOŃCZAK
„TBILISI. O GRUZJI, LUDZIACH I DZIEŁACH"
MIĘDZYNARODOWE CENTRUM KULTURY

GRUZJA DALEKA I BLISKA

W esejach znawcy wielowiekowej historii, kultury i obyczajów Gruzji poznajemy dumny naród i jego niezrozumiałe przywiązanie do Rosji w XIX w. Bolszewickich katów ze Stalinem i Berią, których pamięć odrzuca większość Gruzinów, ale mniejszość ją pielęgnuje. Analogie do polskiej pamięci widać w tbiliskim panteonie, gdzie obok siebie złożono ofiary i oprawców. Znakomita lektura. ©℗ ***(m.r.)***

eprasa.pl c8c1f3511d

Jan Matejko „Zjazd królów Jagiellonów z cesarzem Maksymilianem pod Wiedniem" FOT. WIKIPEDIA/MATHIASREX

Orzeł i Międzymorze

Ta książka powinna być obowiązkową lekturą dla 200 mln ludzi. Tyle liczy populacja regionu zwanego Międzymorzem, a od niedawna także Trójmorzem. Tutejsze narody żyją obok siebie od niepamiętnych czasów. Ale czy rozumieją, jak wzajemne sąsiedztwo ukształtowało nasze kultury i języki? W tej książce historia poszczególnych nacji zazębia się ze sobą, śledzimy dzieje narodów Międzymorza układające się w jedną całość.

Słynny czeski pisarz Milan Kundera powiedział kiedyś o Europie Środkowo-Wschodniej, że jest to miejsce, gdzie istnieje „maksimum różnorodności na minimum przestrzeni". Doskonale widać to w książce prof. Roszkowskiego. Międzymorze to istna mozaika kultur, języków i tradycji, której próżno szukać w takim natężeniu na zachodzie naszego kontynentu. Elementem łączącym je jest oczywiście chrześcijaństwo, z którego wszyscy tu wyrośliśmy. To właśnie rozwojowi wiary w Jezusa Chrystusa prof. Roszkowski poświęca wiele miejsca w swojej książce. Choć nasze narody chrzest przyjmowały z różnych kierunków, to jednak zbudowanie wspólnego chrześcijańskiego kodu pozwoliło na stworzenie m.in. wielkiego jagiellońskiego projektu, który stał się fenomenem w tej części Europy.

WOJCIECH ROSZKOWSKI
„ORZEŁ, LEW I KRZYŻ"
BIAŁY KRUK

Ta książka opowiada jednak nie tylko o wielkiej polityce i wynikających z niej ciągłych zmianach granic, lecz także o rozwoju kultury. Wiele tu ciekawych historii o nieznanych szerzej w Polsce pisarzach, poetach i muzykach, którzy byli odpowiednikami naszych Mickiewiczów i Chopinów i w decydujący sposób kształtowali kultury naszych bliższych i dalszych sąsiadów z Międzymorza.

Pierwszy tom opowiada nasze wspólne dzieje od zarania aż do początku XX w. Polska co i rusz pojawia się na jej kartach, uzmysławiając czytelnikom, jak dużą rolę nasze elity odgrywały przez setki lat na terenie Międzymorza. Projekt jagielloński obejmował przecież prawie całą dzisiejszą wschodnią flankę NATO! To właśnie w kontekście całościowej opowieści o dziejach Międzymorza najlepiej można zrozumieć ówczesną wagę państwa polskiego. Nasi władcy stanowili punkt odniesienia dla narodów, które dziś chcą tworzyć Trójmorze. Narody międzymorza zbyt często jczują się „ubogimi krewniakami" społeczeństw „starej unii". Okazuje się, że niepotrzebnie. ©℗

Piotr Włoczyk

Bogactwo Jerozolimy

Znakomity brytyjski historyk potrzebował blisko 600 stron, by opisać jej dzieje. Czy to dużo? To zależy od perspektywy. Jeżeli weźmiemy pod uwagę to, że ludzie mieszkają na terenach Jerozolimy już od 5 tys. lat i przez ten czas w mało którym miejscu na ziemi działo się więcej, to należy uznać, że Montefiore jest mistrzem zwięzłego pisarstwa.

Trzeba być naprawdę genialnym erudytą, by porwać się (z sukcesem!) na opowiedzenie najważniejszych rozdziałów historii miasta, które tyle widziało i odegrało tak kluczową rolę w historii świata. Trudno się nie zgodzić z opinią krajana Montefiorego, słynnego Benjamina Disraelego, który stwierdził: „Widok Jerozolimy jest historią świata; jest czymś więcej, jest historią nieba i ziemi". I rzeczywiście, od króla Dawida w tym świętym mieście przecinają się dwie rzeczywistości: niebiańska i nasza ziemska. Dużym wyzwaniem byłoby opowiedzenie dziejów Jerozolimy z czasów Jezusa Chrystusa. Bogata mieszanka kultur i cywilizacj po prostu oszałamia. „Historia Jerozolimy jest historią świata, ale również kroniką ubogiego, często prowincjonalnego miasta leżącego wśród judejskich wzgórz. Jerozolima była niegdyś uważana za środek świata, a dzisiaj jest to bardziej prawdziwe niż kiedykolwiek" – pisze Montefiore. Wygląda na to, że nie ma w tym zbyt wiele przesady. ©℗

(p.w.)

SIMON SEBAG MONTEFIORE
„JEROZOLIMA. BIOGRAFIA"
ZNAK HORYZONT

eprasa.pl c8c1f3511d

Portugalski mąż stanu

Druga wojna światowa była konfliktem z udziałem wielu krajów europejskich. Niewielu udało się uniknąć wzięcia w nim udziału, choć nie było to rzeczą łatwą. Do tego grona należała m.in. Portugalia. Rządzący nią premier António de Oliveira Salazar włożył wiele wysiłku, aby wyznaczony przez niego kurs polityki neutralności mógł zostać utrzymany. Ambasador Portugalii w Madrycie Pedro Teotónio Pereira tak owe działania przedstawiał szefowi dyplomacji Hiszpanii hrabiemu Francisco Gomezowi Jordanie: „Również w Portugalii dużo ludzi nie rozumie, że nasza neutralność jest zadaniem, które podejmuje się co 24 godziny. Każdego dnia pojawiają się powody i wypadki, które mogą ją uczynić niemożliwą, i nigdy nie ma pewności, czy te z dnia jutrzejszego zostaną rozwiązane tak, jak te z wczoraj".

Polityka neutralności była pokłosiem przemyśleń portugalskiego premiera uznającego ówczesny kształt państwa za optymalny. Salazar nie widział potrzeby pozyskiwania czy zdobywania jakichkolwiek nowych terytoriów. Za tą konstatacją szło przekonanie, że Lizbona na udziale w wojnie nie może nic zyskać, a tylko ewentualnie stracić. Zły stan portugalskich sił zbrojnych także stanowił poważny argument na rzecz nieuczestniczenia w wojennym konflikcie. Utrzymanie neutralności powiodło się z jednej strony dzięki biegowi wydarzeń wojennych, a z drugiej dzięki zręcznej „partii szachów" na arenie międzynarodowej, którą rozegrał premier Estado Novo (Nowe Państwo – nieoficjalna nazwa po wprowadzeniu konstytucji 1933 r.). Jej fundamentem były relacje z Madrytem. Salazar w momencie wybuchu wojny domowej w Hiszpanii w 1936 r. podjął decyzję o wsparciu wojskowej rebelii gen. Francisco Franco. Jedną z przyczyn takiej decyzji była, oprócz pewnej wspólnoty ideologicznej, świadomość niebezpieczeństwa zamachu grożącego władzom Portugalii ze strony rządów republikańskich. Ta pomoc okazała się nader ważna w 1940 r., kiedy toczyła się gra o zachowanie neutralności przez Hiszpanię.

Przejście tego kraju do obozu państw Osi, na co początkowo Franco miał ochotę, pociągnęłoby za sobą wciągnięcie w wojnę Portugalii – czy poprzez konieczność przystąpienia do niej po stronie państw Osi, czy też poprzez konieczność odparcia inwazji hiszpańskiej, która niechybnie mogła w takiej sytuacji nastąpić, gdyby Lizbona zamierzała tkwić w postawie probrytyjskiej neutralności. Portugalia dzięki dobrym relacjom z Madrytem stała się swoistym pomostem pomiędzy swym brytyjskim sojusznikiem a Hiszpanią zastanawiającą się nad wyborem kierunku polityki zagranicznej. Salazar z pewnością był jednym z tych, który starał się wpłynąć na generalissimusa, by ten zajął neutralną postawę w wojennym konflikcie. I ta sztuka się udała. Naturalnie sugestie premiera nie były jedynym czynnikiem, który przyczynił się do podjęcia przez Franco decyzji ogłaszającej neutralność.

Należy pamiętać również, że Salazar wykazał się kunsztem negocjacyjnym podczas rozmów na temat zezwolenia Brytyjczykom na posiadanie baz wojskowych na Azorach. Zdecydowany w popieraniu Londynu w wojnie z III Rzeszą premier był jednocześnie krytykiem polityki Wielkiej Brytanii i USA wobec ZSRS. Jako antykomunista zagrożenie sowiecko-komunistyczne traktował bardzo poważnie. Polityką prowadzoną w latach 1939–1945 zyskał sobie uznanie w świecie. Frank Roberts, który negocjował z Salazarem kwestię baz na Azorach, tak go oceniał: „Postawa Salazara w ciągu wojny była cechą wielkiego męża stanu i pomogła w naszym wysiłku wojennym… Okazał się mądrym, odpowiedzialnym i godnym zaufania sojusznikiem, który zasłużył sobie na uznanie ze strony Churchilla i Edena". ©℗ ***Arkadiusz Karbowiak***

BARTOSZ KACZOROWSKI
„WOJNA SALAZARA. POLITYKA ZAGRANICZNA PORTUGALII W OKRESIE DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ"
WYDAWNICTWO UNIWERSYTETU ŁÓDZKIEGO

HISTORYCZNE BITWY

Pomorze 1185

Książką tą autor kończy tryptyk o podboju Pomorza Zachodniego przez XII-wieczną Danię. Poprzednie dwie – „Konungahella 1135" i „Rugia 1168" – dotyczyły zwycięskiej wyprawy pogańskich Słowian księcia Racibora I na najbardziej znaczący port skandynawski oraz miażdżącej kontry Duńczyków, którzy z pomocą ochrzczonych już książąt pomorskich, pod wodzą bp. Absalona, zniszczyli gniazdo piratów z Arkony na Rugii, obalając słowiańskie bożki Ranów, a ich władcę zmuszając do przyjęcia chrztu i złożenia hołdu duńskiemu królowi Waldemarowi. Absalon, Waldemar i jego (wierny!) lennik książę rański Jaromir organizowali kolejne wyprawy – właśnie na pomorskich braci Bogusława i Kazimierza. Formalnie władali oni lennem polskim, ale od śmierci Bolesława Krzywoustego nie liczono się z tym. Dominowali książę Saksonii Henryk Lew, cesarz Fryderyk I Barbarossa, margrabiowie brandenburscy – spadkobiercy Albrechta Niedźwiedzia. Autor przejrzyście omawia sytuację po konflikcie cesarza i księcia saskiego, rozwiązującym Duńczykom ręce w sprawie Pomorza. Wiedzę czerpie ze źródeł skandynawskich i niemieckich miarodajnie ważąc ich wiarygodność przy opisach kolejnych wypraw duńsko-rańskich. Fascynują desanty płynące Dziwną, Pianą i Świną, ataki na białą broń po ostrzale z łuków, kusz i miotaniu oszczepami. Zwyciężył syn Waldemara – Kanut VI, przyjmując w 1185 r. hołd Bogusława i przyjmując tytuł króla: Rex Danorum et Slavorum. ©℗ ***Maciej Rosalak***

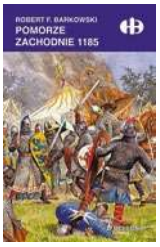

ROBERT F. BARKOWSKI
„POMORZE ZACHODNIE 1185"
BELLONA

eprasa.pl c8c1f3511d

/ Felieton

Wielki powrót bata?

Rafał A. Ziemkiewicz

Cud kapitalizmu, ustroju, który przyniósł ludzkości niewyobrażalny w poprzednich epokach skok cywilizacyjny i technologiczny, a teraz, na naszych oczach, ginie, wyrażał się m.in. tym, że we wprowadzonym przezeń porządku przestała istnieć potrzeba zmuszania ludzi do pracy przemocą. Wydaje mi się, że mało kto sobie dziś z tego zdaje sprawę. Czytam te elaboraty o pańszczyźnie, których się ostatnio namnożyło (próżność podpowiada mi, że musiała mieć ta fala jakiś związek z rynkowym sukcesem mojego „Chama…"), i wszystkie one wypełnione są opisami, jak to się pan pastwił nad chłopem, chłostał, brał w dyby i krzywdził na inne sposoby. Prawie nikt nie zauważa, a jeśli nawet, to ledwie mimochodem, że nie była to ani żadna polska specyfika, ani nawet specyfika stosunków na wsi. Przemoc stanowiła podstawę wszelkich relacji, począwszy od wychowania dzieci (Szymon Konarski wspominał szlachciców, nawet magnatów, którzy zabierali mu uczniów, gdy dowiadywali się, że ich nie bije – bo cóż to za nauka, jeśli nie wbije jej się pejczem?). Także relacji pracownika z… nawet nie można powiedzieć „pracodawcą", raczej „właścicielem" i jego nadzorcami.

> **Własność się zlikwiduje, bo jest nieefektywna – toż prywatny samochód większość czasu stoi, lepiej niech będzie własnością korpo – i tak ma być ze wszystkim…**

Jeśli już ktoś w ogóle to zauważa, to, znowu, wielki krok w dziejach ludzkości, jakim było zastąpienie bata pensją, tłumaczy oświeceniowym humanitaryzmem. To bajka. Oświeceniowe wezwania, by traktować współobywateli po bratersku, nie byłyby skuteczniejsze niż ponawiane od stuleci wezwania Kościoła, by traktować bliźnich niższego stanu z ojcowską miłością, gdyby nie fakt, że dzięki rewolucji przemysłowej praca niewolnicza po prostu przestała się opłacać. Okazała się bowiem mniej wydajna – najlepszym tego dowodem była wojna secesyjna i zwycięstwo opartej na pracy dobrowolnej gospodarki przemysłowej nad niewolniczą. Waldemar Łysiak, bodaj w tym właśnie kontekście, z właściwą sobie dosadnością użył tu porównania do „wyższości" korzystania z prostytutki nad ożenkiem; żonę musisz utrzymywać, a od prostytutki dostajesz, co chcesz, płacisz tylko za to i więcej nic cię nie obchodzi.

Jakichkolwiek metafor używać, obietnica, że dzięki pracy możesz doznać społecznego awansu i zapewnić go potomstwu, otwarcie perspektywy poprawy bytu przez wysiłek stanowiło podstawę sukcesu. Jeszcze w początkach wieku XIX pracowników trzeba było do Ameryki przywozić w kajdanach. Pod koniec tego stulecia cisnęli się już tłumnie sami, tak pełni zapału, by dać się amerykańskim kapitalistom „wyzyskiwać", że trzeba było stworzyć dla nich obóz filtracyjny na nowojorskiej wyspie Ellis, a w wieku następnym otoczyć kraj przed ich naporem drutami kolczastymi i strażą.

Wszystko to wydaje się warte przypomnienia w kontekście wizji snutych dziś na szczytach Davos: „Nie będziesz miał niczego i będziesz z tym szczęśliwy". Własność się zlikwiduje, bo jest nieefektywna – toż prywatny samochód większość czasu stoi, lepiej niech będzie własnością korpo, i, wynajmowany, jeździ stale; i tak ze wszystkim. No i, nie ma co ukrywać, trzeba drastycznie obniżyć poziom życia, bo „nie mamy planety B".

Tylko, jak wiemy w naszej części świata, jak wszystko jest wspólne, a perspektyw żadnych, odwieczny problem, „jak zagonić klasy pracujące do pracy", powraca. A jego rozwiązanie jest, niestety, tylko jedno… ©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

/ Felieton

Szwajcarski kozioł ofiarny

Piotr Semka

/ Co by było, gdyby Lenin rozkazał Fritzowi Plattenowi zapisać się do Czeka i rozwalać wieczorami seryjnie kontrrewolucjonistów? Czy odmówiłby?

W niezwykle cennej książce Piotra Skwiecińskiego „Koniec ruskiego miru" zawarta jest niezwykle poruszająca historia. Jej bohaterem jest Szwajcar Fritz Platten, syn stolarza, ślusarz i socjalista. Włodzimierza Lenina poznał w czasie jego pobytu na emigracji w Zurychu. Jako młody szwajcarski socjalista zafascynował się rosyjskim rewolucjonistą i był mu wierny do końca. To on pośredniczył w staraniach o umożliwienie przejazdu grupy bolszewików przez Niemcy „w zaplombowanym wagonie" do Szwecji i dalej, do Rosji. Szybko zresztą sam wybrał się do Moskwy, uważając, że tam wykuwa się nowy lepszy świat. Na chwilę wrócił do swojej górzystej ojczyzny, gdzie namówił ok. setki szwajcarskich robotników, aby wyjechali do Rosji i stworzyli tam wzorcową komunę socjalistyczną. Przywiózł też do Rosji swoich 80-letnich rodziców.

Komunę stworzono na największej z głębokich prowincji pod Syznaniem. To wzorcowe gospodarstwo komunistyczne, które miało uczyć rosyjskich chłopów technik uprawiania roli i rzemiosła, zostało nazwane Solidarność. Po pewnym czasie władze sowieckie uznały, że taka wzorcowa komuna bardziej przydatna będzie pod Moskwą, aby wozić do niej zagraniczne wycieczki. A jednak z czasem Lenin umarł i zastąpił go Stalin, który do bliskich znajomych Włodzimierza Lenina z emigracji nie miał zbytniego sentymentu. W 1938 r. w ramach wielkich czystek NKWD zajęło się też Fritzem Plattenem. Nie został jednak rozstrzelany, a dostał jedynie cztery lata więzienia z zarzutem przechowywania nielegalnej broni, choć chodziło jedynie o pamiątkowy pistolet z zamierzchłych czasów.

Jak dywaguje Piotr Skwieciński, o stosunkowo łagodnym wyroku zadecydować mogło wszystko. Może „odpowiedni rodzaj wzruszenia ramion" albo zdarzająca się chęć Stalina, by czasami „okazać łaskę komuś zupełnie już bezbronnemu, którego nie sposób już byłoby uznać za rzucających mu wyzwanie". Ale, jak się okazało, nawet po odsiedzeniu tych czterech lat szczęście przeszło obok Fritza Plattena jakoś bokiem. W 1942 r., gdy minął już czteroletni wyrok, wyprowadzono go poza teren łagru w krzaki i w tych krzakach wsadzono mu kulę w potylicę na ustne polecenie komendanta obozu.

Dlaczego tak się stało? Pewien trop stanowi data rozstrzelania Fritza Plattena. Był to 22 kwietnia 1942 r., czyli akurat data urodzin Włodzimierza Iljicza Lenina. Być może Platten opowiadał zbyt często współwięźniom o swojej przyjaźni z Włodzimierzem Iljiczem. A być może komendant obozu uznał, że to jakiś absurd, gdy osobisty przyjaciel Lenina – symbolu sowieckiej władzy – był jednocześnie uwięzionym w łagrze wrogiem władzy ludowej. I komendant postanowił rozwiązać ten dysonans poznawczy, rozkazując wpakować 10 g ołowiu w potylicę szwajcarskiego idealisty.

Oczywiście cała absurdalność tej sytuacji doskonale obrazuje logikę stalinizmu. Każda taka egzekucja była przypomnieniem, że ci, którzy wspierali rewolucję w jej pierwszych latach, gdy masowo rozstrzeliwano „burżujów", popów i białogwardyjskich oficerów, uważali to wtedy za reguły historii. A kiedy Stalin zabrał się już do nich, to nie istniały żadne mechanizmy, które by ich chroniły przed dokładnie taką samą dowolnością zabijania. Zastanówmy się, co by było, gdyby Lenin rozkazał Fritzowi Plattenowi zapisać się do Czeka i rozwalać wieczorami seryjnie kontrrewolucjonistów? Czy odmówiłby? Czy zwolniłby się po pewnym czasie i poprosił wodza ewolucji o możliwość powrotu do swojej zacisznej Szwajcarii? Los darował mu takich dylematów. Pozwolił mu aż do 1938 r. prowadzić kołchoz Solidarność. Ale potem już litościwość opatrzności się skończyła. Być może i tak trwała bardzo długo. ©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

1945–1991 / Na sowieckiej Litwie, Białorusi i Ukrainie

Poczet niezłomnych Kresowiaków

Tomasz Stańczyk

Walczyli o wiarę, polskość i dziedzictwo naszej kultury i historii, przeciw rusyfikacji i ateizacji

Po barbarzyńskim niszczeniu grobów żołnierzy Armii Krajowej, poległych w walce z niemieckim i sowieckim totalitaryzmem, uwaga reżimu Łukaszenki, prześladującego polskość i jej materialne świadectwa, spoczęła na kościele w Sołach pod Smorgoniami na Grodzieńszczyźnie – na tej ziemi co czwarty mieszkaniec jest Polakiem. W kościele w Sołach znajdują się dwa malowidła ścienne: „Obrona Jasnej Góry" i „Cud nad Wisłą". Ten drugi obraz – jak informuje telewizja Biełsat – stał się celem Łukaszenkowskiej propagandy. Oburzenie reżimowej telewizji wywołało to, że malowidło przedstawia „zabójstwo żołnierzy sowieckich". A sowiecka Armia Czerwona jest czczona i przez władze białoruskie, i rosyjskie. Obraz „Cud nad Wisłą" przedstawia zmagania z totalitaryzmem rosyjskim, nic więc dziwnego, że ludzie Łukaszenki domagają się jego zamalowania. To żądanie jest kontynuacją polityki sowieckiej – w latach komunistycznych „Cud nad Wisłą" był zamalowany. Nie wiadomo, czy uda się teraz obronić go przed ponownym zakryciem.

Z kościołem w Sołach związane są losy trojga spośród wielu bohaterów drugiego tomu publikacji IPN „Zostali na Wschodzie. Słownik inteligencji polskiej z ZSRS 1945–1991".

Twórcą malowideł w kościele w Sołach był Piotr Siergijewicz, „białoruski malarz, ukształtowany w duchu polskiej kultury, artysta pogranicza trzech narodów: białoruskiego, litewskiego i polskiego" – czytamy w jego biogramie.

Siergijewicz w 1919 r., podczas wojny z sowiecką Rosją, wstąpił jako ochotnik do Wojska Polskiego. Służba w armii otworzyła mu drogę do studiów

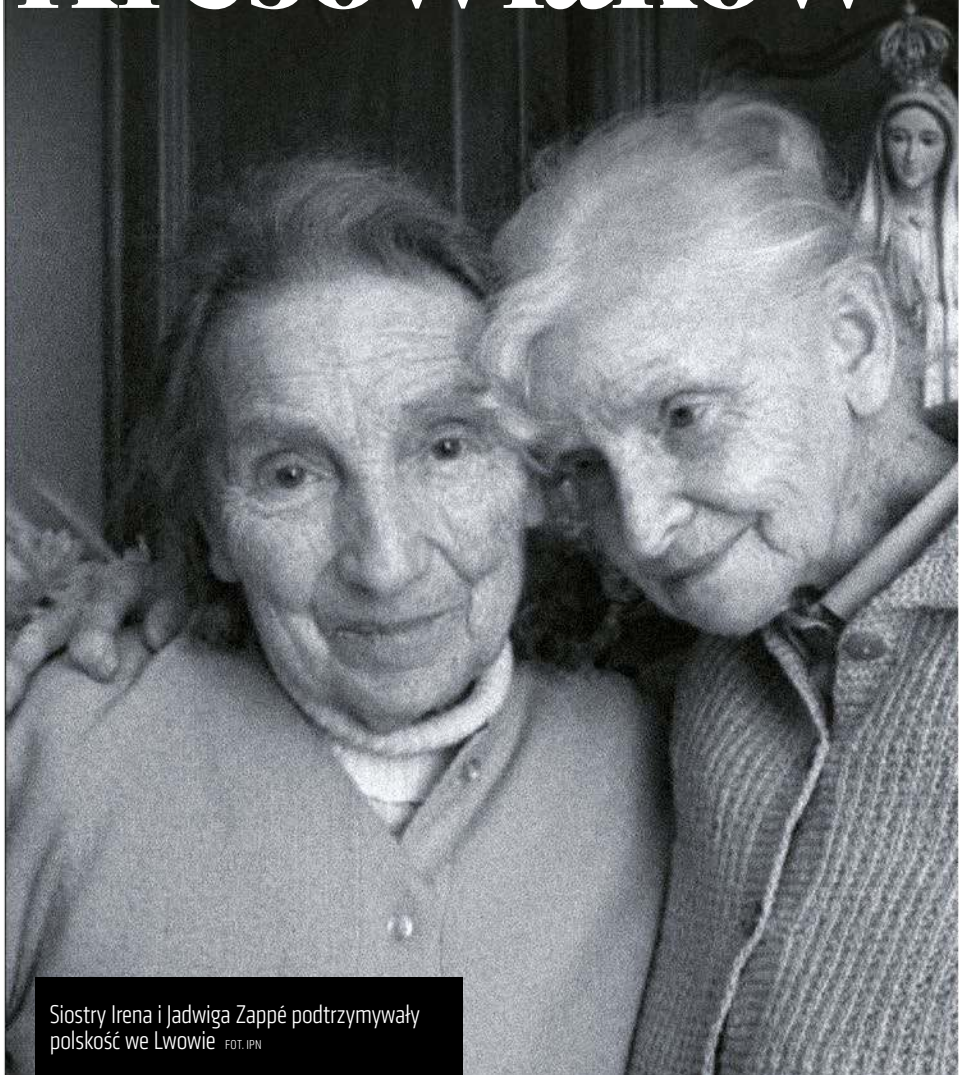

Siostry Irena i Jadwiga Zappé podtrzymywały polskość we Lwowie FOT. IPN

eprasa.pl c8c1f3511d

na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie; był wówczas członkiem białoruskiej organizacji studenckiej. W latach 30. zajmował się sztuką sakralną, malując obrazy dla kościołów katolickich, m.in. właśnie w Sołach (1934). W 1945 r. jego brat i siostra, uważający się za Polaków, wyjechali do Polski. Piotr Siergijewicz został, wykładał w wileńskim Instytucie Sztuk Pięknych. Był głęboko wierzącym katolikiem. Doniesiono, że pod koszulą nosi krzyżyk. Został zwolniony z pracy. Zmarł w 1984 r. w Wilnie.

Katolicy na Białorusi

Z kościołem w Sołach związany był w latach 1968–1982 ks. Józef Marsänger, jezuita. Do wsi Soły trafił na mocy decyzji władz sowieckich, które pozbawiły go możliwości prowadzenia pracy duszpasterskiej w parafii w Krasnem, niedaleko Mińska. Gdy w stolicy sowieckiej Białorusi wszystkie kościoły były zamknięte, wierni przyjeżdżali do Krasnego na msze. Ksiądz Marsänger został przeniesiony z Krasnego do Soł w czasie zabiegów katolików w Mińsku o rejestrację parafii, a władze widziały w tym wpływ i inspirację jezuity. Niezłomny jezuita wysyłał w latach stalinowskich paczki dla więzionych w łagrze kapłanów, udzielał im gościny, gdy wracali z obozów. Jeździł też do Mińska, odwiedzał chorych, by udzielać im sakramentów. Władze sowieckie groziły mu odebraniem prawa do wykonywania posługi duszpasterskiej (i na kilka miesięcy to zrobiły) – za nielegalne nauczanie dzieci religii. W 1964 r. uzyskano zgodę na poświęcenie grobów na cmentarzu Kalwaryjskim w Mińsku, z zakazem odprawiana nabożeństwa. „Zaintonowana przez o. Marsängera pieśń wielkanocna »Wesoły nam dzień dziś nastał«, ze słowami »piekielne moce zwojował«, była śpiewana przez wiernych bardzo głośno i ze łzami w oczach".

Księdzu Marsängerowi pomagała w Krasnem i Sołach koleżanka ze studiów Bronisława Ejsmont, formalnie zakrystianka, a faktycznie katechetka prowadząca naukę religii.

Niedawno, po próbie podpalenia w Mińsku kościoła św. Szymona i Heleny, tzw. Czerwonego Kościoła – oczywiście przez „nieznanych sprawców" – władze białoruskie wykorzystały, niewielkie zresztą, zniszczenia jako pretekst do zamknięcia świątyni, odebrania jej wiernym znów pod pretekstem… remontu. W 1944 r. 16-letnia mińszczanka Anna Niciejewska zaczęła pomagać dwóm księżom pełniącym posługę kapłańską w katedrze i „Czerwonym Kościele". Po ich rychłym aresztowaniu obie te świątynie zostały zamknięte. U kresu Związku Sowieckiego Niciejewska zaangażowała się w tworzenie Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego w Mińsku, a jednym z jego celów było odzyskanie kościoła śś. Szymona i Teresy. W 1990 r., „gdy władze sowieckie ciągle zwodziły katolików, Anna Niciejewska i Edward Terlecki ogłosili strajk głodowy. Protest ten został nagłośniony w wielu krajach świata […]. Dopiero po tej zdecydowanej akcji, trwającej kilkanaście dni, świątynia została zwrócona dawnym właścicielom, czyli Kościołowi katolickiemu". Niciejewska przyczyniła się też do odzyskania (1993) katedry w Mińsku, zamienionej na salę gimnastyczną.

PRACA ZBIOROWA, RED. NAUKOWA: ADAM HLEBOWICZ „ZOSTALI NA WSCHODZIE. SŁOWNIK INTELIGENCJI POLSKIEJ 1945–1991", T. 2
IPN

Obrona wileńskich cmentarzy

Obrona wiary, nielegalne nauczanie dzieci religii przez księży i osoby świeckie były jednocześnie obroną polskości. Słownik biograficzny inteligencji polskiej, która pozostała na Wschodzie – nie tylko zresztą na Kresach Wschodnich, lecz także w Rosji, Kazachstanie, Mołdawii – zawiera również sylwetki wielu osób zaangażowanych w obronę przez zniszczeniem i ochronę zabytków polskiej kultury, głównie kościołów i cmentarzy. Jadwiga Pietkiewicz wybitnie zasłużyła się jako opiekunka i strażniczka polskich grobów na wileńskich cmentarzach. W latach 1965–1995 była kierowniczką cmentarza Bernardyńskiego.

„Najgorsze były dla mnie lata 60. – wspominała w nagraniu dla Ośrodka KARTA. – Wszystkie stare zabytkowe cmentarze tylko polskie były, nie było litewskich. Chodziły bandy, komsomolcy. Szła cała granda po 15 osób przez cmentarz i po drodze przewracali różne krzyże, pomniki, otwierali grobowce, a ja biegłam za nimi, żeby nie dopuścić do tego. Oni mnie nożem grozili nieraz, że mnie tam pochowają, że będę tam razem leżeć, jeżeli nie przestanę ich prześladować". Mimo gróźb nie opuściła wraz z mężem mieszkania przy cmentarzu. Miał być zlikwidowany, zrównany buldożerami, zamieniony w park. Wtedy pani Pietkiewicz z innymi Polakami napisała list do Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego KPZS z informacją, że litewscy komuniści chcą zniszczyć cmentarz, na którym pochowana jest matka Feliksa Dzierżyńskiego. I to pomogło ocalić nekropolię z grobami wielu wybitnych Polaków.

Dewastacja groziła także cmentarzowi Na Rossie. Litewscy komuniści zamierzali w 1988 r. poszerzyć drogę dzielącą Starą i Nową Rossę, co skazywało na zniszczenie wiele grobów znanych Polaków i kwaterę żołnierzy Wojska Polskiego poległych w latach 1919–1920 w walce z Rosją bolszewicką. W protest zaangażowali się dziennikarze: Jerzy Surwiło, autor wielu książek o polskim dziedzictwie kulturalnymi historycznym na Litwie, oraz jego żona, Halina Jotkiałło. Ich akcja spowodowała zaniechanie planów rozbudowy ulicy. Halina Jotkiałło była współzałożycielką Społecznego Komitetu Opieki nad Starą Rossą. „Dzięki działalności komitetu – czytamy w jej biogramie – na najstarszej nekropolii w Wilnie dokonuje się renowacji najbardziej wartościowych pomników, są wskrzeszane zrujnowane nagrobki – okres sowieckiego panowania wyrządził tu ogromne spustoszenia". Pani Jotkiałło patronowała też budowie pomnika Adama Mickiewicza w Wilnie (odsłonięty w 1984 r.), przy którym umieszczono

eprasa.pl c8c1f3511d

w 1997 r. płaskorzeźby z niezrealizowanego na skutek wybuchu drugiej wojny światowej pomnika autorstwa Henryka Kuny. Uratowała też przed zamknięciem Muzeum Adama Mickiewicza w Wilnie.

W sowieckim Lwowie

Dziś w Wilnie Polacy stanowią kilkanaście procent mieszkańców. We Lwowie może jeden procent. Przyczynił się do tego apel Stanisława Grabskiego, przed drugą wojną endeckiego polityka, który w 1945 r. przyjechał do Lwowa jako wiceprzewodniczący opanowanej przez komunistów Krajowej Rady. Grabski wezwał Polaków do „repatriacji". Maria Skierska, przed wojną studiująca na Uniwersytecie Jana Kazimierza matematykę i astronomię, podczas wojny działająca w Armii Krajowej – nie przerwała działalności konspiracyjnej po ponownej okupacji Lwowa w 1944 r. – zdecydowała się pozostać. Wspominała: „A gdyby wtedy nie wyjechało tyle ludzi, toby się nam losy inaczej potoczyły. Ukraina liczyłaby się z Polakami. To byłoby tak jak w Wilnie. I my mielibyśmy jakąś pozycję. On [Grabski – przyp. T.S.] nas tej pozycji pozbawił. Bo jak to tak, to rzeczywiście nagle trzy czwarte miasta opustoszało! A to co zostało, to zostało, trudno powiedzieć, że zastraszone, ale takie stłamszone, takie ugniecione, prawda? I z taką niechęcią miejscowej władzy, że miasto nie wyczyściło się całkiem".

We Lwowie pozostała także doktor Irena Pelczarska. „Jej życiorys to służba, w której harmonijnie splotły się różne elementy: opieka medyczna nad chorymi, starzejącymi się i samotnymi ludźmi, atrakcyjne metody wychowania i kształcenia polskiej młodzieży, opieka nad grobami cmentarzy lwowskich, kierowanie pracami komitetu przy katedrze łacińskiej" – czytamy w biogramie Pelczarskiej. Dom przy Snopkowskiej, w którym zamieszkiwała wraz ze wspominaną Marią Skierską i Janiną Sosabowską (bratanicą gen. Stanisława Sosabowskiego), był oazą polskości, zbierano się tam na śpiewanie kolęd i innych polskich pieśni.

Eugeniusz Cydzik, opiekun cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie FOT. TOMASZ STAŃCZYK

Inną oazą polskości był dom Janiny Jadwigi Zamojskiej, „wyposażony w zabytkowe meble, dzieła sztuki i bibliotekę, stanowił ewenement w sowieckim mieście pozbawionym duszy i tradycji". Pani Zamojska organizowała pomoc w postaci paczek dla Polaków uwięzionych w łagrach, udzielała gościny księżom, którzy wrócili z obozów i więzień, zajmowała się katechizacją polskich dzieci zagrożonych ateizmem i wynarodowieniem, opiekowała się polskimi grobami na lwowskich cmentarzach. „Stała się uosobieniem tradycji swojego miasta. Podziwiano ją za godność, inteligencję i poczucie humoru, nazywano wielką damą polskiego Lwowa".

Misję opieki nad najmłodszymi lwowskimi Polakami podjęły także siostry Irena i Jadwiga Zappé. Przygotowywały je do pierwszej komunii, co było działalnością nielegalną. W 1976 r. były z tego powodu nachodzone, przesłuchiwane i zagrożone więzieniem, ale dzieci mówiły, że panie pomagały im tylko w odrabianiu lekcji. Działalność sióstr nie ograniczała się do nauczania religii: „Były również lekcje historii Polski, organizowano wycieczki do różnych miejsc związanych z polskimi dziejami. Wyjątkowej troski wymagały dzieci ubogie, jakich sporo żyło we Lwowie, a w późniejszych latach też nie brakowało".

Eugeniusz Cydzik, urodzony w Grodnie, obrońca miasta przed Sowietami we wrześniu 1939 r., trafił do Lwowa po uwolnieniu z łagru (trafił do obozu za działalność w Armii Krajowej) i zesłania, gdzie poznał przyszłą żonę. Była lwowianką, również należała do AK. Za czasów sowieckich oboje starali się chronić przez zupełnym starciem z powierzchni ziemi polskie groby i kwatery wojenne z lat wojny 1918–1920 i 1939 r. Po zniszczeniu cmentarza Obrońców Lwowa w 1971 r. zapoczątkowali porządkowanie tej nekropolii, sprzedawali cegiełki na fundusz odbudowy. W 1989 r. Eugeniusz Cydzik należał do współzałożycieli Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi.

eprasa.pl c8c1f3511d

Państwo Cydzikowie dokonali pierwszego upamiętnienia miejsca zamordowania lwowskich profesorów, stawiając w latach 90. drewniany, a potem metalowy krzyż. Eugeniusz Cydzik odszukiwał zaniedbane, ledwo widoczne mogiły polskich żołnierzy poległych w 1939 r. pod Lwowem, starał się – bezskutecznie – o ekshumację poległych po wejściu Armii Czerwonej do miasta i pochowanych na terenie Politechniki i parku Żelazna Woda. „Horpin, Park Żelazna Woda, pomnik w Rzęsnej Polskiej – to są moje sprawy, które ja muszę dokończyć przed odejściem na wieczną wartę. Dużo zrobiono, ale jeszcze więcej zostało".

Słownik biograficzny „Zostali na Wschodzie" nie ogranicza się tylko do obrońców i krzewicieli polskości i jej materialnych świadectw na Kresach Wschodnich, zawiera także biogramy ludzi żyjących i działających na rzecz podtrzymania narodowej tożsamości w Rosji, Kazachstanie i Mołodawii.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Kłopot z Chmielnickim

Tomasz Stańczyk

Bohdan Chmielnicki, przywódca powstania przeciw Rzeczypospolitej, jest niekwestionowanym bohaterem ukraińskim. W rankingu postaci historycznych z zeszłego roku zajął trzecie miejsce, za Tarasem Szewczenką i Łesią Ukrainką, a jako polityk – drugie miejsce, za Wołodymyrem Zełenskim. Ranking został przeprowadzony podczas wojny, którą Rosja wydała niepodległej Ukrainie, i chyba tylko siłą przyzwyczajenia Ukraińców do swojego bohatera narodowego Chmielnicki zawdzięcza tak wysoką pozycję. A przecież ze strony kozackiej był on głównym twórcą ugody perejasławskiej z Rosją z 1654 r., w wyniku której lewobrzeżne ziemie ukraińskie przeszły pod protektorat Moskwy, a faktycznie zostały wcielone do państwa carów. Z polskiego deszczu wpadli Kozacy pod rosyjską rynnę, co sprawił Chmielnicki.

W sierpniu ubiegłego roku wydarzył się w Perejasławiu fakt znamienny: zdemontowano sławiący ugodę z Rosją pomnik „Na zawsze razem". Trudno sobie wyobrazić, by Bohdan Chmielnicki został usunięty z narodowego panteonu, znacznie łatwiej to, że być może Ukraińcy zaczną spoglądać na swojego wielkiego hetmana bardziej krytycznie. Zapoczątkował bowiem proces opanowywania ziem ukraińskich przez Rosję, a to oznaczało zahamowanie rozwoju ukraińskiej tożsamości, a następnie jej tępienie w XIX w., także w latach 30. za czasów sowieckich. Zgodnie z wyznawanym i dziś w Moskwie poglądem, że nie ma odrębnego narodu ukraińskiego.Czas ugody perejasławskiej to także początek wojny, którą wypowiedziała Moskwa Rzeczypospolitej w 1654 r., trwającej aż 13 lat, do zawarcia pokoju andruszowskiego.

Zbrodnie dokonywane przez armię rosyjską podczas obecnej wojny przeciw Ukrainie, m.in. w Irpieniu i Buczy, to nic nowego, raczej jej tradycja. W 1654 r. po zdobyciu Mścisławia nastąpiła masakra jego mieszkańców, tzw. rzeź Trubeckiego, a jej ofiarami padło 15 tys. ludzi. Na tym nie zakończyły się krwawe pogromy. W 1655 r. armia rosyjska dokonała rzezi w Wilnie, zabijając ok. 20 tys. mieszkańców. Nawet jeśli te liczby, w tamtym czasie podawane, są wyolbrzymione, to i tak skala zbrodni rosyjskich była porażająca. Podczas obecnej wojny żołnierze armii rosyjskiej grabią, co się da, na okupowanych terenach Ukrainy. Nie inaczej było w Wilnie w 1655 r., miasto zostało dokumentnie splądrowane i złupione. A na koniec – spalone.

Ukraina ma nowych bohaterów – uczestników toczącej się wojny, takich jak pilot zwany „Duchem Kijowa", obrońcy Mariupola z pułku Azow, na bohatera wyrasta głównodowodzący wojsk ukraińskich, gen. Wałerij Załużny. Ale potrzebuje tych dawnych, którzy walczyli z Rosją – czy to carską, czy komunistyczną. Bohdan Chmielnicki oczywiście do nich nie należy, w przeciwieństwie do jego następcy – hetmana Iwana Wyhowskiego, który zawarł w 1658 r. ugodę hadziacką. Księstwo Ruskie miało się stać trzecim członem Rzeczypospolitej. Hetman Wyhowski walczył z armią rosyjską, pokonał pod Konotopem Trubeckiego, rzeźnika z Mścisławia. To najznaczniejsze – jak dotąd – zwycięstwo Ukraińców nad Rosją. Oby odnieśli jeszcze większe. ©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

Maciej Rosalak

XVII i XVIII w. / Następcy Hayreddina Rudobrodego

Berberzy także na Islandii

Islamscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę prawdopodobnie 1 125 000 Europejczyków...

Jak celnie stwierdził wielki wezyr po klęsce Osmanów i ich berberyjskich korsarzy pod Lepanto (1571), chrześcijanie wprawdzie spalili ich flotę, ale stanowiło to tylko „ostrzyżenie brody", podczas gdy nieco wcześniejsze zdobycie Cypru przez Turków było „odcięciem ramienia". „Odcięte ramię nie odrośnie, ostrzyżona broda odrośnie, i to gęstsza" – zauważył przy tym muzułmanin. Nie mylił się. Różne stosunki łączyły różne kraje Afryki Północnej ze stambulskim sułtanatem w wiekach XVII, XVIII i XIX. „Wspaniałe stulecie" XVI-wiecznego panowania Sulejmana Wspaniałego, którego admirałem został równie wspaniały rozbójnik morski Hayreddin Rudobrody, już nie wróciło (jeśli nie liczyć tasiemcowego serialu telewizji tureckiej). Ale następcy Hayreddina – czy to jako korsarze sułtana, czy piraci łupiący chrześcijan na własną rękę – dawali się im we znaki wcale nie mniej.

Bitwa podczas wyprawy Murata Reisa na Baltimore (Irlandia) w 1631 r. FOT. WIKIMEDIA COMMONS

W islamskiej niewoli

I to nie tylko na Morzu Śródziemnym. Wypływali poza gibraltarskie Słupy Heraklesa i dalej – na szlaki Oceanu Atlantyckiego oraz na wybrzeża krajów nad nim leżących. Dotarli nawet do Islandii. Nie mogły się z nimi uporać nie tylko floty katolickich państw we Włoszech – przede wszystkim Wenecji, Genui i Watykanu z joannitami na Malcie – Hiszpanii czy Francji. Również protestanckie Anglia, Dania czy Holandia okazywały się bezradne, a na przełomie wieków XVIII i XIX – także Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

eprasa.pl c8c1f3511d

Eugène Delacroix „Porwanie w niewolę chrześcijańskiej kobiety przez islamskich piratów" FOT. MUSÉE DU LOUVRE

Coraz większe oburzenie oraz chęć wymierzenia skutecznej kary i zemsty budziły nie tylko i nie przede wszystkim rabunki i zniszczenia. Europejczycy nie mogli się pogodzić z losem ofiar pirackich napadów. Berberowie byli bezlitośni. Podobnie jak rozbójnicy lądowi Mongołowie i Tatarzy porywali ludzi w niewolę, wybierając tych, z których mogli czerpać największe korzyści. Niemogących iść o własnych siłach, starych, kalekich i niemowlęta po prostu zarzynali. Wybierali mężczyzn w pełni sił, nadających się do prac budowlanych czy wiosłowania na galerach, ludzi znanych i bogatych, za których mogli otrzymać wysoki okup, młode kobiety na sprzedaż do muzułmańskich haremów, dziewczęta (przyszłe żony, nałożnice lub służące) i chłopców (do oddziałów janczarów) wychowanych w islamie.

Rozwoju islamu nie da się pominąć przy omawianiu zjawiska rozbójników trudniących się piractwem na północnoafrykańskich wybrzeżach. Po ich podbiciu przez Arabów na przełomie VII i VIII w. powstawały bowiem na arabski wzór miasta z dworami lokalnych władców i rosły potrzeby niewolnych sił roboczych – nie tylko do wioseł na galerach i do wykonywania najcięższych prac budowlanych (przy meczetach, zamkach, pałacach, fortyfikacjach, portach), lecz także specjalistów: architektów, artystów czy rzemieślników. Niektórzy mogli zresztą urządzić sobie zupełnie znośne życie i nawet sami wykupić się z niewoli. Z kolei muzułmańskie traktowanie kobiet (nie tylko wielożeństwo) powodowało, że ciągle dostarczano je na targi żywym towarem. Ludzie jako towar podlegali bowiem zwykłym prawom popytu i podaży. Popyt wzrósł ogromnie po założeniu imperium osmańskiego, a podaż zapewniali Tatarzy i właśnie berberyjscy piraci.

Sułtani, korzystający początkowo z okrętów mieszkańców Lewantu, od połowy XV w., gdy ruszyli na Rodos, Konstantynopol i nadmorskie włości Wenecjan, rozbudowywali także własną flotę wojenną. Szczególnie ciężki los czekał przykutych do wioseł niewolników na ich wojennych galerach, które wypływały na morze nawet po nadejściu jesiennych sztormów. Nawet zima nie przynosiła im wytchnienia. Wielu spośród nich stanowili mieszkańcy Rzeczypospolitej porwani przez Tatarów…

O tym, jak wielkie spustoszenie siali piraci, jakie powodowali cierpienia, strach i gniew, świadczyć mogą jeszcze dziś liczne nadbrzeżne fortyfikacje północnych wybrzeży śródziemnomorskich oraz miarodajne szacunki liczby chrześcijańskich niewolników (podaję za: kmdr Krzysztof Kubiak, nr 21 cyklu dodatków „Rz" – „Bitwy i wyprawy morskie" 2010). Otóż od początku XVI w., gdy pojawili się w dużej liczbie na śródziemnomorskich akwenach (patrz: „HDR" nr 118/2022), do pierwszej połowy wieku XIX, gdy musieli porzucić rozbójniczy proceder, berberyjscy piraci uprowadzili i sprzedali w niewolę prawdopodobnie 1 125 000 mieszkańców katolickich, prawosławnych i protestanckich krajów Europy.

Wykupem porwanych zajmował się w krajach katolickich głównie Kościół. Już w pierwszej połowie XVII w. akcję pomocy prowadziły w Hiszpanii i we Francji bractwa zakonne: zakon Świętej Trójcy (trynitarze) oraz zakon Najświętszej Maryi Panny Miłosierdzia (mercedarianie). Brak scentralizowanej organizacji kościelnej w krajach protestanckich powodował natomiast, że losem porwanych tam chrześcijan nie miał kto skutecznie się zająć.

Morskie rozboje

Tymczasem wraz z imponującym rozwojem żeglugi morskiej – zwłaszcza w Anglii i Holandii – handlowymi statkami oraz ludzkimi siedliskami na wybrzeżach tych państw coraz chętniej zajmowali się berberyjscy piraci. Na przykład w latach 1609–1616 zajęli oni aż 466 statków angielskich. Siedemnastowieczni mieszkańcy wybrzeży, a szczególnie Devon i Kornwalii, żyli nieustannie w strachu przed zamordowaniem lub utratą dobytku, uprowadzeniem i sprzedażą do niewoli u budzących grozę muzułmanów.

Typowa dla żeglarzy przedsiębiorczość przejawiała się niekiedy w haniebnych przykładach renegatów, którzy dla zbicia majątku – lub uciekając przed wymiarem sprawiedliwości w ojczystych krajach – sami przystawali do muzułmańskich piratów. Oddawali im nieocenione usługi przy budowie nowych jednostek – większych od dotychczasowych galer, lepiej ożaglowanych i zbrojnych w kilkadziesiąt dział burtowych, zbliżonych do chrześcijańskich okrętów liniowych. Takim fachowcem okazał

eprasa.pl c8c1f3511d

się np. Holender – Simean Danziger (Zymen Danseker lub Simon de Dancer).

Inny Holender – Jan Janszoon van Haarlem – został nawet w 1627 r. jako wyznawca islamu Murad Rais przywódcą pirackiej wyprawy z Algierii na daleką północ. Celem wyprawy, znanej na Islandii jako Tyrkjarániū (uprowadzenie przez Turków), stała się właśnie ta położona tuż pod kręgiem polarnym, należąca wówczas do Danii, rzadko zaludniona ojczyzna wulkanów, gejzerów i bogatych w ryby łowisk. Berberowie założyli bazę na leżącym na południe od głównej wyspy archipelagu Vestmannaeyjar i stamtąd napadli na miejscowość Berufjördur. Zamordowali 34 jej mieszkańców, a 242 kobiet i mężczyzn uprowadzili w niewolę. Wracając, zdobyli jeszcze duński statek. Następnego roku piraci uwolnili księdza, aby wynegocjował z duńskim królem Christianem IV wykupienie porwanych. Ten poinformował króla, ilu ze zniewolonych straciło już życie, ile kobiet sprzedano do haremów, a ilu mężczyzn na galery. Dopiero po pięciu latach nieszczęśnicy wracali z niewoli. Było ich tylko 13…

Również Murad Rais poprowadził w 1631 r. dwie galery z marokańskiego tym razem Sale na leżące u wybrzeża Irlandii miasteczko Baltimore. Uprowadzono stamtąd 24 mężczyzn, 34 kobiety i 15 dzieci. Pilotem piratów okazał się tu irlandzki katolik, który znienawidził Baltimore, gdyż mieszkańcy miasteczka przyjęli wyznanie protestanckie. Nic nie wiadomo jednak o jakichkolwiek niesnaskach religijnych między nim a dowódcą. Trzeba dodać, że piraci z Sale wrośli wtedy w siłę tak bardzo, że zrzucili zwierzchność sułtana Maroka, którym był Mawlay Zidan Abu Maali. Proklamowali korsarską republikę zarządzaną przez radę 15 kapitanów. Wyłaniali oni spośród siebie naczelnika, a jako pierwszy został nim nie kto inny, jak Jan Janszoon van Haarlem vel Murad Rais. Kiedy marokańskiemu sułtanowi nie udało się zbrojne odbicie portu, oficjalnie mianował Janszoona gubernatorem Sale.

„Jan Janszoon van Haarlem jako pirat muzułmanin Murat Reis Młodszy" FOT. WIKIPEDIA

W drugiej połowie XVII w. walki z piratami berberyjskimi prowadziły wszystkie kraje zainteresowane bezpieczną żeglugą na Morzu Śródziemnym. Tyle że na ogół osobno. W 1655 r. angielski admirał Robert Blake zbombardował Tunis z morza. Dwadzieścia lat później to samo uczynił z Trypolis adm. John Narborough. W latach 1682 i 1683 Francuzi ostrzeliwali Algier. W latach 1783 i 1784 Hiszpanie bombardowali Algier tak skutecznie, że jego zagrożony buntem poddanych władca poprosił o pokój. Trwał kilka lat. Inni zapewniali bezpieczeństwo swoim wybrzeżom oraz statkom, płacąc co roku haracz władcom berberyjskich państewek. Płatnikami byli: Królestwo Obojga Sycylii, Toskania, Sardynia, Portugalia, Dania, Szwecja, Księstwo Hanoweru i Brema.

Ogłoszenie w 1776 r. Deklaracji niepodległości przez USA rozwiązało ręce władcom Maroka, Algieru, Tunisu i Trypolitanii związanym traktatami pokojowymi z Koroną Brytyjską. W 1784 r. piraci marokańscy zajęli pierwszy amerykański statek. Dwa lata później Amerykanom udało się zawrzeć z Marokiem pokojowe porozumienie, ale z Algierem ten manewr się nie powiódł. Upokorzeni płaceniem trybutu Amerykanie utworzyli więc w 1794 r. US Navy, ale trwająca w latach 1801–1805 pierwsza wojna berberyjska nie przyniosła sukcesu ich flocie i piechocie morskiej. Dopiero druga wojna berberyjska (1815) zmusiła władcę Algieru do zaniechania pobierania trybutu od Stanów Zjednoczonych.

Pistolet piratów z XVIII w.

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Ostatni wzrost znaczenia przyniosły pirackim państewkom wojny napoleońskie. Wielka Brytania płaciła wtedy złotem za pokój oraz dostarczanie zboża i mięsa rzeźnego. Przechodziła też do porządku dziennego nad trwającym procederem handlu chrześcijańskimi niewolnikami. Zmieniło się to po pokonaniu Napoleona. Na kongresie wiedeńskim (kiedy Londyn uzyskał już na stałe zagrabioną przez Napoleona w 1798 r. Maltę) wiążących decyzji w tej sprawie nie podjęto. Nadal prowadzono pertraktacje z poszczególnymi dejami oraz płacono za wykup jeńców.

Sytuacja zmieniła się diametralnie po masakrze 200 korsykańskich, sycylijskich i sardyńskich poławiaczy korali przez piratów algierskich. 27 sierpnia 1816 r. sześć okrętów liniowych i cztery fregaty Royal Navy, wsparte przez pięć fregat holenderskich, zbombardowały Algier, obracając w gruzy jego umocnienia. To wystarczyło dejowi. Zrezygnował z piractwa i handlu ludźmi, a 3 tys. więzionych przywrócił wolność. Ponieważ sporadycznie zdarzały się jednak pirackie incydenty, w 1824 r. adm. Harry Neal ponowił bombardowanie.

Definitywny kres berberyjskim piratom położył niedługo potem podbój północnej Afryki przez Francję. Nastąpiło to po ostrzelaniu francuskiego liniowca „Provence", który przybył w 1829 r. z misją pokojową, oraz po rzezi załóg dwóch rozbitych w roku następnym na algierskim wybrzeżu statków pocztowych. Inwazji dokonało 37 tys. żołnierzy, których na redę Algieru dostarczyło w maju 1830 r. 347 transportowców eskortowanych przez 10 okrętów liniowych. Francuzi wycofali się dopiero na początku lat 60. XX stulecia…

Służba joannitów

Ciekawym rozdziałem śródziemnomorskiego starcia chrześcijaństwa z islamem była trwająca w latach 1645–1669 wojna Wenecji z Turcją o Kretę. Nazwano ją wojną kandyjską od ówczesnej kreteń-

eprasa.pl c8c1f3511d

skiej stolicy – Kandii, bronionej wytrwale i rozpaczliwie, a w końcu bezskutecznie przez Wenecjan. Podczas tego konfliktu obu słabnących już odwiecznych rywali doszło do 10 wielkich bitew morskich toczonych z Turkami przez Wenecjan, wspomaganych podczas ich największych zwycięstw w rejonie Cieśniny Dardanelskiej i na Morzu Egejskim przez okręty joannitów. Wielkim sukcesem chrześcijan zakończyła się bitwa w Cieśninie stoczona w 1656 r. Odznaczyło się tu zwłaszcza siedem galer maltańskich pod wodzą Gregoria Carafy i w nagrodę zakon otrzymał 11 zdobytych wtedy okrętów wroga.

Pochodzący z możnego włoskiego rodu Carafa (ojciec – książę Roccella; matka – siostrzenica papieża Pawła V; brat – kard. della Spina) jako wybitny dowódca maltańskiej floty został w 1680 r. wybrany wielkim mistrzem zakonu Rycerzy Szpitalników św. Jana Jerozolimskiego. Jego 10-letnie panowanie na tym stanowisku przyniosło dalszą, imponującą rozbudowę fortyfikacji maltańskich, wzmocnionych za jego poprzednika – Nicolasa Cotonera, wielkiego mistrza w latach 1663–1680.

Wiek XVII i początek XVIII w. przyniósł rycerzom maltańskim kolejny wzrost znaczenia twierdzy, którą stanowiła ich położona w centrum Morza Śródziemnego wyspa, oraz niedużej (w porównaniu z ówczesnymi potęgami morskimi), ale sprawnej i walecznej floty. Kontrolowała ona śródziemnomorskie szlaki komunikacyjne, zwalczając berberyjskie jednostki oraz atakując gniazda piratów na wybrzeżu. W wykazie ponad 20 maltańskich statków liniowych tego okresu większość stanowią przechwycone jednostki tunezyjskie, tureckie, trypolitańskie i algierskie. Na udział joannitów mógł liczyć organizator każdej wyprawy w obronie chrześcijan. Ich okręty często pełniły też służbę korsarską.

Upadek militarnego znaczenia i w ogóle roli zakonu w drugiej połowie XVIII w. związany był z politycznymi konfliktami i wojnami oraz oświeceniowym zamieszaniem w Europie. Szczególną rolę odegrała tu rewolucja francuska. A siedzibę na Malcie zabrał im w 1798 r. Napoleon Bonaparte w drodze do Afryki, kładąc kres rycerskiej służbie joannitów. Ale nie zakonowi. Rozwinął on działalność w innych dziedzinach, zwłaszcza charytatywnej, z czasem również w Polsce – ale to już inna historia.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Sursum corda

Maciej Rosalak

Upływa 55 lat od wydarzeń Marca 1968 r., o których pisano i mówiono już tak dużo, jakby ciągle chciano coś dopowiedzieć. Choć znajdowałem się wtedy w oku cyklonu, bo na trzecim roku historii UW, niczego nowego nie dopowiem. Coraz wyraźniej widzę za to obrazy pierwszych dni burzliwych zajść w Warszawie: na Uniwersytecie w piątek 8 marca, gdzie „aktyw" robotniczego ORMO ze wsparciem golędzinowskiego ZOMO brutalnie bił studentów; następnego dnia pod Politechniką, gdzie gazem i pałami rozgoniono kilkutysięczną manifestację solidarnościową; i wreszcie 11 marca w poniedziałek podczas wielogodzinnych zajść na Krakowskim Przedmieściu. Dorastające w PRL pokolenie po raz pierwszy ujrzało milicjantów i podpitych ORMO-wców walących na oślep i ciągnących za włosy dziewczyny po brudnym śniegu, poczuło łzawiący gaz, umykało przed zdziczałymi tyralierami „obrońców socjalistycznej ojczyzny" nazywanych przez „niedojrzałą" młodzież „czerwonym gestapo". Wielu rówieśników szukało azylu w kościele św. Krzyża. ZOMO i bezpieka nie odważały się wtargnąć ich śladem do świątyni, za to obrzucały kościół pojemnikami z gazem. Patrzyłem na pomnik Chrystusa idącego na Golgotę w kłębach gryzącego dymu i ten widok najbardziej wrył mi się w pamięć.

FOT. IPN

We wspomnieniu prymasa Stefana Wyszyńskiego o 1944 r., gdy pełnił służbę duszpasterską przy zakładzie dla niewidomych w Laskach, a jednocześnie był powstańczym kapelanem ps. Radwan III, zaskakuje pewien fragment. Otóż fotografię obalonego pomnika Chrystusa pokazali mu niemieccy oficerowie – lekarze ze szpitala Wehrmachtu w Izabelinie. Czytamy: „Chrystus, leżący na bruku warszawskim, dłonią – przedziwnym zbiegiem okoliczności zachowaną – pokazywał w kierunku kościoła. Dłoń ta kierowała się na napis, który pozostał nietknięty na cokole: »Sursum corda«. […] W pewnym momencie z ust jego [niemieckiego oficera] wyrywają się słowa, od których niemal odzwyczaiło się nasze ucho, dawno już nie słyszeliśmy »Ist noch Polen nicht verloren« [»Jeszcze Polska nie zginęła«]. Zdumiałem się. Po chwili podeszło bliżej jeszcze kilku oficerów. Spojrzałem na nich pytającym wzrokiem… Jeden z nich zawołał: »Sursum corda! Sursum corda!«".

2 czerwca 1979 r. Jan Paweł II w pierwszej homilii, wygłoszonej na placu Zwycięstwa (dziś plac Piłsudskiego), mówił: „Nie sposób zrozumieć tego miasta, Warszawy, stolicy Polski, która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę z najeźdźcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami, jeśli się nie pamięta, że pod tymi samymi gruzami legł również Chrystus-Zbawiciel ze swoim krzyżem sprzed kościoła na Krakowskim Przedmieściu…". To wtedy padło wielokrotnie przywoływane do dziś wezwanie, aby „Duch Święty odnowił oblicze ziemi. Tej ziemi…". Zwrot „Sursum corda" rozumiemy na ogół w znaczeniu „Nie traćmy ducha". No właśnie. ©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

Rynsztunek do turniejów rycerskich

Michał Mackiewicz,
pracownik naukowy Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie

Średniowieczne walki pozorowane, w których nie chodziło o zranienie lub zabicie przeciwnika, wymagały specjalnego wyposażenia ochronnego i zaczepnego

W trakcie pierwszych turniejów, mających postać potyczek grupowych (franc. mèlée) i będących formą ćwiczeń wojskowych, używano uzbrojenia bojowego. Dlatego kończyły się one nierzadko śmiercią uczestników. Wraz z ewolucją igrzysk rycerskich, które stopniowo traciły brutalny charakter militarny na rzecz widowiska dworskiego, dostrzeżono potrzebę odpowiedniego zabezpieczenia walczących. Zarówno poprzez wprowadzenie „tępej" broni zaczepnej, jak i dodatkowych elementów do pancerza bojowego (kolczugi). Stało się to najpóźniej w początkach XIII w. W kolejnym stuleciu używano równolegle uzbrojenia bojowego (polowego) i niebojowego, ale u schyłku epoki średniowiecza doszło do wykształcenia się zaawansowanego kompletnego wyposażenia, przeznaczonego wyłącznie do walk pozorowanych.

W arsenale zaczepnym pierwszeństwo należało do kopii – typowo rycerskiej broni. Mierzyły one do 4 m, a wykonywano je z lekkiego, kruchego drewna – skruszenie kopii było szczególnie efektownym elementem walki konnych zawodników. Broń przeznaczona do starć „na tępe" miała koroniasty grot, natomiast ta stosowana w walce „na ostre" – taki sam jak w broni bojowej. Kopie turniejowe miały metalowe tarczki chroniące prawą rękę. Z uwagi na znaczny ciężar kopii opierano ją na haku przytwierdzonym do napierśnika zbroi płytowej (do naplecznika zamocowany był przeciwhak).

Miecz był bronią uniwersalną, używaną w pojedynkach konnych i pieszych. Stosowano zarówno stępioną broń bojową (regulaminy zabraniały stosowania pchnięć), jak i specjalny oręż turniejowy, o sztychu zaokrąglonym zamiast szpiczastego.

Uzbrojenie ochronne należało do najbardziej zaawansowanego i najkosztowniejszego wyposażenia. W rozkwicie epoki jego najbardziej „turniejową" częścią był hełm garnczkowy. Choć stworzono go do celów bojowych w XII w., to znacznie dłużej przetrwał w charakterze osłony turniejowej. Był całkowicie zamknięty i zaopatrzony w szpary wzrokowe. Zapewniał dobrą ochronę w pojedynkach na kopie. Początkowo sylwetkę rycerza osłaniała kolczuga, którą z czasem zaczęto uzupełniać dodatkowymi elementami. Poza płytami stalowymi do celów turniejowych wykorzystywano też osłony z fiszbinu oraz utwardzonej skóry.

W XV w. płatnerze włoscy i niemieccy stworzyli pełną zbroję płytową, która zabezpieczała całą sylwetkę rycerza. Podlegała ona stopniowej specjalizacji, której efektem było wykształcenie się zbroi turniejowej. Wytwarzano ją w wielu wariantach (w zależności od typu zawodów), rezygnując np. z niektórych elementów bojowych na rzecz wzmacniania tych najbardziej narażonych na uderzenia w walce pozorowanej. Charakterystyczną jej częścią był hełm typu „żabi pysk" (na zdjęciu) zapewniający dobrą ochronę głowy i oczu w walkach na kopie. ©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

Panzer spod ziemi

Czołg Panzerkampwagen IV z Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu – jedyny zachowany w Polsce – ma niezwykle ciekawą historię. Należał przypuszczalnie do jednego z pododdziałów 10. Dywizji Pancernej SS „Frundsberg", która w lutym 1945 r. próbowała kontratakować nacierającą Armię Czerwoną w okolicach Stargardu Szczecińskiego. Zmagania toczyły się m.in. na terenie lotniska w Kluczewie i tam właśnie czołg otrzymał bezpośrednie trafienie pociskiem przeciwpancernym. Niemcy, nie mogąc ewakuować wraku i nie chcąc, by dostał się w ręce Rosjan, zepchnęli go do leja po bombie i wysadzili w powietrze. Eksplozja rozerwała pancerne monstrum na strzępy.

Przysypana ziemią „czwórka" przeleżała w spokoju kilkadziesiąt lat. Aż do 2011 r., kiedy zainteresowali się nią amatorzy złomu. Dzięki interwencji mieszkańca jednej z położonych niedaleko wsi w sprawę zaangażowali się członkowie zachodniopomorskich stowarzyszeń historyczno-poszukiwawczych, pracownicy kołobrzeskiego muzeum oraz konserwator zabytków. Wspólnym wysiłkiem czołg został ocalony. Poddano go żmudnej konserwacji połączonej z częściową rekonstrukcją. Prowadzono ją w prywatnym warsztacie pod okiem doświadczonych specjalistów. Dotychczasowy efekt ich pracy jest imponujący. ©℗

Od płk. Nullo

Wśród ocalałych z dziejowej zawieruchy pamiątek związanych z powstaniem styczniowym wyróżnia się rewolwer włoskiego ochotnika, płk. Francesco Nullo. Ten zagorzały garybaldczyk był jednym z najsłynniejszych zagranicznych uczestników zrywu 1863 r. Długo się nie nawojował, ponieważ zginął w bitwie pod Krzykawką już 5 maja, a więc zaledwie dwa dni po przekroczeniu granicy austriacko-rosyjskiej, ale jego śmierć nabrała z czasem dużego znaczenia symbolicznego. Rewolwer Nullo jest produkcji szwajcarskiej. To broń kapiszonowa, kal. ok. 12 mm, sześciostrzałowa, z otwartym szkieletem pozbawionym mostka. Lufa, w przekroju ośmiogranna, jest gwintowana, a kabłąk spustu posiada oparcie dla palca serdecznego. W broni brakuje ruchomego integralnego pobojczyka do przybijania ładunków w komorach bębna. Szkielet dekorowany jest po obu stronach i u góry rytowanym motywem roślinnym. Na grzbiecie lufy widnieje napis fabryczny: „F. KINAPEN/ BREVETE, i F.P. WAGNER A BERNE", a z jej lewej strony cyzelowana dedykacja: „Patriotti Svizzeri al. Tente Collo Nullo". Rewolwer znajduje się w MWP. ©℗

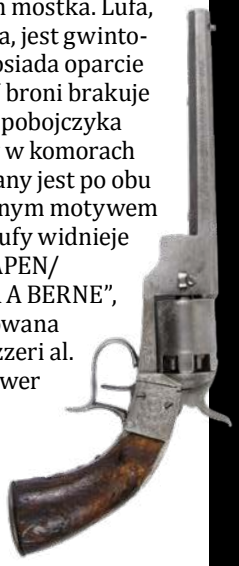

Z polówki do samolotów

W okresie dwudziestolecia międzywojennego artyleria przeciwlotnicza rozwijała się w Polsce najwolniej ze wszystkich rodzajów broni. Do połowy lat 30. podstawę jej sprzętu stanowiło nieco ponad 100 francuskich armat kal. 75 mm – słynnych szybkostrzelnych polówek z okresu pierwszej wojny światowej zaadaptowanych do rażenia celów powietrznych. Najliczniej reprezentowany był wz. 97/25, czyli zwykłe działo polowe, dla którego opracowano specjalną platformę do jego wtaczania, pozwalającą na prowadzenie walki z samolotami. Armatę wyposażono w specjalny przyrząd celowniczy, tzw. korektor mechaniczny, krajowej konstrukcji.

We wrześniu 1939 r. dywizjony artylerii przeciwlotniczej posiadały 80 armat tego wzoru. Wraz z kilkunastoma innymi starymi francuskimi „siedemdziesiątkami piątkami" – 12 wz. 18/24 zamontowanymi na francuskich samochodach De Dion-Bouton 35 CV (zdjęcie) i polskich fiatach 621 L oraz dwoma wz. 17 na samochodowych przyczepkach – użyto ich bojowo mimo zużycia i niewielkiej przydatności na nowoczesnym polu walki. Dodatkowo 14 francuskich armat kal. 75 mm, tyle że znacznie nowocześniejszych wz. 22/24, znajdowało się w dwóch morskich dywizjonach przeciwlotniczych. Dopiero w latach 30. udało się poprawić stan artylerii przeciwlotniczej, dzięki przyjęciu do uzbrojenia armat Bofors kal. 40 mm i starachowickich „siedemdziesiątek piątek". ©℗

eprasa.pl c8c1f3511d

XVIII–XXI w. / Wynalazcy i skoczkowie, piloci i żołnierze

Desant podczas amerykańsko-egipskich ćwiczeń „Bright Star", 1981 r. FOT. WIKIEMIDA COMMONS

Spadochrony

Tymoteusz Pawłowski

Spadochrony są nawet starsze od maszyn latających. Mają również zadziwiające możliwości; niektóre mogą unieść człowieka z ziemi…

Parasol wcale nie służy do ochrony przed deszczem. Ta nazwa pochodzi z francuskiego i oznacza ochronę „przed słońcem" („para Soleil"). Przed deszczem powinien nas osłaniać parapli, jak mówią Francuzi, ponieważ „pluie" to deszcz. Upadek to po francusku „chute", czyli przed upadkiem chroni Francuzów – i inne nacje – egzotyczny parachute, a nas, Polaków, zwykły spadochron.

Spadochron pochodzi więc z Francji, choć – jak zwykle – do pierwszeństwa roszczą sobie prawo Chińczycy. Chińskie pierwszeństwo trzeba jednak – dosłownie – między bajki włożyć. Podobnie wątpliwe jest również pierwszeństwo Leonarda da Vinci. Nie można bowiem zapominać, że jego podstawowym zajęciem była praca w teatrze, więc rysunki z jego szkicownika – także rysunki spadochronu – przedstawiają nie tyle wynalazki, ile elementy scenografii teatralnej.

Leonardo nie był jednak wcale pierwszy. Pierwszy znany dziś rysunek przedstawiający spadochron został zamieszczony w manuskrypcie powstałym w Italii kilkanaście lat przed jego aktywnością. Być może były też inne, które nie zachowały się do dziś, istnieją bowiem relacje opisujące podobne urządzenia używane przez ludność Afryki czy Maurów w Hiszpanii. Pierwszym użytkownikiem znanym z nazwiska był najprawdopodobniej Fausto Veranzio, Włoch pochodzący z Dalmacji, który jako poddany króla węgierskiego skoczył w 1617 r. z wieży katedry św. Marcina w – słowackiej dziś – Bratysławie. To były czasy! Ach, jakie wówczas istniały problemy z narodowością!

Za wynalazcę spadochronu powszechnie uchodzi Francuz Louis-Sébastien Lenormand, który w 1783 r. nie tylko badał problem teoretycznie, nie tylko zastosował go w praktyce, lecz także nadał swojemu wynalazkowi nazwę. Jego spadochron różnił się jednak od dzisiejszych: był spadochronem sztywnym, w którym płótno było rozpięte na ramie. Mógł służyć więc do skoków z wież kościelnych i mostów, ale bardzo słabo nadawał się do skoków z balonów. Przyczyna była prosta: pierwszy lot balonem również odbył się 1783 r., więc prof. Lenormand pracował nad swoim wynalazkiem, nie wiedząc o istnieniu statków latających.

Pionierzy…

Z podobnego spadochronu skorzystał Jean-Pierre Blanchard w 1797 r. Blan-

eprasa.pl c8c1f3511d

chard był nie tylko pierwszym lotnikiem ratującym się na spadochronie, lecz także pierwszym, który przeleciał nad kanałem La Manche, i pierwszym, który wzniósł się w wielu krajach, m.in. w Polsce w 1789 r. i w Stanach Zjednoczonych cztery lata później. W tym czasie istniał już spadochron elastyczny, wynalazł go André Garnerin, który popisywał się skokami spadochronowymi na całym świecie, m.in. w Warszawie. Skoki były całkiem bezpieczne – ze spadochronów korzystały także jego żona i bratanica.

Za pierwszego lotnika – aeronautę balonowego – uratowanego z katastrofy dzięki spadochronowi uchodzi Jordaki Kuparentko, Polak mołdawskiego pochodzenia o bardzo interesującym życiorysie i niezmiernie wielu zainteresowaniach. Niejasne jest jednak, czy był to spadochron w naszym rozumieniu tego słowa czy też za „parachute" – jak opisywano wydarzenie w warszawskich gazetach – posłużył mu uszkodzony balon. Nie wiadomo również, czy taki powrót na ziemię zdarzył się przypadkiem (i to co najmniej dwa razy!) czy był zaplanowany.

Na spadochronach skakano przez cały wiek XIX. Skoczek ufał szczęściu, wyskakując z gondoli balonu, trzymając płótno spadochronu w rękach i licząc na to, że linki nie poplączą się podczas rozwijania. Czasem całe gondole były przymocowane do balonu poprzez spadochron – wystarczało wówczas przeciąć linkę, balon odlatywał w siną dal, a skoczek zostawał bohaterem tłumów. Dopiero na przełomie wieków XIX i XX pojawiły się spadochrony w dzisiejszym kształcie, przechowywane w plecaku. Za wynalazcę spadochronu plecakowego uchodzi uzdolniony rosyjski samouk Gleb Kotelnikow, ale gdy w 1912 r. prezentował swój wynalazek, już od kilkunastu lat z podobnych spadochronów korzystali inni na zachodzie Europy…

Chociaż w początkach XX w. latały już samoloty, to rzadko skakano z nich ze spadochronów, a jeśli już, to czyniono to dla rozrywki. Spadochrony nie stały się urządzeniem ratowniczym dla załóg samolotowych nawet w czasie pierwszej wojny światowej. Korzystały z nich natomiast załogi bardzo licznych balonów obserwacyjnych, wznoszących się nad frontami wojennymi. Balony były priorytetowym celem dla wrogich myśliwców, a jedyne, co mógł zrobić załogant zaatakowanego balonu, to uciec z niego jak najszybciej – wyskakując ze spadochronem.

Skok Sebastiena Lenormanda w 1783 r. Poniżej: pierwszy znany rysunek spadochronu (Włochy, XV w.) FOT. WIKIPEDIA

W czasie pierwszej wojny światowej samoloty miały zbyt małą nośność, aby dodatkowo obciążać je spadochronami, które w dodatku nie działały zbyt pewnie. Większość nacji uważała, że większe szanse daje lądowanie uszkodzonym samolotem niż skok. Odmiennego zdania byli Niemcy, którzy w 1918 r. wyposażyli swoich pilotów w spadochrony. Rezultaty nie napawały optymizmem: wykonano ok. 70 skoków ratujących życie; ok. 50 zakończyło się sukcesem.

… i praktycy

Działający spadochron wynalazł kilka lat po wielkiej wojnie Amerykanin Leslie L. Irvin, który założył również – działającą do dziś – firmę. Przez pierwsze pół wieku firma działała zresztą pod nazwą Irving – „g" pojawiło się z powodu błędu sekretarki, a zarząd uznał, że nie jest to problem zbyt istotny, żeby się nim zajmować. Firma założyła również Caterpillar Club, zrzeszający tych, którzy uratowali swoje życie, skacząc ze spadochronem. Takich było wielu, ponieważ do czasów drugiej wojny światowej spadochrony Irvina stały się wyposażeniem niemal wszystkich sił powietrznych na całym świecie. W 1945 r. klub liczył 34 tys. członków, dziś liczy ponad 100 tys.

Spadochrony służyły nie tylko do ratowania życia lotników, lecz także do desantowania żołnierzy. Tak przeprowadzony atak miał zaskoczyć wroga i przynieść sukces. Prekursorami wojsk powietrzno-desantowych byli Włosi jeszcze pod koniec lat 20. XX w., najwięcej „desantników" mieli Sowieci, najbardziej znani są niemieccy strzelcy spadochronowi, a największe sukcesy odnosili Amerykanie i Brytyjczycy. W czasie drugiej wojny światowej operacje powietrzno-desantowe okazały się bardzo ryzykowne. Z reguły kończyły się krwawą jatką (która czasem przynosiła sukces atakującym, np. Niemcom na Krecie), a zwycięstwa okupione niewielkimi stratami zdarzały się – np. aliantom w Normandii – bardzo rzadko.

Po drugiej wojnie światowej pojawiły się samoloty odrzutowe osiągające tak duże prędkości, że skok ze spadochronem był niemożliwy. Rozwiązano ten problem, katapultując pilota wraz z fotelem. Fotel spadał swobodnie, a lotnik opadał na spadochronie. Współczesne wyrzucane fotele ratują ludzi, nawet jeśli użyje się ich w samolocie stojącym na płycie lotniska. Zdarzały się nawet udane przypadki katapultowania się z tonącego samolotu, znajdującego się kilka metrów pod wodą!

Współczesne spadochrony mają różne kształty i różne zastosowania. Niektóre potrafią unieść człowieka z ziemi, inne sprowadzić statek kosmiczny na Ziemię. Jeszcze inne montuje się na samolotach i w razie awarii ze spadochronem skacze cały samolot. Znanych jest również kilka przypadków przeżycia lotników – i pasażerów – po upadku z kilku kilometrów bez spadochronu. Takim szczęściarzom odmawia się jednak członkostwa w Caterpillar Club – przecież uratowali swoje życie, nie używając spadochronów...

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Antoni Adam Piotrowski „Atak nocny husarii pod Zbarażem. Podbipięta"
FOT. WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA IM. ŁOPACIŃSKIEGO W LUBLINIE

Kozacy kontra szlachta / Krwawa wojna domowa

W obronie Sienkiewicza

Piotr Zychowicz

Oskarżenia wobec pisarza są niesprawiedliwe. W powieści „Ogniem i mieczem" w uczciwy sposób przedstawił racje obu stron

Henrykowi Sienkiewiczowi stawia się często zarzut, że dziejowy dramat – jakim były zmagania szlachty z Kozaczyzną – przedstawił stronniczo i karykaturalnie. Obraz Polaków w „Ogniem i mieczem" miał zostać wyidealizowany, a Kozacy mieli zostać przedstawieni w krzywym zwierciadle. Jako żądna krwi tłuszcza, horda rozszalałych rezunów, która w pijanym widzie rzuciła się na Rzeczpospolitą, aby grabić, rzezać i gwałcić. Bóg raczy wiedzieć dlaczego.

Wydaje się, że zarzuty te są mocno przesadzone. W „Ogniem i mieczem" znaleźć można całe fragmenty przeczące tym oskarżeniom. Sienkiewicz starał się uczciwie przedstawić również argumenty strony kozackiej. Weźmy choćby słynną rozmowę Skrzetuskiego z Chmielnickim.

– Spójrz, co się dzieje na Ukrainie! – mówił Chmielnicki. – Hej! Ziemia bujna – ziemia matka, ziemia rodzona! A kto w niej jutra pewien? Kto w niej szczęśliw? Kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran, kto w niej nie płacze i nie wzdycha?

Sami jeno Wiśniowieccy a Potoccy, a Zasławscy, a Kalinowscy, a Koniecpolscy, i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojeństwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet nieznośnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam uciekłem! Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzeczpospolitą! Ona mać, on ojciec!

Król miłościwy pan, ale królewięta! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, tyrania i uciski przez Żydów czynione o zemstę do nieba wołają. Jakiejże to wdzięczności doznało wojsko zaporoskie za tak wielkie zasługi w licznych wojnach oddane?

Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewięta odjęli. Nalewajko poćwiertowan! Pawluk w miedzianym wole spalon! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pal wsadzonych.

Skrzetuski siedział ze spuszczoną głową. Rzekłbyś: szukał odpowiedzi na słowa Chmielnickiego, tak ciężkie jak bryły granitu.

Jak więc widać, Sienkiewicz – ustami powieściowego Chmielnickiego – na kartach „Ogniem i mieczem" przedstawił również stanowisko strony kozackiej.

To samo dotyczy słynnego sporu dwóch ukrainnych magnatów – Kisiela i Wiśniowieckiego. Jak wiadomo, światły wojewoda Adam Kisiel był zwolennikiem ugody polsko-kozackiej. Zakończenia wojny domowej, która pustoszyła i osłabiała Rzeczpospolitą. A następnie podjęcia wspólnej walki z Moskwą w celu zatrzymania jej ekspansji.

Z kolei książę Jarema Wiśniowiecki był zwolennikiem okrutnej, krwawej pacyfikacji Kozaczyzny. Palenia, ścinania i nabijania na pal „krnąbrnych chamów". W dużej mierze kierowała nim prywata. Gdyby Kozacy zwyciężyli, książę straciłby tysiące „dusz" i swoje kresowe państewko.

Według obiegowej opinii Henryk Sienkiewicz w „Ogniem i mieczem" w zde-

eprasa.pl c8c1f3511d

cydowany sposób opowiedział się po stronie Wiśniowieckiego, czym uczynił nieodwracalne spustoszenia w umysłach kilku pokoleń Polaków. Powieść ma być jedną wielką gloryfikacją tej postaci. Uważna lektura książki nasuwa jednak inne wnioski. Wiśniowiecki wcale nie został przedstawiony w nim jak tekturowy bohater bez skazy.

Oto opis metod, których Jarema Wiśniowiecki używał do uśmierzania buntów kozackich:

Opowiadano przerażające rzeczy o szturmie i zdobyciu Pohrebyszcz – czytamy w „Ogniem i mieczem" – było to bowiem gniazdo najzaciętszych rezunów. Książę miał powiedzieć do żołnierzy: „Mordujcie ich tak, by czuli, że umierają". Więc też żołnierstwo najdzikszych dopuszczało się okrucieństw. Z całego miasta nie ocalała jedna żywa dusza. Siedmiuset jeńców powieszono, dwustu wbito na pale. Mówiono również o wierceniu oczu świdrami, o paleniu na wolnym ogniu. Bunt zgasł od razu w całej okolicy. Mieszkańcy albo pouciekali do Chmielnickiego, albo przyjmowali pana łubniańskiego na klęczkach, z chlebem i solą, wyjąc o miłosierdzie. Pomniejsze watahy wszystkie były starte – a w lasach, jak twierdzili zbiegowie, nie było jednego drzewa, na którym by Kozak nie wisiał.

Jedną z najbardziej wstrząsających scen „Trylogii" jest opis, jak Wiśniowiecki potraktował poselstwo wysłane do niego przez Chmielnickiego. Na czele sześciu parlamentarzystów stał ataman Sucharuka, pułkownik kozacki.

Dla księcia sam fakt, że stają przed nim ludzie nisko urodzeni, buntownicy i hultaje, był kamieniem obrazy. Okazało się, że zasady rycerskiego honoru obowiązujące między „panami szlachtą" nie dotyczyły „hultajstwa".

– Mości Wierszułł – powiedział książę – każ waść swoim Tatarom tych Kozaków pościnać, dla naczelnego zaś palik zastrugać i nie mieszkając, go zasadzić.

Na argument jednego z dworzan, że Chmielnicki niedawno puścił wolno Skrzetuskiego, książę się żachnął. Według niego nie można było równać rycerza z „rezunami".

Wedle kołowrotu krwawy widok uderzył żołnierskie oczy – czytamy w powieści. – Na płocie w chrustach widać było pięć odciętych głów kozaczych, które patrzyły na przechodzące wojska martwymi białkami otwartych oczu, a opodal, już za kołowrotem, na zielonym pagórku, rzucał się jeszcze i drgał, zasadzony na pal, ataman Sucharuka.

Ostrze przeszło już pół ciała, ale długie godziny konania znaczyły się jeszcze nieszczęsnemu atamanowi, bo i do wieczora mógł tak drgać, zanimby śmierć go uspokoiła. Teraz zaś nie tylko żyw był, ale oczy straszne zawracał za chorągwiami, w miarę jak która przechodziła; oczy, które mówiły: „Bogdaj was Bóg pokarał, was i dzieci, i wnuki wasze do dziesiątego pokolenia, za krew, za rany, za męki! Bogdajeście sczeźli, wy i wasze plemię! Bogdaj wszystkie nieszczęścia w was biły! Bogdajeście konali ciągle i ni umrzeć, ni żyć nie mogli!".

A choć to prosty był Kozak, choć konał nie w purpurze ani w złotogłowiu, ale w sinym żupaniku, i nie w komnacie zamkowej, ale pod gołym niebem, na palu, przecie owa męka jego, owa śmierć krążąca mu nad głową taką okryły go powagą, taką siłę włożyły w jego spojrzenie, takie morze nienawiści w jego oczy, iż wszyscy dobrze zrozumieli, co chciał mówić – i chorągwie przejeżdżały w milczeniu koło niego, a on w złotych blaskach południa górował nad nimi i świecił na świeżo ostruganym palu jako pochodnia...

Książę przejechał, okiem nie rzuciwszy...

„Śmierć Podbipięty", ilustracja Juliusza Kossaka do „Ogniem i mieczem"
FOT. WIKIPEDIA

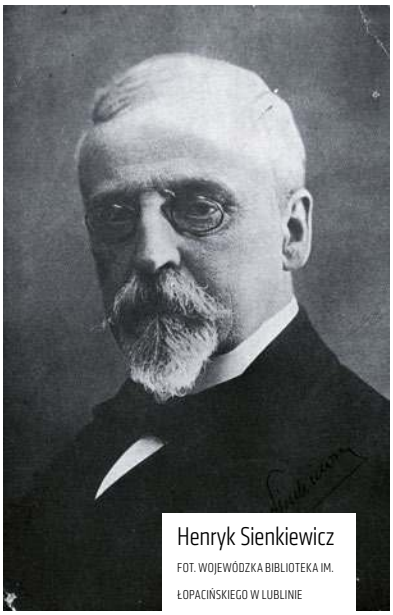

Henryk Sienkiewicz
FOT. WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA IM. ŁOPACIŃSKIEGO W LUBLINIE

Oczywiście na kartach „Ogniem i mieczem" znalazły się również opisy straszliwych okrucieństw i swawoli drugiej strony. Czyli Kozaków. Taka była bowiem prawda. Obie strony XVII-wiecznej wojny domowej, która rozhuśtała i osłabiła gmach Rzeczypospolitej, nie przebierały w środkach. Był to konflikt niezwykle krwawy i zacięty.

Oskarżanie Henryka Sienkiewicza o to, że przedstawił go w sposób jednostronny i tendencyjny, wydaje się więc niesprawiedliwe. Sienkiewicz był pisarzem tworzącym w pięknym, konserwatywnym wieku XIX. Dopiero paskudny wiek XX wyniósł na piedestał „polską literaturę patriotyczną". Czyli zakłamane książki, które niczym nie różnią się od sowieckich, socrealistycznych produkcyjniaków.

W tych „dziełach" historia rzeczywiście zawsze jest czarno-biała. Polacy są zawsze dobrzy i prawi. A nasi przeciwnicy zawsze źli i okrutni. Literatura taka nie tylko nie ma nic wspólnego z prawdą historyczną, lecz także jest śmiertelnie nudna. Jak flaki z olejem. Tego zaś nie da się powiedzieć o książkach Sienkiewicza. Kolosalna popularność tego pisarza jest tego najlepszym dowodem. A więc – brońmy Sienkiewicza!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c8c1f3511d

Rysują / Krzysztof Wyrzykowski i Maciej Jasiński

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA POCHODZIŁA Z RODZINY O WIELKICH TRADYCJACH ARTYSTYCZNYCH I PATRIOTYCZNYCH. JEJ OJCIEC TADEUSZ BYŁ MAJOREM KAWALERII, NATOMIAST DZIADEK JULIUSZ KOSSAK ORAZ STRYJ WOJCIECH KOSSAK BYLI MALARZAMI. ZOFIA TEŻ MYŚLAŁA ABY PÓJŚĆ W ŚLADY DZIADKA I STRYJA, OSTATECZNIE JEDNAK ZOSTAŁA PISARKĄ (PODOBNIE JAK JEJ STRYJECZNE SIOSTRY: MARIA PAWLIKOWSKA-JASNORZEWSKA ORAZ MAGDALENA SAMOZWANIEC). ZADEBIUTOWAŁA W 1922 ROKU POWIEŚCIĄ AUTOBIOGRAFICZNĄ „POŻOGA". W OKRESIE MIĘDZYWOJENNYM JEJ KSIĄŻKI CIESZYŁY SIĘ WIELKĄ POPULARNOŚCIĄ.

PO WYBUCHU II WOJNY ŚWIATOWEJ PRZEPROWADZIŁA SIĘ WRAZ Z RODZINĄ DO WARSZAWY I PORZUCIŁA PISANIE NA RZECZ DZIAŁALNOŚCI KONSPIRACYJNEJ. POSŁUGIWAŁA SIĘ PSEUDONIMAMI: „CIOTKA", „WERONIKA" ORAZ „PANI ZOFIA". W RAMACH ZAŁOŻONEGO FRONTU ODRODZENIA POLSKI ZAJMOWAŁA SIĘ, MIĘDZY INNYMI POMOCĄ WIĘZIONYM NA PAWIAKU I OBOZACH KONCENTRACYJNYCH, A TAKŻE ICH RODZINOM.

ZAŁOŻYŁA RÓWNIEŻ TYMCZASOWY KOMITET POMOCY ŻYDOM IM. KONRADA ŻEGOTY. W JEGO RAMACH ORGANIZOWANO POMOC UCIEKINIEROM Z GETTA, WYSZUKIWANO KRYJÓWKI I DOSTARCZANO FAŁSZYWE DOKUMENTY. ZAANGAŻOWAŁA SIĘ W TO CAŁA RODZINA ZOFII KOSSAK-SZCZUCKIEJ, A W JEJ MIESZKANIU UKRYWANO ZBIEGÓW, W TYM MAURYCEGO GELBERA. DZIECI PISARKI POMAGAŁY W PRZEPROWADZANIU UCIEKINIERÓW Z GETTA DO BEZPIECZNYCH PUNKTÓW. PO LATACH KOSSAK-SZCZUCKA TAK WSPOMINAŁA.

ZOFIA KOSSAK-SZCZUCKA ZOSTAŁA ZATRZYMANA 25 WRZEŚNIA 1943 ROKU. ZNALEZIONE PRZY NIEJ DRUKI WSKAZYWAŁY NA DZIAŁALNOŚĆ KONSPIRACYJNĄ, ZOSTAŁA WIĘC PODDANA BRUTALNYM PRZESŁUCHANIOM. WYBITO JEJ ZĘBY I STRACIŁA SŁUCH W JEDNYM UCHU.

TRAFIŁA DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO AUSCHWITZ, OTRZYMUJĄC NUMER 644919. W KWIETNIU 1944 ROKU ODESŁANO JĄ DO WIĘZIENIA W WARSZAWIE, GDZIE PRZEBYWAŁA DO KOŃCA LIPCA I ZWOLNIONO JĄ TUŻ PRZED WYBUCHEM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO.

PO WOJNIE WŁADZE KOMUNISTYCZNE ZMUSIŁY JĄ DO WYJAZDU Z POLSKI.

WYJECHAŁA W SIERPNIU 1945 ROKU. W KORNWALII PROWADZIŁA RAZEM Z MĘŻEM GOSPODARSTWO ROLNE I CAŁY CZAS PISAŁA KOLEJNE KSIĄŻKI. DO KRAJU WRÓCIŁA DOPIERO W 1957 ROKU, GDZIE SPĘDZIŁA OSTATNIE 11 LAT SWEGO ŻYCIA.

W 1982 ROKU, JUŻ POŚMIERTNIE, PRZYZNANO JEJ TYTUŁ SPRAWIEDLIWY WŚRÓD NARODÓW ŚWIATA. NATOMIAST W 2018 ROKU ORDER ORŁA BIAŁEGO.

eprasa.pl c8c1f3511d

HISTORIA DO RZECZY

CZYTAJ CO MIESIĄC W LEPSZEJ CENIE

ZAMÓW PRENUMERATĘ

PRENUMERATA ROCZNA MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"
+ W PREZENCIE KSIĄŻKA ADAM CYRA: „ROTMISTRZ PILECKI. OCHOTNIK DO AUSCHWITZ"

W latach 1944 -1956 stracono w Polsce kilka tysięcy osób należących do antykomunistycznych organizacji niepodległościowych. Ofiarami tych zbrodni byli także dawni więźniowie KL Auschwitz, w tym rotmistrz Witold Pilecki, zaliczany przez historyków do sześciu najodważniejszych ludzi europejskiego ruchu oporu.

Witold Pilecki, uczestnik wojen 1920 i 1939 roku, dobrowolny więzień i twórca konspiracji wojskowej w KL Auschwitz, uciekinier z tego obozu, oficer Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego, jeniec obozów w Lamsdorf oraz Murnau, po wojnie wstąpił do II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa we Włoszech. Został zamordowany strzałem w potylicę w warszawskim więzieniu na Mokotowie 25 maja 1948 roku. W lipcu 2006 roku pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego.

Książka zawiera słynny raport Pileckiego napisany po ucieczce z Auschwitz.

148 zł

oszczędność 55 zł

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WPŁATA NA KONTO:
UWAGA NOWY NR.
33 1600 1462 1816 5874 1000 0006
ORLE PIÓRO sp. z o.o.,
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt 10.00-16.00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c8c1f3511d

Już 20 marca w „Do Rzeczy” dodatek

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

www.funduszsprawedliwosci.gov.pl

eprasa.pl c8c1f3511d